№ 54

CHORĄGWIE KMITÓW.

Piotr Jaxa Bykowski.

CHORĄGWIE KMITÓW

POWIEŚĆ Z XVII WIEKU

na tle prawdziwych zdarzeń osnuta.

WARSZAWA
1880.
Nakładem B. Cassinusa.
Ulica Miodowa Nr. 14.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 26 Марта 1880 года.

Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat Nr. 59

ROZDZIAŁ I.

„Aż ziemia jęczy kiedy pan Podkomorzy bracławski poluje“—taka onego czasu gadka obiegała pomiędzy ludem z ust do ust, na znacznym obszarze ziemi.

A był dzień niepóźnej jesieni i jak to się zdarza do łowów najprzygodniejszy, kiedy słońce na pożegnanie z ziemią muska ją zlekka łagodnym promieniem, który nie paląc grzeje i ożywia. Liście drzew pełne jeszcze dojrzałości, wysiliły się na piękną zieloność, jakby raz jeszcze, zanim je srogi mróz pozłoci, zasuszy i do upadku zniewoli, chciały zaświetnieć pełną krasą. Przędza zaś Świętej Panienki przesuwała się sobie długiemi nićmi, jakby świat cały owinąć miała puszystą swoją tkaniną—i ludziom i trawkom i wszelakiemu bożemu stworzeniu zdawało się, iż wieki tak przetrwają w tym błogim mierności spokoju; ino jedno ptactwo przelotne—niewdzięczne syny ziemi karmicielki—już szukać poczynało jaśniejszego nieba, nie umiejąc ukochać swojego, skoro je mgliste chmury pokryją i szron srebrzysty ubieli. O niewierni! oni to dali początek samolubnemu przysłowiu *ubi bene ibi patria.*

A w istocie. kilkomilowa knieja jęczała, bo Podkomorzy bracławski łowami się dziś zabawiał. Zaprawdę, nieświadom rzeczy przechodzień uwierzyłby w trzęsienie ziemi lub sądnego dnia nastanie, taki bowiem rwetes, trwoga

a szum i hałas nietylko puszczę rozległą, ale i świat cały napełniać się zdawały, a pomięszane razem tętnienie kopyt końskich las przebiegających, nawoływanie szczwaczy, wystrzały, psów szczekanie, granie rogów, ryk zwierząt— wszystko to społem tartas jakiś nieziemski składało i podobiznę piekła tworzyło—tak że niewiasty i płochliwsi nawet mężowie, oznaczając się znakiem Krzyża św., miejsce tych szatańskich harców jaknajdalej wymijali, pomimo iż czas się z tem mieli oswoić, albowiem półwieka się spełniało odkąd Podkomorzy ze swem łowiectwem knieje okoliczne plądrował.

A las się ciągnął w dalekie przestrzenie gęsty i rzęsny, a stary jak świat—a wyrastał sobie po bratersku *viribus unitis*, ręka w rękę, dąb w dęba, sosna w sosnę, buk w buka, i groźnym szumem zdawał się ludziom powiadać: „co Bóg złączył człek nie rozłączy!“ Nie wiedział snadź niebaczny, iż przyjdą nowe pokolenia, obliczające siłę ducha i natury na ilość marnej mamony, a przedewszystkiem wierzące iż beatus qui tenet!

A jak człowiek sprzykrzy sobie z czasem choćby najmilszą kompanię i w samotności swobodnej rad ducha odżywić, tak i lasowi rosnąć zawżdy w kupie niesnadno—i rozstrzelą się jedni towarzysze od drugich, zmaleją i skarłowacieją w tej rozłące, patrząc na siebie zdala nienawistnem okiem — tak też i drzewa owej puszczy szukając odosobnienia, przerzedziły się wśród największej wzrostu potęgi i pomiędzy dawną jedność i braterstwo dały dostęp polance, wijącej się w kształtne wzgórki, otoczone wieńcem odosobnionych i zmalałych krzewów. Lecz z drugiej strony trawka i kwiatki polne wyswobodzone z dumnej drzew przemocy, urągając ich puszczowej potędze zatraconej w rozterkach, roztoczyły swobodnie różnobarwny malowniczy kobierzec i bujały sobie, jak tylko bujać można na

woli. Cały szum i hałas obszernej kniei skupiły się i zlały w jedno na tej polance, szalejąc sobie swobodnie, wygrywały tu jakąś szatańską melodyę, której tonami lubowały się trzy istoty.

Trójca to była dziwnie dobrana: na szerokiej kłodzie spróchniałego dębu, który zaledwie czas licznych wieków niemiłosiernie w silnej potędze pokonał, usiadł mąż dobrej tuszy, kształtów ciała niezmiernych—dziś nazwanoby go „otyłym“, a jeżeli i był nim w samej istocie, to otyłość tę zdobył niezawodnie nie przez tak zwany u nas sybarytyzm i praktyki smakoszów dzisiejszego wieku, lecz mąż ów rozrósł się w muszkuły i siłę przez ćwiczenie ciała, a rzekłbyś patrząc nań, iż masz przed sobą twardą, niespożytą opokę, zbitą w całą jedność z wielu atomów, tak każdy ruch jego był twardy i potężny, a odgadłeś to na pierwszy rzut oka, iż ten człowiek-skała nie znał dla siebie żadnej zapory, a przeszedł wszędy dokąd zamierzył.

Pomimo ciepła a nieledwie skwaru, których jesień od lata tak często zapożycza, ubrany był w bajową bekieszkę ze złotemi pętlicami, czerwonej barwy (bo w tej jako czysty karmazyn lubował się); bekieszka była zlekka lamowana sobolem, takiż kołpaczek pokrywał mu wierzch podgolonej głowy, a zpod kołpaczka się dobywał włos szorstki, twardy, nieco posrebrzony; szyję zaś i kark bujny a szeroki, o który gięło się jaknajtwardsze żelazo, miał obnażony. Dziwnemby się wydać mogło, iż mąż zahartowany, co łatwo odgadnąć było na pierwszy rzut oka, tak się ciepło nosił, ale taki to był zwyczaj ludzi onego wieku, że lubili nagrzewać ciało i ducha. Na szerokim rzemiennym sznurze zwieszał się mu przez ramię spory róg myśliwski; przy nim wetknięty w ziemię stał oszczep, a obok niego oparte na kłodzie leżały dwie ciężkie rusznice, których lada kto podjąćby się nie pokusił.

Jak wątły powój ima się dębu potęgi, tak na żelaznych barkach męża wspierała się wiotka, ponętnej postawy i kształtów czarujących, dziewica, a rzekłbyś Dyana łowczyni, zstępująca z niebios pogańskich, aby te wielkie łowy podziwać. Giętką jej kibić więził zlekka zręczny niebieski czekmenik w ząbki wykrojony, srebrnym lamowany galonem, odrysowując zlekka subtelne tej łani kontury, jakby mistrzowską dłonią snycerza w marmurze wyrzeźbione. Główkę świecącą urody i młodości wdziękiem pokrywał subtelny birecik, coś nakształt męzkiego kołpaczka, strój dość u niewiast ówczesnych rozpowszechniony, a był z aksamitu weneckiego, lekkiem futerkiem kuny bramowany, przy czaplem piórku; a z pod birecika wiły się w przeróżne wężowe sploty, bogatych płowych włosów pierścienie. Dla dopełnienia podobieństwa łowów bogini, lekki srebrny łuczek opasywał toczone jej ramiona, a takiż sajdaczek leciuchny ze strzałami na biodrach się kołysał.

Po za tą parą, na którą dwa krańcowe peryody wieku ludzkiego się złożyły, stał nieruchomy kolos, pomyślałbyś iż to dąb stary, zbieg z puszczowej drużyny, gdyby nie para sumiastych wąsów, co mu aż na piersi spadała i twarz surowa a poważna, zmarszczkami trudów poorana. Jak wzniosła nieruchoma kolumna, stał wsparty na długiej szwedzkiej flincie, a widocznem było w całej czujnej postawie, iż nasłuchuje rozkazu, aby na pierwsze jego hasło stawiąc się w gotowości, skoczyć czy to w ogień czy wodę, własną się wolą nie kierując. Był to kozak, a jakby na pamiątkę podobieństwa do wyniosłego dębu, zwał się Dubyna.

Wszystko troje zdawali się być w słuch całkiem zamienieni, pilnie śledząc psów grania i wszelkich łowieckich obrotów, nawet silniejszem tchnieniem onej uroczystej ciszy przerwać się nie poważyli, tylko od czasu do czasu mąż siedzący na kłodzie wskazywał zkąd głosy psów i myśli-

wych wychodziły, a wodząc palcem w powietrzu, jakby je łowił i przenosił do ucha. Nareszcie gdy psy raźniej grać zaczęły, a silne głosy szczwaczy wtórem poszły za niemi, natenczas siedzący żwawo się poruszył na miejscu i mruknął radosnym basem:

— Oho! pewno niedźwiedzicy dopadły.

Po tych słowach szparko powstając z miejsca, chwycił za oszczep i drzewcem bijąc o ziemię mocy jego próbował.

Dubyna wyprostował się i słuch jak najsilniej wytężył.

— Dnbyna, a czy będzie niedźwiedzica?—spytał mąż starszy.

— *Bude bad'ku*! — odparł kozak lakonicznie ze stanowczością wyroczni.

— A zkad ją na nas napędzą, jak myślisz?

Kozak przysłuchał się jeszcze pilniej przez chwilę, a potem przeciągając długą i żylastą prawicę ku jednemu z licznych przesmyków z kniei na polankę wiodących, rzekł z poprzednią pewnością:

— *Zwidły*.

Snać nie lekkomyślna to była pewność siebie kozaka, a pan jej musiał doświadczyć nie raz, bo po tem jego lakonicznem wyrzeczeniu, nie patrząc w inne strony, ku wskazanej kierując się z oszczepem rzekł do swej towarzyszki:

— Słuchajno dziewko, zmów krótką modlitewkę do Ś. Huberta patrona łowów, żeby mi nakoniec dopomógł dostać tej niedźwiedzicy, na którą już oddawna mam chrap: możesz tam aśćka świętemu szepnąć nawiasem, że dam mu za to szczerozłote votum i ołtarz Jego z gruntu odnowię, bylebym raz tej niedźwiedzicy karku nadkręcił.

Lecz nagle na spokojne i pogodne dotąd lice dziewczyny chmurki nieopisanej trwogi i niepokoju wstąpiły, a na

to rubaszne zagadnienie drżącym i błagalnym odpowiedziała głosem:

— Panie i ojcze! nie uwłaczając respektowi najuniżeńszej córki, pozwólcie sobie przełożyć, iż nie w waszych to latach walka samopas przeciw srogiemu a rozjuszonemu zwierzowi....

— Nie poznaję cię, moja Magdo—przerwał rubasznie wszakże bez gniewu starzec, głaszcząc pobladłą twarz dziewczyny—i tyż to moja najzawołańsza łowczyni a sama gotowa pójść z oszczepem, zabawiasz się w jakoweś perswazye?

— Pójdę ja ojcze z oszczepem bez obawy, bom młodsza, ale za was jakiś srogi mię presentyment trapi....

— Pluń na urok dziewko!... a zresztą powiem ci żem już odżył swoje, Bogu służę jak umiem a czy Panu podoba się wywołać człeka z tej ziemi przez paszczę niedźwiedzią lub jakie przydłuższe choróbsko, bodaj że to pierwsze bym przełożył.

— A ja ojcze!

Ozwała się smutnie-pieszczonym głosem dziewczyna, którego tkliwe dźwięki snadź w sercu ojcowskiem łowiecką zagłuszyły passyę, tak iż nie nadstawiając ucha na myśliwskie hałasy, złotą główkę dziewczyny do szorstkich piersi przyciągnął a muskał ją i gładził z najczulszej piastunki sentymentem i rzewnym prawił głosem:

— Jam ci to powiadał Magdeczko, że w porządku rzeczy ludzkich jest, aby starzy młodym drogi do wieczności torowali, a biada ojcom dla których los zrządza inaczej!— Niedość mi już żem oprócz waszej godnej matki was już troje opłakał, a dla tego abym odszedł spokojny, radbym cię widział pod opieką statecznego małżonka... Masz-że tu siła i młodych i zacnych kawalerów do wyboru, uciesz-że moją starość jedyne dziecko!

I oszczep już leżał na ziemi a stary ze zwilżoną źreni-

cą tulił jedynaczkę do łona, tysiącznemi ją okrywając pieszczoty. A ona zsunęła mu się do kolan, które uściskiem objęła, szeptała mu jakieś dziecinne przymilenia, i oboje zapomnieli że jest knieja i niczego więcej prócz słów własnych, nawet coraz wyraźniejszego grania psów nie słyszeli.

Z trójcy jeden tylko kolos Dubyna był za nich uchem i okiem a prócz kniei nie wiedział co się tuż przy nim działo.

— Ojczuniu—szczebiotało dziewczę—biedne moje siostry zamiast małżeńskiego szczęścia rychło w tym stanie śmierć znalazły, mnie większej nad ciebie niepotrzeba rozkoszy... Bóg łaskaw o resztę się zatroszczy....

A w dziecięcej pieszczocie objąwszy jego granitową szyję, tak dalej szczebiotała:

— Ale ojcze, panie mój! ty nie pójdziesz z oszczepem na tę brzydką niedźwiedzicę.... masz rusznicę i garłacz. Dubyna ma dwie flinty, ja także kilka strzał jej poszlę z mojego łuku a wiesz że twoja Dyana nie zwykła chybiać.

To mówiąc z czarownem przymileniem i zalotnością naciągnęła swoją cięciwę... A starzec z dziewką śmieli się, przekomarzali jakby dwoje równolatek, gdy wtem:

— *Bad'ku! bizyt!*

Ryknął ze spiżowej piersi kolos Dubyna, ślepo spełniając swoję powinność.

Stary zerwał się na równe młodzieńcze nogi, u których wijąc się dziewczę rozpaczliwym wołało głosem:

— Ojcze!... ja cię nie puszczę!... zabij mię.... ale nie idź!...

Lecz już było zapóźno, serce starca w łowiecką uderzyło strunę, bo już granie psów coraz bardziej się zbliżało, i coraz wyraźniej dolatywał jego słuchu ryk niedźwiedzi, najprzedniejsza dlań muzyka jaką się kiedykolwiek lubował

w życiu; obok niej dawał się słyszeć łomot drzew w biegu przez niedźwiedzia obalanych.

To wszystko aż nadto starczyło do zagłuszenia w tej piersi łowieckiej rodzicielskiego uczucia, które się w niej przed chwilą tak obficie rozlało. Głuchy na łzy, prośby i zaklęcia córki, stając się łowcem zapomniał ażali był kiedy ojcem, a jedną silną ręką usunął płaczącą dziewkę od kolan swoich, obojętnie, jakby to czynił z każdą najprostszą zawadą na swej drodze łowieckiej, w prawicę zaś chwyciwszy oszczep bieżał co tchu ku przesmykowi.

Dziewczyna jakby skamieniała, pozostała na łączce w tej samej postąwie jaką przed chwilą u nóg ojca przybrała.

Nim dobieżał do przesmyku myśliwy, ryk, łomot, huk i trzask nie do opisania słyszeć się dały, z pomiędzy drzew gęstwiny sunęła się jakaś potworna bryła, krwawe ślady za sobą pozostawiając; co to była za gromada, trudnoby zrazu rozpoznać. Pędem uraganu toczyła się ogromna niedźwiedzica, rozkrwawiona, szarpana przez zgraję psów zajadłych, które z tyłu i po bokach uczepione, składały z nią jakby jedno ciało; nie mogąc ich dosięgnąć, niedźwiedzica łamała po drodze gałęzie, wysadzała spore dębczaki, na tych niewinnych zemstę swoją wywierając. Nakoniec w onym zapamiętałym, krwawym pochodzie trafiła na myśliwca, który jakby wkopany w ziemię oczekiwał na nią z nagotowanym śmiertelnym ciosem.

Stanęli przez chwilę oko w oko człowiek i niedźwiedzica, zdając się mierzyć wzajemnie swe siły.

Po tej chwili stanowczej ryk jakiejś strasznej rozpaczy i grozy napełnił knieję i niedźwiedzica wzniosła się na tylne łapy, rozwarłszy paszczę jakby otchłań jaką a czerwoną jakby ogniem ziejącą i już, już całym ciężarem cielska spaść miała na łowca.

On zaś, jakby oczekując tylko tego momentu, spokojnie nastawił oszczep kierując go w lewą stronę piersi kudłatej i zwierz oślepiony zajadłością zamiast paść na swoją ofiarę, przebił się całą siłą na ostrem żeleźcu oszczepu.

Dwa szerokie strumienie czarnej, gorącej posoki bryzgnęły z całą siłą z rany i paszczy rozwartej a ryk śmiertelnem chrapaniem wzmocniony całą puszczę napełnił.

Rozwścieczony, zajadły, zapamiętały zwierz, przedzielony oszczepem od swojego wroga, chciwy zemsty usiłował go dosięgnąć i sam na oszczep silniej się wbijał, rwąc się i szarpiąc ku niemu; krew się coraz obficiej toczyła. Myśliwy oko w oko mierzył się ze zwierzem, chwiał się za poruszanym oszczepem, stanowiącym dla niego przegrodę między życiem a śmiercią. Psy przeczuwając chwilę ostatnią zbliżoną, jakby nie chcąc się pastwić nad pokonanym wrogiem, opuściły swą zdobycz, stając się obojętnemi tej dziwnej walki widzami.

Dwaj inni świadkowie tej śmiertelnej walki: kolos-Dubyna, stał jak przedtem nieruchomy na stanowisku z owym nieodstępnym kamiennym spokojem, z którym już nieraz towarzyszył podobnym walkom samopas swojego pana ze zwierzem.

Dziewczyna blada i nieruchoma pozostała na miejscu gdzie ją ojciec od nóg odsunął swoich, zimny pot kroplisty zrosił jej piękne, marmurowej białości oblicze, ręce w rozpaczliwej się trwodze załamały.

Tymczasem zwierz i człowiek wytężywszy wzrok i czujność chwieli się naprzeciw siebie na oszczepie. Niedzwiedzica chcąc dostać wroga, nie baczyła iż sama głębiej śmierć wbija we własne piersi, lecz przed skonaniem snać zemsty pożądała,—bo tak jest po zwierzęcemu jako i po ludzku.

Nakoniec... stała się rzecz nieprzewidziana, fatalna!...

pękło drzewce oszczepu i w oka mgnieniu długie łapy niedźwiedzie spoczęły na barczystych plecach myśliwca!.... rozjuszona, ognie konania i zemsty ziejąca paszcza ku twarzy jego zbliżyła się, piekła go żarem i plugawiła wrzącą posoką.

Chrzęst mocujących się kości ludzkich dał się słyszeć wyraźnie. Zwinięci w jeden kłębek człowiek ze zwierzem tarzali się po trawie, jeden odpychał drugi nastawał.... straszna chwila!

Psy, przyjaciele człowieka, znów się czynnie na pomoc mu wdały i wpiły się w skórę niedźwiedzią, i ten nowy kłębek taczał się po ziemi z szybkością, tak iż najbystrzejsze oko wplątanych w nim przedmiotów rozróżnićby nie mogło.

Nieruchomy Dubyna skoro pękł oszczep, przerwał swą zwykłą skamieniałość: wzniósł flintę do góry, zmierzył w ten żywy kłębek, lecz ręka mu zadrżała—nie dla tego aby złym był strzelcem; wszakże razu pewnego w podobnem niebezpieczeństwie, gdy trafnym strzałem walkę na stronę pańską przechylił, pan dufając iż mu do odniesienia samopas zwycięztwa przeszkodził, surowo mu na przyszłość wszelkiego wdawania się z bronią palną do walk swoich pojedyńczych zabronił.

Atoli posłuch kozacki przysłowiowy, równał się w Dubynie gorącemu przywiązaniu do pana, a ponieważ zakaz interwencyi ręcznej nie obejmował, więc rzuciwszy strzelbę, puścił się pędem do onego kłębka i pochwyciwszy niedźwiedzicę szerokiemi ramiony, zawisł całą siłą na jej kudłatym grzbiecie i w ten sposób walkę na stronę ludzką przeważył. Pomimo to jednak zwierz rozjuszony, choć wzięty w podwójne kleszcze, dobywając sił ostatka, nie zaniechał zemsty i krwawych zamiarów.

I toczył się nanowo ten kłębek żyjący, złożony z dwojga ludzi, niedźwiedzicy i psów zgrai. Pierwszy zapaśnik

tyle miał jeszcze przytomności, iż przez zręczne zwroty srogiej paszczy zwierza unikał, lecz silny uścisk niedźwiedzicy dawał się słyszeć w chrzęście gniecionych kości ludzkich.

Aż nakoniec z onego kłębka wydobył się głos ponury, podziemny. jakby ostatnim tchem konania przerywany.

— Bogu duszę polecam!... Błogosławię cię córko!...

Na te złowieszcze słowa zadrżała na całem ciele dziewczyna, grube krople łez spadły z pod pięknych źrenic, a wznosząc ręce ku górze zawołała głosem rozpaczy, ale dźwięcznym i wyraźnym, który z melodyą srebrnego dzwonka zdawał się wzbijać aż ku firmamentom niebieskim:

— Panno Najświętsza! Pocieszycielko strapionych, nie osierocaj mnie biednej!

Zaledwie słów tych domówiła, jakby z wyżyn nieba padły w niedźwiedzicę dwa gromy, jeden po drugim, pierwszy w sam środek rozjuszonej paszczy, drugi w srogie krwią zaszłe oko.

Runął z całej siły martwy kadłub niedźwiedzi aż ziemia jęknęła. Od razu uwolniony ze śmiertelnego uścisku śmiały zapaśnik, powstał zrazu z trudnością i jął się mocować jakby ciężar wielki miał dźwignąć, a podobny był do bryły z błota i krwi ulepionej, zaledwie odgałbyś w nim na pierwszy rzut oka postać ludzką.

Z trudnością dzisiejsi dadzą wiarę, iż onego czasu bywali tacy ludzie twardzi do pokonania.

Dziewczyna padła na murawę bez zmysłów.

Dodawać zda się nietrzeba, iż walka ona straszna trwała daleko mniej czasu, niźli na opisanie jej zużyliśmy.

Dubyna również otrząsł się kilka razy, jakby kał którym był obryzgany chciał ze siebie strzepnąć, a nagle z czynnej wracając do biernej roli ślepego spełnienia obowiązków, przycisnął do ust róg myśliwski wiszący mu u pa-

sa, który cudem z tej walki wyszedł cało i zadął co siła „na upad“; tak nakazywał łowiecki porządek, gdyż główny zwierz osaczony, został pokonanym.

Starszy łowiec skoro dokładnie całość wszystkich członków wypróbował, pokiwawszy smutnie głową, rzekł do kozaka:

— Paskudnie Dubyno! czyliż mi nie sądzono dojść do kopy, a już 59 tych kudłaczów własnoręcznie oszczepem dojechałem.

Kozak smutno głową pokiwał, a dodał lakonicznie:

— *Bucim ne suženo bad'ku*!

Gdy wtem łowiec ujrzawszy na murawie dziewkę zmysłów pozbawioną, spiesznie ku niej podbiegł, a wznosząc jak piórko i na szerokiej piersi składając zawołał:

— Doniu moja jedyna! Bóg z tobą! patrz, przecie przy tobie jestem, z łaski Boga zdrów i cały.

— Ah to ty ojcze! mój panie!... ale czy nie uszkodzony, bez szwanku? A ja spałam... i coś mi się tak strasznego majaczyło... O! to one dwa gromy z nieba co Najświętsza Panna spuściła... O! bo ja Ją tak prosiłam, jak tylko raz jeden w życiu modlić się można, pewna byłam iż mię wysłucha....

Szczebiotało dziewczę nieprzytomne, jakby dziecię nagle ze snu obudzone, a dotykając ojca na wsze strony, nie bacząc iż posoką i kałem się brukała, padła w końcu na kolana, a wznosząc ręce ku niebu znów srebrnym głosikiem posłała dziękę Przenajświętszej Pannie, wołając:

— O Matko Boska Opiekunko sierot! niech ci będzie chwała na wieki za one dwa gromy potężne, przez które od sieroctwa mię uchroniłaś.

Poczem na szyi ojca zawisła.

Tymczasem zgromadzone liczne myśliwstwo na odgłos rogu Dubyny, skoro usłyszało o gromach z nieba i dzięk-

czynienie za nie dziewczyny, poczęło gwarzyć pomiędzy sobą o cudzie, a świadkowie modlitwy onej zdjęli czapki i przeżegnali się—a w całym myśliwskim obozie gruchnęła nowina...

— Stał się cud!...

Ciekawie dopytywano Dubyny, lecz on jako małomówny z natury, że zwykł tylko na zapytanie pańskie odpowiadać, majstrował tam coś sobie około trupa niedźwiedziego, długim harapem psy od niego odganiając, ażeby mu skóry nie uszkodziły.

Nareszcie i zuchwały łowiec, lubo zdawało mu się podczas pasowania ze zwierzem, wyraźnie słyszeć dwa strzały, wszakże nie dowierzając sobie samemu, a rad rzecz wyklarować, zwrócił się do Dubyny, jedynego przytomnego świadka—albowiem dziewczyna była wówczas zemdlona— i spytał:

— Dubyna, czy to cud?

Kozak, który tymczasem wydobył kulę z paszczęki trupa niedźwiedziego, podając ją łowcowi, rzekł ze zwykłym sobie lakonizmem:

— *Zwidty* (ztamtąd)!

I wskazał w kierunku gdzie się sam znajdował na stanowisku. Przywykli do lakonizmu Dubyny wnet zrozumieli iż to była kula, która zwierza powaliła i strzał z tej wypadł strony.

Łowiec przyjrzawszy się dokładnie tej kuli, spytał:

— A który z was wyszedł ze szwedzkim szturmakiem, bo to jest nie inna kula tylko z tej broni?

Wszyscy odpowiedzieli przecząco i nikt się do kuli nie przyznał.

— Skocz-no Dubyna, obacz czy nie ma tam kogo w krzakach?

Dubyna jednym skokiem już się wspiął na wzgórek, o półtorasta kroków odległy, gdy wiele głosów zawołało:

— Ano i my pójdziem!

I szli za Dubyną, a za nimi wiedziony ciekawością sam łowiec pospieszył, a za nim dziewka, która uszczęśliwiona z cudownego odzyskania ojca, już na krok go nie odstępowała.

ROZDZIAŁ II.

Po za polanką, gdzieśmy oną trójcę myśliwską poznali, a krwawy, straszny dramat się spełniał—górą przechodziła drożyna i tylko od polanki oddzielały ją gęste zarośla, tak blisko rosnące, że ztamtąd cała widniała jak na dłoni.

Zaledwie rozpoczęły się łowy i psy żwawiej rozegrały, kiedy ową drożyną przejeżdżali dwaj jezdni wierzchowo: pierwszy w męzkiej sile wieku, dorodny, o ciemnym wąsie a turkusowem sokolem oku, odziany był w burkę krymską mochnatą, szłyk tatarski miał na głowie, przy boku szablę giętą turecką, takaż rusznica janczarska wisiała mu przez ramię, siedział na siodle tureckiem z głębokiemi mosiężnemi strzemionami i koń był pod nim smukły, kościsty, tatarski, a z tej rasy, co to wątłem ciałem olbrzymich rzeczy dokazują.

Ze stroju i rynsztunku wyglądał ten jeździec na jakiegoś bisurmana, gdyby nie twarz o szlachetnych rysach i otwartym wyrazie, która inne w nim swojskie pochodzenie zdradzała. Wszakże na tem jasnem obliczu ciążyła jakaś sroga zaduma i troska. Dość było spojrzeć na obojętność z jaką wodze puścił koniowi, jakby on a nie jeździec świadom miał być celu i kierunku podróży, aby odgadnąć że w tę drogę z wędrowcem razem puścił się ciężki smutek i

frasunek, którego odegnać nawet nie usiłował—musiałyż mu wrosnąć w duszę głęboko.

Trudno o dwie podobne sprzeczności pod słońcem, jaką przedstawiał drugi jezdziec z pierwszym—na żmujdzkim żwawym szłapaczku ciężko w sakwy i toboły objuczonym, kiwała się obrośnięta włosami i niewielką roztrzępioną bródką niepoczesna figura, kaptur od siermięgi pokrywał jej głowę, przez plecy kołysała mu się ogromna torba z koziej skóry szerścią obrosłej, a naprzeciw niej długi szturmak szwedzki; miasto siodła na koniu przypasał wór parciany, nawiązane doń sznury zastępowały miejsce strzemion a na nich nogi łapciami owinięte opierał; zamiast trenzli konia okiełznał w uzdę ze sznurów, gdyż kierować nim nie potrzebował, bo jak sam szedł niewolniczo za pierwszym jeźdzcem, tak jego szłapak przodującemu towarzyszowi był posłusznym; cała postawa i twarz jeźdźca posłuch i powolność wyrażały, a widoczną była jego bezmyślność, iż żył przez nią w jeźdzcu przodującym.

Skoro ów hałas łowiecki coraz wyraźniejszym się stając, doleciał do uszu pierwszego jeźdzca, oblicze zasępione wypogodziło mu się, z nietajoną rozkoszą zdawał się chwytać te dawno znane sobie tony, brzmiące mu w duszy miłą melodyą przeszłości, a wstrzymując rumaka przemówił zcicha, z głębi duszy wydobytem wspomnieniem:

— Hej! hej! kiedyś to tak polowaliśmy z ojcem nieboszczykiem w naszych niegdy rodzinnych puszczach!

Poczem cały w słuch zamieniony zabawiał się oną łowiecką muzyką, a snać przeniósł się w jakieś szczęśliwsze czasy, bo to się uśmiechał, to zamdlonemi przed chwilą oczyma połyskał, widocznie było mu jakoś radośno. Machinalnie zsiadł z konia, ukrył się w gęstych krzewach, które ledwie o parę kroków przedzielały go od stanowiska Dubyny i dalej psów graniu i onej łowieckiej przysłuchiwał się mu-

zyce, a gdyby na nią nie wytężył całego słuchu, może doleciałaby go rozmowa ojca z córką, lecz że prócz łowów nic go nie nęciło, nie dostrzegł nawet pięknej łowczyny.

Tymczasem kiedy on się wsłuchuje, jeździec za nim postępujący także zsiadł z konia, a zdjąwszy z pleców szturmak, który mu ciężył, złożył go przy swoim towarzyszu, a sam zagłębiwszy się w zarośla, rozłożył rozkosznie na ziemi, rozwiązał ową torbę, służącą mu za podróżną spiżarnię, dokąd wszystkie bez wyjątku niedogryzione kęsy składał, odpiął dużą warząchew, wiszącą mu zamiast miecza u pasa i zagłębił ją w ów depozyt prowizyi rozmajtej, i jak jego towarzysz rozkoszował się łowami, tak on z niemniejszem zachwyceniem w jadle się pogrążył.

Pomiędzy jeźdzcami i końmi taż sama zachodziła różnica, bo kiedy szłapaczek zapuścił się w uboczne zarośle za zdobyciem mchu i kory, konik tatarski stojąc tuż przy swoim panu, nastrzępił uszy, parskał, łbem kiwał i zdawał się również przypatrywać się myśliwskiej zabawie, jakby ją pojmował.

Kiedy niedźwiedzica ukazała się na przesmyku, zdwoił czatujący w krzakach uwagę, i zapominając iż nie jest tych łowów uczestnikiem, mimowoli chwycił za jedną z rusznic, odwiódł kurek i zmierzył się, lecz nagle przypominając sobie iż to była cudza zwierzyna, której własność prawo zastrzegało, oparł z żalem flintę na kolanie, a pilniej się dalej przypatrywał, jak dzielny łowiec szedł ze zwierzem w zapasy, i mierzył go wzrokiem affektu pełnym — niewiadomo co sobie myślał, lecz przyciągnął bliżej siebie i drugą rusznicę, sparł na sęku od drzewa jakby na widełkach, odwiódł kurek, zmierzył się i czekał, pasującego się ze zwierzem łowca z oka nie spuszczając. Nietrudno było dostrzedz jak głowę pochylał to w tę to w drugą stronę, to błyskał oczy-

ma, to zasępiał oblicze w miarę jak walka przybierała rozmaite alternatywy.

Dopiero kiedy pękło drzewce od oszczepu, a Dubynie ręka zadrżała i strzelbę rzucił, a na ratunek panu pospieszył...

— Głupi! niezdara! — zawołał z pasyą i w oka mgnieniu przyłożył się do nastawionej już na widłach rusznicy, puścił strzał pierwszy, a w momencie pochwyciwszy drugą rusznicę, powtórnie wypalił.

Oczy mu zabłysły tryumfem, serce głośniej uderzyło, gdy się przekonał iż jego strzały, w ów ruchomy kłębek z takiem ryzykiem wymierzone, trafiły do pożądanego celu; radośnie się uśmiechnął na widok że on sympatyczny dlań, zuchwały łowiec, dzięki trafności jego strzałów cało z onych śmiertelnych zapasów wychodził. Rozpatrując się dalej, już teraz ze spokojem i widocznem zadowoleniem, gdy dostrzegł ową nadobną białogłowę zemdloną, zerwał się z miejsca chcąc jej bieżeć na ratunek, lecz nagle mocnym odgłosem rogu Dubyny jakby oprzytomniony, wrócił na miejsce i w dawnej pogrążył się zadumie.

A kiedy na odgłos rogu liczne myślistwo ze wszystkich stron się sunęło, jął się pilniej przypatrywać jego dzielności i już zapomniał gdzie się znajduje, a nawet nie zwrócił uwagi, że wszyscy prawie rzucili się w stronę tych zarośli gdzie się ukrywał, gdy wtem ujrzał się ze wszech stron otoczony.

Pierwszy zbliżył się doń Dubyna, a wziąwszy szturmak oparty o drzewo, przymierzył kulę do lufy, a podnosząc ją do góry, wobec wszystkich w milczeniu na ten raz wymownem, czyn ten powtórzył, kilku szlachty zaglądnąwszy do lufy, ozwało się:

— W istocie ten sam kaliber, a lufa jeszcze wilgotna, świeżo wystrzelona.

A wnet wszyscy jakby jednym głosem huknęli, a za nimi inni myśliwi na polance pozostali:

— Vivat! niech żyje zbawca naszego podkomorzego!

W tejże chwili niewiasta młoda przebijając tłum, padła na kolana przed nieznajomym ściskając jego nogi, wołając ze łzami radości:

— O panie! niech was Bóg błogosławi, żeście mnie od sieroctwa zachowali!

Tuż za nią zbliżył się ów łowiec z paszczy niedźwiedziej wybawiony, a obok niewiasty pochylając się do kolan nieznajomego, prawił z pokorą:

— Submittuję się waszmość panu bratu a mojemu miłościwemu wybawcy, jako życiem wam obligowany sługa i podnóżek. Zanosząc suplikę abyś raczył nawiedzić dom mój, który odtąd jest twoim, jako mego drugiego po ojcu życiodawcy.

— Zawiele waszmość pan przyznajecie mi zasługi, a przeciwnie możem zawinił przed wami, pozbawiając przez moje niewczesne strzały pewnego zwycięztwa, albowiem sam nieco myśliwy, nie widziałem odkąd żyw, idących samopas tak dzielnie w zapasy ze srogiem zwierzem; więc z mojej to strony należy exkuza iż ośmieliłem się obcy i niekonwokowany przyjąć udział w cudzych łowach. Raczcie mi to wybaczyć miłościwi panowie, a razem dozwolić puścić się w dalszą drogę, która mi jest pilną.

Co powiedziawszy, kłaniał się kołpakiem na wszystkie strony szukając wzrokiem konia, od którego tłum szlachty i myśliwców go oddzielił. A wszyscy słysząc jego mowę subtelną i polityczną, zakonkludowali jako był kawaler stateczny i bywalec, ztąd i bliższą chęć poznania go powzięli.

— Niech-że przynajmniej wolno mi wiedzieć u kogo zaciągnąłem dług niczem niespłacony mojego ocalenia i kto jest moim wybawcą?—zagaił na nowo myśliwy.

— Bóg!... — odpowiedział zwięźle nieznajomy.

— Wiem to dowodnie iż bez Jego najwyższej woli włos człeczy z głowy nie spada. lecz niech mi wolno wiedzieć kto był owych świętych wyroków wykonawcą.

— Bliźni, na miejscu którego każdy z waszmościów jestem pewny, podobnież by sobie począł, mając tak jak ja dwie rusznice na podorędziu.

— Jako żywo, panie bracie—ozwał się z boku jakiś szlachcic—jest ci tu nas wprawdzie kupka, lecz ani jeden nie posiada tak pewnej ręki aby o paręset kroków strzelił do niedźwiedzia będącego w zapasach z dwojgiem ludzi i pewien był trafnego strzału; na stu biegłych strzelców nie zawsze jeden się taki znajdzie, za to waszmości assekuruję.

— Panie bracie miłościwy, nie gardzcie moją chudobą, dom mój na wasze służby ztąd o kilka staj, przełamcież choć chleb z tym, któremu przedłużyliście życie—suplikował gorąco starszy łowiec.

— Wybaczcie mi miłościwy panie, lecz w tej chwili nie jestem czasowy i pilno mi w drogę.

— A więc stań się wola wasza, powiedzcie gdzie was mam szukać, abym się należycie submitował i wdzięczność moją wynurzył.

— Wybaczcie mi, lecz dotąd jestem bezdomny, wracam z jassyru od niewiernych—odrzekł smutno podróżny.

— A więc miły bracie już to samo jest pierwszym prawem do afektu naszego iżeś był jeńcem, a teraz mężnej głowy nie masz gdzie skłonić, aby dom każdego z nas był twoim—mówił z uczuciem Podkomorzy, dłoń szeroką do przybysza przeciągając.—Pójdź do mnie, otworzę ci bratnie podwoje, podzielę z tobą nędzne moje mienie. Ocaliłeś mi życie, niech-że mi wolno będzie dolę twoją osłodzić, jeżeli gorzką jest.

— Bóg wam zapłać oną chęć dobrą, ale pilno mi w drogę—rzekł nie bez rzewności nieznajomy.

— Ej! panie bracie, to pycha jest szatańska, a rzecz nieszlachecka postponować dobrą chęcią braterską—ozwał się któryś z kupki.

Podróżny wszakże pochyliwszy głowę stał w milczeniu, a Podkomorzy tak się odezwał:

— Bóg z tobą miły bracie, kiedyś już wszystkie moje najszczersze prośby zrekuzował, przyjmij-że chociaż tę ostatnią, którą ci z wielką nieśmiałością przełożę: jako wojak wracający z jasyru, a „bezdomny“, jakeś sam wyrzekł, powiedz w czem ci pomocnym być mogę, a nie urażaj się tem, boć chęć moja nie jest jałmużną i przysięgam na głowę mojej jedynaczki, że na twojem miejscu, sam nie wzgardziłbym podobną propozycyą, gdyby mi była czynioną w imieniu braterskiego afektu, jako ja to czynię.

— Miłościwy panie—ozwała się dziewczyna, wysuwając się z kupki, po za którą dotąd się ukrywała — Bóg świadkiem że ojciec mój jest dobry a uczynny i nie dla poniżenia was to powiedział, a więc nie czyńcie nam smutku pogardzając jego dobrą chęcią.

Podróżny spojrzał mimowoli przydłużej w te jasne oczy i twarz zapłonioną i ozwał się weselej:

— Nierycerską to jest rzeczą rekuzować woli białogłowskiej, a zatem mam dwie prośby, które jeżeli łaska, Waszmość pan spełnić raczy, na tę smutną dla mnie pamiątkę iż szczerej jego gościny przyjąć nie mogłem.

— Nie prośby a rozkazy miły bracie, a daję parol kawalerski iż z możliwą rychłością będą spełnione, ile mi sił na to starczy.

Rzekł Podkomorzy uradowany nakoniec, że jego Magda upór podróżnego przemogła.

— Oto pierwsze jest, uczciwszy waszą niezrównaną

biegłość łowiecką, abyście dla spokoju przezacnej Imć panny córki waszej, zaniechali chodzenia samopas z oszczepem na niedźwiedzia.

Wtem miejscu głębokie spojrzenie modrego oka dziewczyny hojnie wynagrodziło nieznajomego.

— Ha, verbum nobile!... Snać nie sądzono mi jest dojść już do kopy!—mruknął niechętnie stary.

Wielu z obecnych ruszywszy ramionami popatrzyło na siebie z podziwieniem, że człek podróżny a bezdomny, z tak dobrej okazyi nie korzystał i od magnata tak mało wymagał, oczekiwali poprawy tego w następnej prośbie, gdy wtem podróżny ozwie się:

— Drugą supliką jest, ażebyście po złożeniu gorącej podzięki za wasze dobre chęci i poleceniu mnie dostojnej a pilnej waszej łasce, dozwolili mi w dalszą nie zwłócząc puścić się drogę. Warując sobie ten zaszczyt iż przy pierwszej okazyi umyślnie tu przybędę, dla złożenia wam mojej submissyi.

Na tę niespodzianą mowę zdumiał się Podkomorzy, zachmurzyło się piękne oblicze dziewczyny, a wszyscy obecni z niemałem podziwieniem poglądali po sobie.

— Synu mój — ozwał się Podkomorzy — gdyż co do wieku mógłbym ci być ojcem, dozwól więc iż zażyję z tobą szczerości, powiadając że Bóg w niezmierzonej łasce swej tak mię opatrzyć raczył, iż bez uszczerbku we własnej sytuacyi, mogę stać się ludziom po bratersku pomocnym. Tyś nie to już jako mój zbawca, lecz przez gładkość i wzięcie twoje takeś mi przypadł do serca, że połową mojego mienia podzieliłbym chętnie z tobą jak z synem i bratem. Nie gardź więc tym moim affektem i zrzuć tę pychę z serca, nieprzystojną szlachcicowi w obec równego.

A po tych słowach uczuciem wymownych, starzec roz-

warł szeroko silne ramiona i chwycił w objęcia nieznajomego.

Obecni z ciekawością wytężając uwagę, podawali sobie znaki w tem rozumieniu: „Obaczymy tedy czyli przy tak hojnej ofierze dotrwa w stoicyzmie do końca?“

On tymczasem z objęć starca zsuwając się do jego kolan, rzewnym wymówił głosem:

— A więc jako ojciec, któregom niestety opłakał— pobłogosław na niepewną a ciernistą drogę żywota, a przyjm wdzięczność za dobre chęci, których pamięć do grobu mi towarzyszyć będzie, a kiedyś, jeżeli mi Bóg pozwoli stać się ludziom wiadomym, osobiście wam submitować się będę, atoli dziś z zakrwawionem sercem pozwólcie mi się pożegnać i odjechać.

— Cóż to za niedojda i obieżyświat, który tak spernuje milionową fortuną; niechby Podkomorzy choć dziesiątą część tego proponował mi, nie odrzuciłbym mospanie z pocałowaniem ręki—szeptała szlachta pomiędzy sobą.

Podkomorzy zaś do łez rozrzewniony, kładąc ręce na pochyloną głowę młodzieńca, prawił z uczuciem:

— Tak to jest, iż niekażdy bywa panem swojego czasu; niech cię Bóg prowadzi mój synu, błogosławię cię na twoją drogę i abyś ją wedle obietnicy rychło ku mnie skierował, pókim żyw jeszcze, a znajdziesz i serce i drzwi jakby w domu rodzicielskiem na ścieżaj rozwarte. Jedź więc z Bogiem, kiedy taka wola. Jedno jeszcze o co waszmości proszę, oznajm mi swoją godność, abyśmy wiedzieli razem z moją jedynaczką, komu mamy dozgonnie zawdzięczać, ja przedłużenie ostatka dni moich, ona oddalenie smutnego sieroctwa.

Podróżny zasępił się, a pomilczawszy chwilę, rzekł jakby z przymusem:

— Ciężkie smutki i frasunki zawisły nademną i nad

imieniem czystem przodków, którego, Bóg mi świadkiem, niczem z własnej woli, nie splamiłem. A iż się na tem skończy nasza dzisiejsza znajomość, że powędruję w dalsze moje drogi a wy tu pozostaniecie, do czegóż więc wam wiedzieć com zacz jest, kiedy nawet chleba i soli ze sobą nie jemy? Drogi zaś nas rozdzielają i pozwólcie że się puszczę w moją bo mi wielki czas jest.

Powiedziawszy to, skłonił się do ziemi przed Podkomorzym, ukłon kawalerski złożył pannie i przez liczny tłum widzów szedł do swojego konia, który stojąc na pogotowiu jak karnemu zwierzęciu przystało, z miejsca się nie ruszył.

Szlachta zaś zawiedziona w natężonej ciekawości, niechętnie mruczała:

— Co zacz jest?—czy bisurman, czy lucyper, czy zbój jaki, aby przed chrześcianami nazwisko swe tail?

Nim się nieznajomy z tej ciżby do konia mógł przedostać, wystąpił Imćpan chorążyc Kopycki, który tymczasem coś ze szlachtą konferował, a zastępując drogę podróżnemu ozwał się rubasznie:

— Imci pan Podkomorzy zobowiązany kawalerskim parolem, iż żądaniu waszemu zadośćuczyni, wolen był puścić was w dalszą drogę, nie podzieliwszy z waszmością chleba i soli, lecz my tego nie dopuścim.... a nareszcie byłeś waść w bisurmańskim jasyrze, więc teraz zabierzem cię w jasyr braterski i szlachecki.

Na te słowa szlachta ostąpiła do koła podróżnego, który namarszczywszy czoła ozwał się łagodnym napozór głosem, w którym wszakże niejaki impet czuć się już dawał:

— Wdzięczen jestem waszmościom za ich attencyę, ale jakom rzekł, pilno mi w drogę.

I posunął się chcąc sobie rum pomiędzy tłumem uczynić, lecz skupiona dokoła szlachta kroku mu nie pozostawiała.

A wtedy Podkomorzy przejęty gniewem, rzekł surowo:

— Mości panowie, dajcie rum waszmości, bo przysięgam nie dam mu gwałtu czynić, choćby mi przyszło narazić zań życie, które odtąd jemu zawdzięczam.

— Co tam jest pomiędzy waszmościami nam niewiadomo, lecz ów nieznany jegomość czyni nam szlachcie despekt, gardząc gościną i tając swoje godność, jakbyśmy to znać jej nie byli warci. A nareszcie skoro się rzekło iż go bierzemy w jasyr, więc nie na to abyśmy go sobie od pierwszego słowa odbić dali,—zawołał chorążyc Kopycki, słynny w powiecie z gorącej a nieco zawadyackiej fantazyi: obok niego zaraz złożyła się kupka gotowa do burdy, która już szabelkami pobrząkiwała.

Podróżny namarszczył brwi i już ręką stuknął o furdyment szabli, chcąc ją widocznie obnażyć i drogę sobie przez ten tłum utorować, kiedy nagle ujrzawszy wyraz trwożny a błagalny zarazem w modrem oku dziewczyny, zmieniając nagle zamysł, rzekł wcale nieulęknionym głosem:

— Niewcześnie zawdzięczałbym okazany afekt przez waszmość pana miłościwego gospodarza, gdybym w ów dzień szczęśliwego wybawienia, burdę na jego gruncie z ichmościami rozpoczął, a do tego w obecności czcigodnej imć panny. Nie ważąc więc sobie tego czy ichmościowie poczytacie iżem się przeląkł waszych przekąsów i pogróżek, dobrowolnie oddaję się w jasyr, wszelako nie ichmościów, ale tylko przezacnych gospodarstwa i rad jestem że ujmując czasu od pilnej drogi, dostąpię zaszczytu złożenia waszmości i jego przezacnej córze powinnej submisyi.

A mówił wszystko tak sierdziście iż znacznie się fervor szlachty utemperował. A przy ostatnich wyrazach kłaniał pięknie Podkomorzemu i pannie, która ze swej strony

obdarzyła go wdzięcznym jasnych oczu połyskiem. Podkomorzy zaś setnie uradowany porwał go w objęcie i wołał:

— Niechże cię Bóg błogosławi, a wszelakie na cię pociechy zsyła, bo o ile się teraz raduję, cięższy bym jeszcze miał ztąd frasunek gdybyś moją chatę ominął.

Na to zręczne dictum podróżnego agresorowie w milczeniu zwiesili nosy, ale zarazem już i niechęć przeciw nieznajomemu na wąs namotali.

* * *

Uradowany Podkomorzy podziękowawszy stokrotnie nieznajomemu za łaskawe przyjęcie jego gościny, kazał natychmiast Dubynie otrąbić: „pojezdne“. Na odgłos rogu całe myślistwo uszykowało się jakby wojsko regularne: przodem jechał Podkomorzy na szwedzkim małym bułanku, mając po prawicy nieznajomego gościa, a z drugiej strony córkę, która dziwnie pięknie wydawała się na dzielnym białym tureckim bachmaciku, a toczyła nim z nieopisanym wdziękiem i śmiałością, od czasu do czasu na pięknego nieznajomego poglądając. Za niemi postępowała szlachta trójkami, a spozierając zukosa na podróżnego, gwarzyli o nim niechętnie:

— O! mospanie, to jakiś z głupia frant, udaje niewiniątko, odrzucił połowę, bo ręczę iż zakroił na całą fortunę Podkomorzego, a może i na rękę Podkomorzanki—ot czego mu się chce.

— Oho! zje djabła czy dostanie—ozwał się jakiś młokos, a zapewne aspirant do tych zaszczytów.

— Odsadzim go jak kota od sadła.

— A jaki butny, propozycyę braci szlachty odrzucił, a magnacką akceptował.

— Musi to być banit jakowyś, może szpieg bisurmański, kiedy nazwiska nie chce wyjawić.

— A gdyby go do grodu dostawić?

— Ej, daj waść pokój, czyliż my to instygatorowie.

— Ano to go przez kij przesadzić i porządnie okiereszować.

— Byłbym nie od tego—wtrącił Chorążyc.

— Zapominacie że to sprawa z Podkomorzym, który za swojego gościa murem stanie.

— Przecież go nadszarpała niedźwiedzica...

— Ej co tam nadszarpała, toż to stary z kamienia.

— Z kamienia nie z kamienia, to nam wszystko jedno a taki *nec Hercules contra plures* i temu chłystkowi nie darujem.

Tak sobie gwarzyła szlachta odgrażając się na nieznajomego, który tymczasem postępując z ojcem i nadobną panną, bawił ich zajmującym dyskursem.

Za szlachtą postępowało myślistwo Podkomorzego, pod wodzą jego wielkiego łowczego Imci pana Kaweckiego, który umiał rygor i posłuch w szeregach utrzymać—a zastęp ów łowiecki był liczny, przeszło ze stu ludzi złożony, wszyscy w jednakiej barwie zielonej, a każdy też jednako uzbrojony we flintę i kordelas, tylko dojeżdżacze przodem za łowczym jadący odznaczali się od reszty sutszemi galonami i rogiem myśliwskim, przewieszonym na czerwonym sznurze przez ramię—siedzieli na zwinnych konikach pod jedną miarę, a własnego chowu Podkomorzego, bo w one czasy stada Piaseczyńskich słynęły na kraj cały.

Za myślistwem ciągnęli już w rozprzężonym ładzie ciury łowieckie, z psami, sieciami i rozmaitym rynsztunkiem myśliskim; ci już sobie gwarzyli głośno i swobodnie, a nawet częstowali się nieskonsumowanemi w kniei zapasami jadła.

Drugi on jeździec na żmujdzkim szłapaku, a jak widzieliśmy zajęty żywieniem się ze skórzanej torby, podczas kiedy jego pan łowy obserwował, ujrzawszy go jak z myśliwstwem pociągnął, zawiązał starannie torbę, wziął jedną z rusznic, którą dźwigać było jego powinnością, a wdrapawszy się na szłapaczka, wmięszał się pomiędzy ciurów, a skoro zdejmując kapuzę, powitał ich niezrozumiałym językiem:

— *Tegulbas pogarbintas Jezus Christus* [1]).

Dziwili się że w niechrzczonej mowie imię Zbawiciela wspomina. Pytali tedy co zacz, zkąd przybywa, kto jest pierwszy jeździec? i t. d., a ciekawi byli jak owa szlachta względem jego pana; na wszystko jednak odbierali tęż samą krótką odpowiedź.

— *Ne suprantu* [2]).

Jęli się tedy naigrawać z całej jego śmiesznej postawy, na co on wszakże baczenia nie dawał, a gdy poczęstowali gorzałką, spijał ochotnie, a otarłszy usta, powiadał:

— *Giera arielka — dieku* (dobra wódka — dziękuję).

Potem, kiedy wskazując na torbę, gestem spytali coby zawierała, odpowiedział:

— *Szupenis* (rodzaj kaszy ze świniną).

Każdą im tam rzecz nazwał w owej niechrzczonej mowie, lecz gdy się przodujący podjęli na górkę i ciurowie wskazali mu jeździca postępującego pomiędzy Podkomorzym a panną — odpowiedział krótko:

— *Ponc* (pan).

Lecz do zdobycia innych szczegółów żadne migi nic nie pomogły, wywołując tylko nieodzowne — „*ne suprantu*“...

---

[1]) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

[2]) Nie rozumiem.

Już się ciurowie niecierpliwić poczęli na wzór szlachty, lecz gdy przejeżdżali obok figury Zbawiciela, a nieznajomy uchyliwszy kapuzy, pobożnie się przeżegnał, a nawet krótką modlitewkę wyszeptał, o ile tyle z nim się pogodzili, bacząc iż gorliwym był chrześcianinem. Wszakże powtarzając gęste libacye dowiedzieli się tyle, że on dziwaczny jeździec zwał się pomimo chrześciańskich znaków czynionych przed figurą niechrzczonem imieniem *Myszejkis*, a jego pan—*ponc*.

ROZDZIAŁ III.

Zanim kawalkata dojedzie na miejsce przeznaczenia, poznajmy się bliżej z osobami bardziej czynnemi w toku niniejszego opowiadania. Już bezwątpienia czytelnik się domyślał, że ów odważny zapaśnik z niedźwiedzicą był podkomorzy bracławski, Jan Gwalbert Piaseczyński, jeden z możniejszych magnatów swojego wieku; posiadał bowiem znaczne dobra w województwie Kijowskiem, miasto Chodorków z kilkoma wsiami, takież dobra Mołodijowieckie w powiecie owruckim, klucz Uładowiecki na Podolu i znaczne jeszcze majątki rozrzucone w województwie wołyńskiem i innych, Co do zalet duszy słynął z hojności dla kościołów i skory u był w nędzy opatrywaniu. Co do ciała słynął z niepospolitej siły, doświadczonej w bojach i łowach, męztwem zagrzewanej.

Z tak wielu darów bożych na jedną głowę wylanych zaiste wielka pomyślność złożyćby się winna, lecz jako żywo, troska i frasunek w życiu Podkomorzego nieodstępnie towarzyszyły; najukochańsza żona odumarła go w lat sile, pozostawiając troje drobnych sierot, a te gdy z macierzyńską prawdziwie pieczołowitością do wieku dojrzałości dochował, syn mu zginął w nieszczęsnej cecorskiej potrzebie, na którą razem z ojcem wyszedł; córki zaś dwie starsze zaledwie w godnem małżeństwie postanowione, w kwiecie wie-

ku bezpotomnie zeszły ze świata. Dojmowało to bardziej strapionego ojca, albowiem ostatnim był ze swojego rodu, a przynajmniej z tej dzielnicy Piaseczyńskich, która przedniejsze w hierarchii szlacheckiej trzymała miejsce, a wielu senatoryami wywodziła się. Doradzali Podkomorzemu przyjaciele zawarcie powtórnych związków małżeńskich dla podtrzymania zacnego rodu, lecz zanadto głęboko zachował w czułem sercu pamięć ukochanej małżonki, ażeby obok niej mógł nowym sentymentem zapałać. Część inną serca poświęcił opłakiwaniu zmarłych dzieci, a największą zajęła ostatnia córuchna, jedyna pociecha życia i bodziec do niego, owa nadobna dziewczyna, którą poznaliśmy na łowach. Matka dając życie dziecięciu sama je postradała, a ulubiona Podkomorzego Magda, imię matki nosząca, była mu nieboszczki przypomnieniem i żywym obrazem.

Magda chowała się jak się chowały zazwyczaj ówczesne szlachcianki: Bóg ją obdarzył urodą, wdziękiem a poczciwością, sam też ją chował w swej bojaźni a miłości ludzkiej, za sprawą księdza proboszcza, który jej prócz duchownego pokarmu, udzielił tyle scyencyi światowej, ile ówczesnej białogłowie znać ich przystało. Ani uwierzycie modni panowie, że podobne chowanie niewiast było stokroć głębsze, Bogu i ludziom milsze, a co ważniejsza bardziej się stosowało do wymagań kraju i potrzeb domu a rodziny, niźli dzisiejsze moderowanie białogłowskich lalek przez francuzkie *mamzele i madamy*. Wszakże każdy czyni jak mu lepiej, a co prawda, do opowieściarza dawnych czasów teraźniejszość nie należy — a więc wracam do rzeczy.

Magdalena Piaseczyńska, lubo w surowej moralności chowana, była, jakby po dzisiejszemu nazwać wypadało, „emancypantką“ w swoim rodzaju — co za zgroza! szczególnie na owe czasy — lecz tak było w istocie. O ile zaś rozumiem, dzisiejsza wasza emancypacya, miłe panie, zależy

na tem, aby nikt widocznie woli waszej nie tamował — otóż tak działo się i z Magdą, że nikt jej czynów nie przestrzegał jawnie oprócz Boga i religii, które miała głęboko ugruntowane w sercu; była panią domu w całem znaczeniu, kierowała wszystkiem — za wyjątkiem myślistwa. Co dotyczy oznak powierzchownych emancypacyi, bawiła się łowami, strzelała wprawdzie tylko z łuku i to expedite, a dla tego tylko nie z rusznicy, iż ówczesna broń palna była za ciężką na siły niewieście, jeździła konno, a nawet kto wie... czy nie paliłaby papierosów, gdyby na parę wieków wprzód były wynalezione.

Najdowała się wprawdzie w domu, tak pro forma, dla zachowania jego godności, stara krewna z tytułem ochmistrzyni — lecz już zgrzybiała, na pół niewidoma staruszka, sama więcej potrzebowała opieki i starania, aniżeli go udzielić mogła. Wyjdzie więc na moje, że nad Magdaleną ochmistrzował Bóg i czyste sumienie. Dom prowadzony jej drobną rączką, zachował dostatek dawny i godność rodową, ludzie i wszelakie stworzenie boże odbierało co któremu należało w opatrzeniu i wygodzie, biędny nie wyszedł z próżnemi rękoma, gość wyjeżdżał syty i zadowolony — co widząc rodzic stary nie zamyślał nigdy o potrzebie przejęcia cugli rządów silniejszą ręką, a tylko mawiał od czasu do czasu, prędzej dla oczyszczenia ojcowskiego sumienia, niżli z przekonania:

— A czemużby to doniu nie przenieść tych mądrych rządów na swoje gospodarstwo; masz przecie tylu statecznych kawalerów, którzy czatują, aby ta biała rączka choć paluszkiem kiwnęła.

Dziewczę w takim razie tuląc główkę do szerokiej piersi ojca, odpowiadało:

— Alboż nam tak źle razem, panie ojcze? Moje biedne siostry szukając lepszego na śmierć trafiły. Pozostańmy tak

razem do czasu, a potem co Bóg da, niech to będzie w Jego wszechmocnem ręku.

Zawsze po takiej rozmowie starzec i dziewczyna po łzie otarli — on koił smutne wspomnienia polowaniem, a ona go strzegła i czuwała jak nad dziecięciem. W tym stanie rzeczy rok jej dwudziesty drugi przemijał, co na ówczesną pannę, a do tego dziedziczkę pierwszego w kraju wiana, można było za fenomen poczytać. Jeździliż swaty i konkurenci o sto mil drogi, a co przedniejsi dygnitarze i personaty, z krzesłami, parentelami i Bóg wie nie czem. Stary niby zawsze molestował, doradzał, zachęcał, a w duchu myślał: „co Bóg da, czy to jej pilno!!...“ A wiano pod dobremi rządami rosło i konkurenci głowy tracili, a każdy żywiąc się nadzieją zdobycia niedostępnego serca i ręki, trwał silnie przy swojem—a że dom był hojny i zamożny, a Podkomorzy przy smutnych wspomnieniach podczas umiał dobyć wesołość, łowów sławniejszych może i w całym kraju nie było, więc się i goście roili, dom się prawie nie opróżniał — bo niejeden ze zrekuzowanych a upartych myślał sobie: „Niech się panna starzeje a posag rośnie, niewielka bieda, zawsze to kiedyś będzie moje.“

* * *

Że trójka prowadząca cały orszak myśliwski, gwarząc i ciesząc się gościem wolno postępowała, zaledwo po półgodzinnym pochodzie wyszła z lasu na piękną równinę, na wzgórzu której ukazało się im miasto Chodorków, rezydencya główna Podkomorzego. Naprzód u bram miasta wznosiły się dwie wieże wspaniałej świątyni *) fundacyi Piaseczyńskich, znanej ze swojego przepychu, a przy niej roiły

*) Spłonęła przed 100 laty.

się tłumy ludu jakby na odpuście. Zdziwiony tem Podkomorzy, zapytał córki:

— A może to uroczystość jaka, a my dziś polowaliśmy, a czemuś nie przypomiała, masz aśćka grzech na sumieniu.

— Nie ojcze, dziś nie ma święta.

— Słyszysz, dzwonią we wszystkie dzwony, może to jakie nieszczęście się stało, przyspieszmy kroku.

Magda nie odpowiadając uśmiechnęła się filuternie. Podkomorzy puścił konia dobrym kłusem, toż nieznajomy i panna uczynili, a cały orszak za nimi pospieszył. Zaledwie się zbliżyli do tłumu ludu, który z mężów, niewiast i dzieci przeszło tysiąc głów zawierał, a coraz nowym się zwiększał napływem, na widok swojego pana zatrzęsła się ziemia od okrzyków ludu:

— Niech żyje nasz pan i dziedzic!

— Niech żyje jego wybawca!

Podkomorzy i Magda łzami zalana, zeskoczyli z koni, wmieszali się pomiędzy lud; poczęło się rąk całowanie, ściskanie kolan, ośmielone rówieśnice Magdy brały ją w objęcia i nikt nie myślał wyrywać się od tego co uczucie przynosiło; aż kiedy ksiądz proboszcz, staruszek siwy, ukazając się we drzwiach świątyni, ozwał się do rozrzewnionego ludu łagodnie i wesoło:

— A cóż to synaczkowie mili, chcecie dokonać tego czemu srogi zwierz nie sprostał, za sprawą podróżnego, którego nam Opatrzność zesłała, i udusić waszego dziedzica? pójdźcie tu lepiej do kościoła, podziękujemy Bogu za to że nam zachował naszego pana i dobrodzieja, a pomodlim się o zdrowie jego wybawcy.

— Tyś to wszystko sprawiła moja panno — szepnął Podkomorzy do córki z łagodną wymówką, idąc przodem do kościoła.

— Nie ojcze, wierz mi, żem sama była tego nieświadomą, a sprawcą wszystkiego jest twoja dobroć i łaskawość któremi serca ludu sobie niewolisz—odpowiedziała we łzach córka, rękę ojca do świeżych ustek tuląc.

Skoro wchodził ojciec z córką do świątyni, na jej progu powitał ich staruszek kapłan Krzyżem św. i wodą święconą. A gdy za niemi podróżny wstępował i rękę kapłańską z pokorą do ust cisnął, rzekł ksiądz:

— „Błogosławionyś który przychodzisz w Imię Pańskie!“ Boś tu synu, przybył jako Jego posłaniec, jako narzędzie świętej Opatrzności, abyś tysiące ludu od ciężkiego sieroctwa ochronił. Bądź błogosławiony synu mój, niech cię Bóg szczęśliwie prowadzi tak w tej drodze twojej, bo widzę żeś jest podróżny, jako i we wszelkich zacnych i pobożnych twoich imprezach, a do wiecznej doprowadzi chwały z Bogiem Ojcem i Duchem świętym. Amen.

Mówił to ksiądz staruszek drżącym od rzewności głosem a młodzian ugiąwszy kolana jakby przed słowem Bożem, podał głowę pod błogosławieństwo i łza w jego męzkiem oku zakręciła się.

Weszli do świątyni i głośne „Te Deum“ wzbiło się ze setnych piersi aż pod stropy niebieskie. Poczem kapłani z pobożnymi odmówili inne jeszcze modlitwy dziękczynne.

Skoro wyszli z świątyni, wieśniacy na silne barki chwycili swojego pana, inni za nim podróżnego i nieśli dalej w tryumfie, wiwatując. Niewiasty pochwyciły swoję panienkę Magdę i tuż obok nich postępowały — a uradowana dziewczyna śmiała się z niemi kołysząc na ich ręku, i dawno nie byli tacy szczęśliwi. O! bo zaprawdę miłość ludzka to źródło szczęścia niewyczerpane!

Jednak nie bez tego ażeby zgrzyt jadowitej zawiści nie sfałszował tej czystej melodyi uczucia; szlachta, szcze-

gólniej młodzież na widok tryumfu nieznajomego zachmurzyła się poziomą zazdrością i szeptała sobie:

— Ej! pilnować się trzeba, żeby czasem te chamy nie wyniosły tego obieżyświata aż do kobierca z Podkomorzanką, bo wszystko się widzi, iż to szczwany lis, a wstyd by nam był gdyby jakiś przybłęda, z tajonem nazwiskiem, a ztąd może banit, zdmuchnął nam dziewkę, a co gorsza takie wiano z przed nosa.

I podali sobie ręce na zgubę nieznajomego.

Nim dalej pójdziemy, winienem czytelnikowi parę wyjaśnień: naprzód, że do owego serdecznego powitania dziedzica w niczem się Podkomorzanka nie przyczyniła, a tylko parobcy wiejscy przypatrujący się łowom rozniešli po wioskach wieść o cudownem wybawieniu dziedzica, a reszty miłość dla dobrego pana dokonała.

Powtóre, a co najważniejsze, może mi jakiś mieszkaniec Chodorkowa lub jego okolic, przypatrujący się stepom pokrytym gdzieniegdzie skarłowaciałemi krzaczkami, zarzuci, zkąd tam się wzięły przed parustem laty wielkie puszcze i knieje, mieszkania srogich niedźwiedzi i gdzie się podziały? Odpowiedź na to gotowa w nieoględności naszego czasu oraz w niemieckich i izraelskich siekierach, a także w kominach licznych spółczesnych cukrowni, przez które w marnym dymie przepuszczamy stare lasy, to istne bogactwo i zdrowie kraju—ale za to jakże nam słodko!

* * *

O kilka staj od kościoła, na wysokiem wzgórzu wznosił się zamek drewniany, jakie naówczas pospolicie budowano, szczególnie w tamtych krajach, gdzie najczęściej broniono się od napadu tatarów niewojujących bronią ognistą; głębokie fosy otoczono gęstym częstokołem, którego bale

wpojone jedne w drugie jakby mur najdoskonalszy, silną całość stanowiły. W narożnych punktach wznosiły się cztery wysokie lamusy na podmurowaniu, opatrzone strzelnicami, te silniej jeszcze od częstokołu z dębu w pień ciętego budowane, dość zasadnie wyglądały, a służyły zarówno za baszty dla czat, jak i za skład amunicyi wojennej, osłonę dla broniących twierdzy, a w ostatecznym razie przy zdobyciu zamku, zawierały lochy podziemne ciągnące się do wsi przyległych lub w odkryte pole, gdzie dostawszy się pokonani zamieniali się w oblężników i niespodziewanie uderzywszy na niedawnych zwycięzców, zamek napowrót odbierali—podobny traf wydarzył się w samym Chodorkowie przed kilkudziesięciu laty za ojca dzisiejszego dziedzica, kasztelana kijowskiego, który wyprowadziwszy całą załogę twierdzy podziemnemi chodami, wrócił tejże nocy, napadł zwycięzców, wszystkich w pień wyciął, wziętych w jasyr oswobodził kilka tysięcy ludu, a lubo tatar jakiś przez zemstę, prochy w zamku podpalił, jednak tak szczęśliwie że w onym wybuchu żaden chrześcianin nie zginął, a siła bisurmanów śmierć poniosła, tak iż z ośmiotysięcznej hordy, jak tradycya niesie, wszyscy śmierć ponieśli, a jeden tylko tatar w niewolę się dostał, a przytem wszystkie łupy indziej zrabowane, stały się zwycięzców własnością. W ogóle wsławił się Chodorkowiecki zamek kilku dzielnemi obronami, a miał jeszcze tę szczególną dla odporu własność, że fosy głębokie zazwyczaj suche, za podniesieniem szluz w przyległych stawach w oka mgnieniu wodą się napełniały.

Mosty opuszczono i czat niebyło u bram, lecz cała służba wysypała się na powitanie drogiego pana, niesionego na barkach wiernego ludu. Skoro bramy i mosty przebyli, weszli w długi szpaler z odwiecznych modrzewi, który na obszernym dziedzińcu w rozmaite krzyżował się strony; na końcu szpaleru, wyniesiony nieco nad powierzchnię, wszak-

że nie górując nad obronną palisadą, wznosił się dom Piaseczyńskich, a śmiało powiem gniazdo rodowe, albowiem już na paręset lat dźwignięcie się jego liczono; nie zwał się dworkiem, a całym dworem, bo miano „pałaców“ pomiędzy szlachtą jeszcze się nie rozpowszechniło; różnił się tem od dworku, że miał dach podwójny włoski na dwie kondygnacye, nie pod strzechą słomianą a pod gdańską czerepicą i ganeczek sakramentalny obszerniejszy, już nie o dwóch, ale o czterech słupach i na cztery schodki nad poziom wyniesiony. Ściany połyskiwały na zewnątrz starością dębu, który przez czas nabiera poloru niepodobnego do naśladowania; drzwi miał wysokie misternie kowane, okna łękowate z szyb drobnych w ołów oprawnych. Komnaty widne a wysokie, piece polewane, które natenczas dopiero w modę wchodząc, już pewien zbytek stanowiły, a komnat ze zbrojowniami, skarbami i przeróżną attynencyą, liczył około trzydziestu.

Miło tam spojrzeć było na wewnętrzne urządzenie, nad symetryą którego nikt się nie zastanawiał i do mody się nie stosował, a co ojciec nagromadził wnuk zachował swoje przydając, a nikomu na myśl nie przyszło mieniać czyste srebro na połyskujące *Frażety i najsilbery*, dawną porcelanę na fajans angielski, perski dywdyk na nowomodny czapraczek lub starą karabellę na modny rożenek i turecką kulbakę na francuzkie siodło—czego nas spółczesny postęp nauczył.

Tam to byś się uczył archeologii i wiek po wieku na nagromadzonych pamiątkach określał, a wszędzie tam suto bogato, kapało od srebra i złota.

Pomimo jednak owych pańskich pozorów dworek to był prosty a duchem ubogi, warty ani nowego wynalazku szwajcary nie strzegli dostępu do gospodarza, którego tak drzwi jako i serce naściężaj o każdej porze stały otworem;

nie wierzono tam w hierarchię rodową, przesądy wielkości, bogactw i zaszczytów — a działo się po chrześciańsku, Bóg był na pierwszem miejscu, a po nim bliźni, czy to w huni czy w sajecie.

Skoro tryumfatorowie niesieni zostali uwolnieni przed dworem z bark ludu, podkomorzy wyściskawszy swoich, jak ich zwał, przyjaciół, a podkomorzanka przyjaciółki, zajęła się natychmiast poczęstnem, wytoczono z piwnic beczki z gorzałką i miodem, a jadła jakie dom posiadał na prędce, i rozweselona gromadka spożywając dary pańskie, dalej na cześć jego wiwatowała.

* * *

Porządek był taki w domu Podkomorzego, że po łowach każdy dostawał kącik, aby się ogarnąć i ochędożnie na pokojach stawić; lubo dom był duży, ale zazwyczaj stosunkowo gromadka łaskawych większą bywała, goście w kilku i kilkunastu mieścili się w jednej izbie, jako dobrze sobie znani, podróżnego zaś jako tu nieznanego i że w ważnej katastrofie dnia tego prym niejako trzymał, umieszczono w osobnej a paradniejszej gościnnej komnacie, i to się nie spodobało szlachcie krzywo na przybysza patrzącej i już pomrukiwać zaczęła:

— Cóż to jest, przybłęda jakiś, niemogący wyjawić nazwiska, a już mu okazują atencyę szczególną, lokują w osobnym apartamencie jak biskupa lub senatora!

— A ciekawy jestem—wtrącił z przekąsem inny—w co się ten *bisurman* przystroi, zrzuci chyba krymską burkę a wdzieje kożuszek tatarski.

„Bisurmanem“ go przezwali od stroju który miał na sobie. Podróżny tymczasem zdjąwszy niewielki tobołek, który miał przytroczony u siodła, wręczył służebnemu, któ-

ry go do gościnnej izby prowadził i wolny plac szydercom pozostawił.

A był zwyczaj w domu, ze obiad następował w parę godzin po łowach, które że dnia tego wcześniej się zakończyły, niż zwykle ze słońca zachodem, bo wkrótce po południu, z racyi tego wypadku, więc że szlachcie dość czasu pozostawało, rozsypała się po szpalerach wirydarza, na dziedziniec stajenny, a tam nowy assumpt do urągowiska zdobyli nad owym giermkiem nieznajomego, który że nie mówiący żadnym „chrzczonym“ jak nazywali językiem, za cel szyderstwa ciurom służył i szlachta nabawiwszy się nim do woli, poczęła pomiędzy sobą wyszukiwać któregoś co z tatarami litewskimi się znawał, a po tatarsku umiał, suponując iż nieznajomy uciekając z jassyru, wziął z sobą tatara; znaleziono owego *quodam* do tatarszczyzny aż na wirydarzu, lecz i ten pomimo całej erudycyi, Myszejkisa nie zrozumiał. Poszła więc szlachta po rozum do głowy, a któryś zakonkludował:

— Ej! to musi być z głupia frant jak i jego pan, a ma sobie nakazane przez niego żeby plótł duby smalone, aby się z niczem nie wygadał.

Jęli się tedy innego sposobu, poczęli Myszejkisa poić, a on z niewzruszonym stoicyzmem wlewając czarkę po czarce, wciąż powtarzał:

— *Giera arielka.*

Chcieli go datkami zmolestować, on sypiąc czerwone i białe złote w zanadrze, powiadał „*dieku*“; jadło którego nie mógł spożyć wsypywał do bezdennej skórzanej torby, a jeżeli była mowa o jego panu, odzywał się „*ponc*“, a wszystko kończyło się na sakramentalnem „*ne suprantu*“.

Nakoniec ozwała się trąbka z baszty; był to znany sygnał obiadu i że na pokoje czas się stawić, a tu nie byli przybrani i fortel im się nie powiódł z prostodusznym My-

szejkisem, ztąd bardziej rozdrażnieni na nieznajomego ogarnąć się pospieszyli.

Skoro oni ciekawi weszli na pokoje, zastali kilku starszych zabawiających się z gospodarzem, a nieznajomy siedząc obok panny w dobrej komitywie, statecznie z nią dyskurował—a jak na złość zawistnikom wcale nie wyglądał po bisurmańsku: kontusz był na nim ponsowy aksamitny z niebieskiemi wyłogami—nietrudno w tem było poznać mundur Żmujdzkiego księztwa—bo zlekka przy kołnierzu żupan biały przeglądał, jednak wyloty miał zapięte, co żałobę oznaczało, a drugą jej było oznaką że pas na czarną stronę bez misternego węzła był nawiązany; a co dziwniejsza, że owa szabla krzywa turecka, na furdymencie była owinięta czarną krepą: znak to był żałobny używany li tylko wyłącznie na obchodach pogrzebowych hetmanów lub starszyzny wojskowej.

Od stóp do głowy siarczyście wyglądał, ani byś w nim poznał owego skromnego wędrowca w krymskiej burce i tatarskiej czapie, a znać w nim było gładkiego i światowego kawalera. Samo przez się, szlachta go dokumentnie od stóp do głowy obejrzała, przez co bardziej jeszcze nabrała ku niemu rankoru, za to że im stateczną prezencyą jakby jaki senator imponował. Rozpatrując strój przybysza w najdrobniejszych szczegółach, dostrzegł tam któryś dużego sygnetu herbownego na palcu, jeden tedy drugiemu znać dał o tej szczęśliwej inwencyi, po ktorej z kłębka do nitki dojść by mogli, bo jak klejnotu się dowiedzą, ztąd i do godności droga niedaleka—jęli tedy zachodzić znienacka ztąd i owąd i na rękę z sygnetem bacznie poglądać, lecz jak na złość nie mniej od nich czujny nieznajomy, niby od niechcenia krwawnik w stronę dłoni obrócił i spodziewaną ciekawość w samym wątku przeciął, przez co ostatecznie sobie młodzież zniechęcił, która już tylko przemyśliwała o zemście, jakby

ją wywrzeć rychlej i skuteczniej. „A za co?“—żaden z nich sobie tego pytania nie zadał.

* * *

Skoro przeszli do komnaty jadalnej, najobszerniejszej w całym domu, zastali stoły zastawione na półtorasta przeszło osób, bowiem do stołu Podkomorzego prócz gości i rodziny siadali starsi i zasłużensi domownicy i słudzy oraz liczny zastęp biednych, szczodrobliwością jego żywionych.

Skoro starodawnym obyczajem obecny kapłan odmówił *Benedicite*, gospodarz przedniejsze miejsce pomiędzy sobą i gospodynią domu, którą była Podkomorzanka, nieznajomemu deferował, ten się wymawiał przekładając iż są dostojniejsi a poważniejsi wiekiem dla dostąpienia tego zaszczytu. Atoli Podkomorzy, trwając przy swojem, rzekł:

— Chwali się waszmość panu ta skromność, atoli dziś przy wyłącznej okoliczności prawo przodowania tobie należy, albowiem bez twej dzielności i przytomnego znalezienia, nie miałbym tego szczęścia i zaszczytu podzielić co Bóg dał z miłościwymi panami a bracią.

Starsi uczciwszy tę skromność w młodzieńcu, chętnie ustąpili mu swojego kroku za zdaniem gospodarza idąc. A gdy zmuszony podróżny przednie miejsce zajął, szlachta nanowo sarkać poczęła, szepcząc pomiędzy sobą:

— Tego tylko brakło, znajda i przybłęda na tem miejscu, któreby nietylko każdy dygnitarz, ale nawet sam Król Imć zajął, gdyby się między nami znajdować raczył.

I coraz niechętniej na przybysza spoglądali.

Traktament Podkomorzego był suty i hojny a serdeczną gościnnością zaprawiony, lecz daleki od tych zbytków i wykwintów zamorskich, które już w tych czasach pomiędzy magnatów i mniej dostatnią szlachtę wkradały się.

Ochota i szczerość dodawały wyszukanego smaku prostym potrawom, a czasze pełne nierzadko na tych ucztach krążyły.

Skoro nadszedł czas pierwszego wiwatu, Podkomorzemu podano puhar szczerozłoty misternej roboty, umiarkowanej wprawdzie objętości, który on napełniwszy winem, powstając przemówił:

— Mnie wielce miłościwi panowie i bracia, jest to puhar, którym nieboszczyk ojciec mój powitał łaskawych na swój dom braci, w dzień dopełnienia nademną niemowlęciem sakramentu chrztu św., o czem świadczą stosowna data i nadpis...

— Miałem zaszczyt spełnić on wiwat z tegoż kielicha—wtrącił Imćpan kasztelan Hoscki, starzec już bardzo w lata podeszły.

Podkomorzy pokłoniwszy się przerywającemu, ciągnął dalej rzecz rozpoczętą:

— Jak tedy mojemu ojcu nieboszczykowi podobało się powitać łaskawie początek mojego mizernego żywota, tak ja na oną pamiątkę czyniąc, pragnę uczcić przedłużenie onego, które zawdzięczam zacnemu mojemu wybawcy i wnoszę ten kielich w ręce Imci pana kasztelana, który już raz swojemi dostojnemi usty dotknął tej czary, a za zdrowie i pomyślność najmilszego naszego gościa Imćpana...

Tu się gospodarz zająknął i skłonił głowę przed podróżnym; był to fortel zręczny dowiedzenia się o jego godności i tytule, bez niedelikatnego zapytania. Uradowana tym argumentem dobrze postawionym szlachta, już z ukontowaniem pomrukiwać zaczęła:

— Setnie-ż go zażył z mańki stary, już się teraz nie wywinie i nakoniec dowiemy się co zacz ów pyszałek?

Nieznajomy nim odpowiedział, poczerwieniał cały, zimny pot wystąpił mu na czoło: atoli widząc powszechną

uwagę na siebie zwróconą, po niejakiem wahaniu donośnym głosem odpowiedział:

— „Porucznik pancernej chorągwi...“

Gospodarz pojąwszy z tonu wymówienia tych słów, że dalsze wyjaśnienie gość jego pragnie zachować w tajemnicy, podchwycił gromkim głosem, rzecz rozpoczętą kończąc:

— ... a więc, za zdrowie i pomyślność najmilszego naszego gościa *Imćpana porucznika pancernej chorągwi!*

A na ostatnich wyrazach taki nacisk położył, jakby chciał dać poznać iż życzeniem jego jest, aby o więcej nie pytano, i po starszeństwie, kielich napełniony wręczył kasztelanowi. Dopóki między starszyzną krążył puhar, wszyscy za przykładem gospodarza poszli i kielich sobie z rąk do rąk podawali. Młodsi wszakże podtenczas burzyli się, niekontenci że zastawionych przez Podkomorzego sideł nieznajomy uniknął, a godności swej nie wyjawił. Skoro zatem czara z kolei do młodszych się dostawała, pierwszy Kopycki chorążyc, uznany burczymucha, wznosząc ją do góry, prawił z przekąsem:

— Nie mam we zwyczaju pijać za zdrowie wiatru w polu, ergo nim puhar spełnię, radbym wiedzieć kogo mam czcić onym wiwatem i czyli w rzeczy równym mi jest szlachcicem, bo z chłopstwem i hołotą po karzczmach nie pijam.

Nieznajomemu krwią zaszły oczy, a zawołał gromko, a głosem w którym gniew czuć się dawał:

— „Porucznik chorągwi pancernej!“ powiadam, a kto nie słyszy niech sobie nakole uszu, nim ktoś inny tego dopełni.

— Oho! jaki skory do pogróżek, a jeżeliś mi równy, to się sprawię waszeci, ale czyś ciura czy porucznik to mi nie jest wiadomem, albowiem porucznik pancernej chorągwi to nie hetka pętelka, a możnaby go odszukać w regestrach

hetmańskich, ale na to trzeba być porucznikiem, ale nie obieżyświatem, którego zdrowie oto w ten sposób piją!

I wino z puhara poza siebie wylał.

Gospodarz na tę obelgę poczerwieniał jak pąs, oczy mu krwią zaszły, a silną pięścią uderzył w stół, aż potoczyły się zeń naczynia i szkła o podłogę zadzwoniły, a zawołał głosem ochrypłym od passyi:

— Mości Kopycki, kto nie szanuje gości Podkomorzego Piaseczyńskiego, niewart jego gościny i waćpan zdasz mi sprawę za urazę mojego gościa, na neutralnym gruncie, bo na moim własnym rozprawa z gościem nie przystoi.

Magda przestraszona widząc iż się zanosi na burzę, których dotąd w domu ojca nie widywała, wybiegła do przyległego alkierzyka, a uklęknąwszy przed obrazem Matki Boskiej, której opieki dnia już tego w ciężkiej alternacie doświadczyła i błagała ją o odwrócenie tego nowego nieszczęścia.

Po tem wystąpieniu gospodarza, nim się opamiętali goście, jak sobie począć, nieznajomy jakby nic nie zaszło, najspokojniej zwrócił się do gospodarza i rzekł smutnym tonem:

— Ażali mam zaszczyt znajdować się w domu Imcipana Piaseczyńskiego podkomorzego bracławskiego w Chodorkowie?

— Tak jest do usług waszmości — odpowiedział machinalnie, zdziwiony gospodarz, nie pojmując co owo nagłe przejście do spokoju oznaczać miało, inni toż samo oczy wypatrywali na podobną zmianę, której nikt się spodziewać nie mógł.

— Traf to dziwny sprowadza mię w dom waszmości, któremu mam się sprawić z poselstwa od jego syna Jana, którego ostatnie mężne tchnienie odebrałem i oczy na śmierć zakryłem...

To mówiąc szukał czegoś w zanadrzu, a wydobywszy ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej pogięty i potłuczony kulami, a krwią rycerską zbryzgany, wręczył Podkomorzemu, który skoro on wziął do rąk a do ust przycisnął, załkał głośnym płaczem, a gdy mógł już przez łzy przemówić, rzekł.

— Tak, to ryngraf mojego biednego Janka z wizerunkiem Najświętszej Panny, który zawiesiłem własnemi rękoma na szyi mojego drogiego jedynaka, kiedy wybieraliśmy się na tę wyprawę, zakończoną fatalną klęską cecorską. Po okropnej śmierci hetmana, kiedy nas hufce nieprzyjacielskie rozproszyły, napróżnom go szukał, mówiono mi tylko iż był śmiertelnie raniony... Pewnie zginął, a jego biedne ciało krucy rozszarpali, bom sam go długo szukał i nie szczędziłem na to fortuny i zabiegów.

— Ciało waszego syna—rzekł nieznajomy — złożyłem w pewnem miejscu przy zwłokach mojego ojca nieboszczyka, którego także utraciłem w tej bitwie...

Nie domówił tych słów nieznajomy, gdy starzec objąwszy go za szyję, wołał ze łzami:

— Wiesz gdzie spoczywa ciało mojego Janka, którego krucy z twej łaski nie rozszarpali! O dobroczyńco mój, ulituj się boleści osieroconego ojca... wiedź mię tam, udajmy się zaraz!...

I ciągnął go za rękę jakby się miał ku wyjściu, lecz widząc że nieznajomy z miejsca się nie rusza, złożył przed nim ręce jak do modlitwy i błagał:

— Użal się zbolałego serca ojcowskiego, weź połowę mojej fortuny... całą jeśli chcesz, a tylko zostaw mi ten szmat ziemi, gdzie złożę zwłoki mojego najdroższego jedynaka!...

— Wybacz mi waszmość—odpowiadał smutno nieznajomy—że jego woli zadość stać się nie może, a osądź sam

iż mi równie pilnem jest jako synowi, przenieść zwłoki mojego ojca na ziemię święconą przodków i jeżeli tego dotąd nie dopełniłem, ważne ku temu miałem przeszkody: naprzód przeszło trzechletni jassyr u bisurmanów a następnie smutne okoliczności, które, wybacz waszmość, muszą do czasu pozostać tajemnicą... Atoli zaręczam waszmość kawalerskim parolem, iż przy pierwszej możności sam wam dostawię drogie zwłoki waszego syna, a gdybym tego nie doczekał, jest inny człek świadom tego miejsca, który się do was zgłosi... A na ten wypadek jedno co z darów waszych przyjąć mogę, to że nie zapomnicie wtedy o zwłokach mojego ojca, który przy waszym synu spoczywa.

Łzy mówiącemu zakręciły się w oczach—a nie czekając odpowiedzi rzekł:

— Lecz jeszczem się waszmości nie ze wszystkiego sprawił.

Po tych słowach wyszedł nagle z komnaty i udał się prosto do swojego pachołka, a nim przytomni mieli czas opamiętać się, powrócił i oddając Podkomorzemu trzos ze złotem, prawił:

— Oto jest co mi wasz syn umierający wręczył, nie przyjąłem tego dla siebie ale dla wsparcia potrzebującego, a odliczywszy te pieniądze przy innym towarzyszu, który był tej smutnej przygody na pobojowisku jedynym świadkiem, będąc odarty ze wszystkiego użyłem tych pieniędzy dla siebie, z zastrzeżeniem iż dam alterum tantum jako prowizyę; część tych pieniędzy wydałem aby dotrzeć do gródka, gdzie właśnie w jassyr się dostałem i resztę zabrali mi tatarzy; wyprosiłem sobie u nich ten stary trzos jako pamiątkę, którą waszmość panu składam.

— Ażaliż od towarzysza broni, którego ciału oddaliście ostatnią posługę, nie mogliście przyjąć tego lichego datku, który jako zmarłemu już był niepotrzebny; nareszcie

sam waszmość powiadasz, iż małą część tylko pieniędzy zużyłeś na drogę, reszta poszła na łup nieprzyjaciół; więc czyliż słusznem jest abym brał tę kwotę, która sprawiedliwie jest waszą—odparł Podkomorzy składając przed nieznajomym trzos.

— A tak słusznie jest — ozwało się kilka głosów.

— Skoro więc Imćpan Podkomorzy i waszmościowie tak stanowicie, składając dzięki za ten dar, nabywam prawa rozporządzenia nim według mojej woli.

Rzekł nieznajomy biorąc trzos, a wysypawszy złoto w nim zawarte przed staruszkiem księdzem proboszczem, pocałował go w rękę i rzekł z pokorą:

— Raczcie to przyjąć ojcze wielebny, jako fundusz szczupły na intencyę za spokój duszy świętej pamięci Jana.

— I za spokój duszy twojego nieboszczyka ojca, który z nim razem spoczywa i na intencyę aby ta pobożna ręka, grzebiąca umarłe pod groźbą pocisków nieprzyjacielskich, była błogosławioną i dalej tak czyniła w miłości bliźniego i zaparciu się siebie, aby Bóg ziścił mój synu wszystkie twoje zamysły, które poczciwe być muszą, albowiem kto sobie tak z Bogiem poczyna, zaprawdę Bóg go nie opuści.

Mówił rzewnie staruszek kapłan, kładąc znak krzyża na głowie młodzieńca, którą długo do piersi tulił.

Czuła ta scena nie pozostawiła prawie żadnego oka suchego pomiędzy przytomnymi. Jeden tylko Kopycki, popijając ze swoimi adherentami, szeptał im z zawiścią:

— Ej! to zgłupia frant, uplótł sobie jakąś historyjkę, a za to liche złoto zobaczycie co sobie kupi.

— A teraz!—zawołał Podkomorzy biorąc w objęcia drogiego gościa—kiedy traf tak zrządził iż znane nam jest w części curriculum twojego walecznego żywota, nie odma-

wiaj nam wyjawienia swej godności, której pewny jestem sromać się nie masz czego.

— Mości Podkomorzy, żadnemu innemu, któryby mię zmuszał do tego nie sprawiałbym się z moich intencyi, ale waszmość panu jako statecznemu mężowi, wyjawię dla czego zmuszony jestem imię moje ukrywać: kiedy jeszcze częściej używano zbroi, rycerz którego potkała niezasłużona krzywda a niemogący jej na razie powetować, zakrywał godło na tarczy i na przyłbicy, nie przyjmował wyzwania, nie stawał w szrankach i nie wyjawiał swojego nazwiska, dopóki ciążącej na nim pierwszej plamy nie zmył w krwi przeciwnika, a była to niejako dobrowolna banicya, którą nakładał na siebie niesłusznie pokrzywdzony. Jam uległ podobnemu nieszczęściu i czyniłem to votum, zaparłszy się własnego istnienia, aż pomsty i powetowania przyjdzie czas sposobny. Nie mając zbroi i tarczy pokryłem oręż mój krepą na znak żałoby, zaparłem się klejnotu przodków niczem niezmazanego—lecz skoro wybije pożądana godzina oczyszczenia, wam panie pierwszemu złożę służby moje... a innym wyjawię kim jestem.

Zakończył znacząco spoglądając na Kopyckiego i jego towarzyszy.

Kiedy to się działo pomiędzy Podkomorzym a nieznajomym, Kopycki korzystając z odwróconej uwagi spijał ze swoją kompanią gęste kielichy, a usłyszawszy mowę podróżnego, rzekł zcicha i przekąsem do swoich.

— Tędy liszka ogonem! to niezawodnie banit i tchórz jakiś, ale będę nie szlachcicem jeżeli mu tej maszkary nie zdejmę.

— Mości chorążycu Kopycki—ozwał się surowo Podkomorzy—zapewneś słyszał ostatnią rzecz Imćpana porucznika pancernego, zatem jako człeku honorowemu i szlachcicowi przystało, będziesz mu się submitował z exkuzą i nie

uczynisz despektu mojemu domowi obrażając najmilszego mojego gościa i przyjaciela mojego nieboszczyka syna, a zatem i mojego.

— Przez respekt dla waszmość pana Podkomorzego może i uczynię tę koncessyę, ale wprzód niech mi przynajmniej ten jegomość klejnot na sygnecie pokaże.

— I to waści ostatnie słowo?—spytał z gniewem Podkomorzy.

— *Dixi!*—odparł sucho Kopycki.

Podkomorzy zapamiętały gniewem chwycił już ze stołu stojący przed nim ogromny srebrny roztruhan, a byłby niezawodnie cisnął nim w zuchwalca, gdyby Magda jego ręki nie powstrzymała. Pomiarkował się w czas zagniewany i zwracając się do chorążyca, rzekł stanowczo:

— Żegnam waćpana!

Zaczem do sługi wydał rozkaz:

— Siodłać natychmiast konia pana chorążyca.

Kopycki wnet zerwawszy się z miejsca razem z kilku swoimi, z którymi winem się raczył, odchodząc butnie się ozwał:

— I my żegnamy jegomości panie Podkomorzy, zabawiaj się waszmość zdrów ze swoim przybłędą.

A zwracając mowę do nieznajomego dodał:

— A z waszmością panie poruczniku *ciemnej chorągwi*, do prędkiego zdybania.

Stateczniejsza szlachta dla powetowania krzywdy domu, chciała się rzucić za odchodzącymi zuchwalcami, lecz Magda zastępując im drogę, błagalnie przekładała:

— Raczcie zostawić tych ichmościów w pokoju, czyliż nie widzicie iż sobie podchmielili?

* * *

Dywersya sprawiona przez odeszłą szlachtę nie dała się prawie uczuć reszcie kompanii, zabawiał ich bowiem porucznik pancerny statecznym dyskursem, opowiadając o różnych potrzebach wojennych w których się znajdował, a iż byli tam ludzie rzeczy świadomi, łatwo mogli prawdę słów jego spenetrować. Przyczem sobie zabawiali się i kielichem wszakże w miarę, bo Podkomorzy burd i pijatyk nie był zwolennikiem. Późno w noc dopiero się rozeszli, lecz stary z córką pozostawszy sam na sam z gościem, wsłuchiwali się w jego opowiadania o Janku, nieodżałowanym synu i bracie, a nie spostrzegli się gdy świtać poczęło, a wtedy porucznik pancerny schylając się do kolan Podkomorzego, rzekł:

— Pozwól mi waszmość pan pożegnać go i w dalszą puścić się drogę, a zapewnić siebie o żywej wdzięczności za łaskawe względy jakich od was nieznany włóczęga doznałem, a zastrzegam sobie ażeby mi wolno było skoro istność moją odzyskam, submitować się waszmość panu pod właściwą godnością przodków moich, czego da Bóg uczynić nie zaniecham przy pierwszych szczęśliwych okolicznościach.

Staremu mimowoli łzy się zakręciły w oczach, a widocznie chciałby był dłużej gościa drogiego zatrzymać, lecz po krótkim namyśle składając głowę młodzieńca na ciepłej piersi z uczuciem przemówił:

— Ha! smutna to jest predystynacya ludzka, iż sądzono jest człowiekowi rozstawać się z tymi, którzy mu są mili, ale komu droga temu czas. Pamiętaj wszelako iż ta strzecha jest zawsze w każdej życia doli twoją, przyjazną a rodzimą, jako wybawcy ojca i przyjaciela syna, którego gdybyś mi miejsce mógł zastąpić, dziękowałbym Opatrzności. Lecz gdy się drogi naszego żywota rozchodzą, niech cię Bóg po twojej szczęśliwie prowadzi i jeżeli w tem jego święta wola, niech mi cię da ujrzeć za życia.

Po tych słowach jeszcze go silniej do szorstkiej piersi przycisnął, a na młode czoło rycerza gorąca łza starca upadła. Jasne czoło Magdy zasępiło się.

Podano konia podróżnemu i wierny nakarmiony Myszejkis na swoim szłapaczku wystąpił. Jeszcze raz w ganku żegnali się czule, aż nieznajomy przerywając smutek pożegnania, skoczył nagle na siodło i popędził kłusem, a za nim potrząsł się nieodstępny Myszejkis.

Gospodarz stojąc na ganku z córką, która ukradkiem łzę otarła, żegnał podróżnych ryngrafem syna, który na piersi zawiesił. Słońce jesienne pierwszym promieniem smutną tę scenę pożegnania oświeciło, a długo jeszcze Podkomorzy patrzał za odjeżdżającym i w powietrzu ryngrafem owym krzyż za nim znaczył.

ROZDZIAŁ IV.

Chodorków naówczas zewsząd otoczony lasem, dopiero po przebyciu znacznej jego części rozmaite posiadał drogi, podróżni więc musieli z początku puścić się tą samą drogą, którą z kniei przybyli. Zaledwie kwadrans czasu jechali, i kiedy zapuścili się w gęstwinę, naraz przodujący jeździec został otoczony przez kupkę zbrojnych ludzi; zatrzymali mu konia za uzdę, jego samego tak ciasno osaczyli iż na razie broni dobyć nie mógł.

— A tuś mi przybłędo, trutniu — zawołał pijany Kopycki przewodząc takiejże samej tłuszczy — nie suponuj abyśmy cię chcieli zmusić do orężnej rozprawy, bo tej tylko z równymi sobie szlachta zażywać może, ale ty który podstępem wkradasz się w łaskę pańską i z domów sąsiedzkich rugujesz dawnych zażyłych, nie wymieniając swego nazwiska, które bezwątpienia instygator sądowy zanotował, odstawimy cię pod strażą do grodu i tam się sprawisz coś zacz przed kryminałem. Hej! chłopcy, dalejże zwiążcie pana porucznika pancernego.

Tak szczelnie otoczyła go zgraja, że się bronić nie mógł, a nawet szabli dobyć. Myszejkis, który jechał swoim zwyczajem o kilkadziesiąt kroków za swoim panem, głęboko zamyślony o *szupenisie* i o dziwnych wydarzeniach dnia tego, który jego torbę skórzaną znacznym zapasem wzboga-

ził, usłyszawszy ten tumult na pomoc swojemu panu pospieszył, a jak zazwyczaj wszystko czynił z powolną obojętnością, tak i teraz zdjął szturmak z ramienia a wyceliwszy strzelił w tę zaczepną kupkę; jakoż ranił jednego i popłoch między nimi chwilowy zrządził, wszakże rychło znów się uszykowali; atoli strzał Myszejkisa dał możność podróżnemu dobyć szabli i stanąć w obronnej pozycyi, przyczem rusznicę jako nieprzydatną w ścieśnionym boju rzucił; Myszejkis podjął ją i na nowo dał ognia w kupkę zaczepników, znów jęk dał się słyszeć, inny był raniony i na chwilę szyki się pomięszały, lecz niebawem wróciły do dawnego porządku. Myszejkis tymczasem ukrywszy się w krzakach, wystrzelone rusznice nabijał, lecz kilku nieprzyjaciół zakradłszy się nań z tyłu rozbroili go i związali. Podróżny pozbawiony i tej odsieczy, sam jeden wobec licznej zgrai z szablą obnażoną pozostał; odrębywał się ile mu sił starczyło na prawo i lewo, ale za jeden raz zadany kilka odbierając, a co gorsza że najwięcej dybali na jego prawicę, wołając:

— Chciałeś tam swój psi klejnot ukryć przed nami, ale niedoczekanie twoje, my go zdobędziem razem z twoją łapą!

Już porucznik zmożony siłą chwiać się na nogach poczynał, gdy nagle ze wszech stron wysypała się gromada konnych ludzi, a otaczając walczących, przywódzca ich wołał:

— Bij co się wlezie, wiąż, morduj! A psie syny, hultaje, toż wasza szlachecka zabawa, kupą napadać na jednego!

W okamgnieniu cała zgraja napastników została rozbrojoną i powiązaną, kilku z nich zdołało umknąć w gęstwinę. Opatrzność zesłała odsiecz podróżnemu lecz już zapóźno, bowiem gdy chciał kilka kroków ku swojemu wybawcy postąpić, zachwiał się silniej i padł bez zmysłów nurzając się we własnej krwi.

— Na Boga żywego! tamuj krew, trzeźw, ratuj, kto w Boga wierzysz! — wołał rozpaczliwie dowódzca.

Zaraz kilku pochyliło się nad zemdlonym, inni skoczyli po wodę, lecz już było zapóźno; któryś tam doświadczeńszy przyłożywszy ucho do piersi biciu serca się przysłuchał i zawyrokował:

— Świeć Panie nad jego duszą!

Cisza śmierci zaległa głośne przed chwilą pobojowisko, a z tej ciszy echo rozniosło po lesie głośne męzkiej piersi łkania. Natychmiast roztropniejsi zaczęli rąbać gałęzie, a z nich naprędce upletli nosze i ciało nieznajomego z poszanowaniem na nie złożyli, a wszyscy w milczeniu oczekiwali rozkazów wodza, kiedy tymczasem z krzaków odległych dało się słyszeć wołanie:

— *Wo asz czonaj* (A ja tu).

Był to Myszejkis poczciwy, który związany i rzucony w krzaki nie wiedział co się z jego panem działo, lecz natychmiast z więzów uwolniony, gdy ujrzał martwe zwłoki porucznika, przypadł do nich z płaczem, tak iż zaledwie siłą od drogich szczątek oderwać go zdołano.

— Weźcie chłopcy a ostrożnie to zacne ciało na barki wasze i wracajmy do domu — rozkazywał smutno przywódzca i ruszył się wolnym krokiem smutny orszak żałobny, za noszami szedł ledwie żyw Myszejkis i zanosił się od płaczu.

* * *

Rzeczy się tak miały. Podkomorzy i Magda pożegnawszy nieznajomego, z ganku poglądali za nim tak długo aż tentent kopyt końskich słyszeć się dawał i widać było kurzawę przez podróżnych wzbijaną. A w końcu westchnął starzec i rzekł do córki:

— Widzi mi się, iż o ile stateczny jest i dobry ten

człek, o tyle jakowaś ciężka troska serce mu toczy; niech go Bóg pociesza i prowadzi, a przyprowadzi kiedy do nas jeżeli taka Jego święta wola, bom go jeszcze bardziej pokochał, że wierny wezwaniu przyjaźni ostatnią pamiątkę od syna mi przywiózł. Biedny Janek, gdyby żył, może byłby już także porucznikiem a równie statecznym jak ten młodzian.

Westchnął sobie jeszcze parę razy osierocony ojciec, a nakoniec rzekł do córki:

— Idźże moja dziewko użyj wczasu, żebyś mi nie zbladła, a ja przyjrzę się jak konie czyszczą i pieski karmią.

Córka ucałowawszy rękę żegnającą ojca udała się wewnątrz domu, a stary poszedł ku stajniom, gdzie siła stajennych i szczwaczy opatrywali konie, pieski karmili i rozmaitą taką robotą byli zajęci. Podkomorzy niemal codziennie tam zaglądał, wierząc temu przysłowiu, iż pańskie oko konia tuczy; a zazwyczaj tam pobaraszkował sobie z czeladzią, zachęcił swoją przytomnością do pracy, z ulubionemi pieskami i końmi pobawił się. Zaledwie zbliżył się teraz do pracujących a pozdrowił ich zwykłem — „Niech będzie pochwalony“, gdy dał się słyszeć pierwszy strzał Myszejkisa.

— Co to ma znaczyć? — spytał namarszczywszy brwi Podkomorzy, bowiem u niego jako zawołanego łowca, żaden strzał paść nie mógł bez jego zezwolenia, ażeby niepotrzebnie zwierzyny nie tępiono.

— Kto strzela? powtórzył groźnie — czy wszyscy strzelcy w domu?

— Niebrak żadnego, ale to widzi mi się jegomość strzał nie z naszych flint, a ze szturmaka, który ten bezjęzyczny pachołek nieznajomego pana miał ze sobą — ozwał się jeden z myśliwych.

Zaledwie tych słów domówił, gdy drugi strzał dał się słyszeć, a on znów rzekł:

— Oh, i to z janczarki tego jegomości, którą oglądałem kiedy jego sługa ją chędożył, a dzielna to zaiste broń, u nas nie ma takiej.

Podkomorzy ledwie się chwilkę zastanowiwszy po onym drugim wystrzale, wydał rozkaz:

— Hej! kto żyw na koń oklep tak jak stoisz, i za mną. Każdy weź kordelas i broń nadorędziu, a wynieście mi tam który szablę i flintę lekką.

To mówiąc uchwycił się grzywy pierwszego konia, który mu się nawinął i już siedział na nim, a pędząc ku drodze wołał na swoich:

— Za mną!

Miał on już bowiem presentyment, że ów burda chorążyc rzeczy całej w odwłokę nie puści i obawiał się nowej zaczepki, wprawdzie nie tak nagłej, i dla tego gościa miłego do dłuższego u siebie odpoczynku nie zapraszał.

Już dalej wiemy, jak ze wszech stron otoczonemu porucznikowi odsiecz przybyła, ale niestety zapóźno!

Magda rozstawszy się z ojcem nie udała się do wczasu, ale tylko do swojego gospodarstwa, a gdy wieść doleciała o nagłym odjeździe ojca na czele myślistwa, a pozostali w domu ludzie coś z domysłów kombinowali, Magda wyszła niespokojna na most zwodzony oczekiwać ojca powrotu.

Aż w końcu dojrzała orszak wolno postępujący, na przodzie którego jechał Podkomorzy ze zwieszoną głową, a dalej sześciu ludzi coby dźwigali wytłómaczyć sobie nie umiała. Zaniepokojona przyspieszywszy kroku na spotkanie orszaku, skoro do ojca się zbliżyła, ten jej rzekł z głębokim smutkiem:

— Czyliżem to ja się spodział moja dziewko, iż ci takiego gościa w dom dziś przywiodę? — a ukazawszy na nosze z któremi ludzie się zbliżyli, dodał jeszcze rzewniej:

— O! tak mi boleśnie jest, jakby mój drogi Janek świeżo odżywiony w mojej pamięci, po raz drugi umierał.

Dziewczyna zbladła, w cichości tylko ręce załamała, a dawszy znak ludziom aby nosze obniżyli, przystąpiła do trupa — wcale zaś nie mdlejąc i nie spazmując jakby spółczesnej nam panience przystało, przyłożyła ucho do twarzyi serca rzekomo zmarłego, a nagłe wznosząc się zwyrazem nieopisanej radości zawołała:

— Ależ on żyw jest, tylko silnie zemdlony.

Poczem już nie czekając wyższej decyzyi, z własnego popędu dalsze wydawała rozkazy, a naprzód do jednego z dojeżdżaczy:

— Biegnijcie mi co koń wyskoczy do miasta, aby mistrz Benjumen natychmiast tu przybywał.

A do służebnych, które przy niej stały:

— Zaraz mi wygotować najwygodniej i ogrzać łoże, w dużej niebieskiej komnacie, zagotować wody, szarpie żeby były pod ręką, a proszę mi nieść chorego ostrożnie—a sama idąc przy noszach, dalszym tym pochodem kierując, zemdloną głowę podtrzymywała.

Ojciec uradowany wieścią wychodzącą z ust córki, która była dawczynią zdrowia i spokoju całej okolicy, a widząc ją zajętą chorym, o więcej pytać nie śmiał, aby jej nie przeszkodzić w tej pełnej ludzkości pracy.

*
* *

Zaprawdę, coby to było za zgorszenie, gdyby dzisiejsza panna, a do tego znakomitego rodu a co większa dziedziczka znacznego wiana, dotknęła się chorego mężczyzny i oddawała mu wszelkie posługi. Tu zaś, o zgrozo! tak się stało, że wkrótce po przybyciu a raczej przyniesieniu, nieznajomy przy pomocy Podkomorzanki i jej służebnych leżał

w jasnej dużej komnacie, na wygodnem posłaniu, rany miał opatrzone biegłą ręką Magdy, krew zatamowaną, i chociaż całej przytomności nie odzyskał, lecz widocznie coraz swobodniej oddychał. Za każdym jego oddechem śledziła Magda, a siedząc u wezgłowia chorego czoło mu jakimś kordyałem odświeżała.

Przy progu usiadł sobie wierny Myszejkis, a nie spuszczając oka ze swojego pana i jego lekarki, a wzdychając zcicha od czasu do czasu, ani pomyślał o *szupenisie.*

Oczekiwano niecierpliwie przybycia Benjummena.

* * *

Jako epizod w opowiadaniu, słówko o tym sławnym Benjumenie, o którym indziej może mi się wspomnieć nie wydarzy, pochodzeniem od którego szczycą się dotąd jego zapewne praprawnukowie, do bardzo pospolitej rodziny żydowskiej należący, a w Chodorkowie zamieszkali. Zkąd mógł się wziąść człowiek taki jak ów Benjumen na krańcach Polski w sąsiedztwie kozaczyzny? Dość jednak, że jak tradycya niesie, posiadał wówczas dom dziwnej struktury w Chodorkowie, bo wschodnim trybem pobudowany z oknami na podwórze. Gdy się zjawił w mieście, według własnego liczenia, miał mieć już przeszło półtora sta lat, wszelako z pozoru tak nie wyglądało, bo chociaż niemłody, był bardzo rzeźwy i ruchliwy.

Do jakiej narodowości należał, nikt dokładnie nie wiedział, bowiem do żadnej świątyni nie uczęszczał, łączył się tylko z ludźmi, z którymi zbliżały go handlowe lub naukowe stosunki, nie było zda się na ziemi języka, którymby nie mówił, a najchętniej z uczonymi po łacinie. Czem się trudnił? niczem mianowicie: gmin mówił, że robił złoto, srebro i drogie kamienie, czyli w naukowym języku był alchemikiem,

posiadał jakoby był tajemnicę *kamienia filozoficznego* i owo sławne *panaceum vitae*; atoli nikt tego nie sprawdził, gdyż żadne oko nie widziało wnętrza jego cudackiego domu, oprócz pierwszej dużej sieni, do której za skrzypnięciem drzwi wychodziła żydówka, żona jego wnuka, który równie tajemniczo przy nim mieszkał i był niewidzialnym.

Przez tę to wnuczkę łączącą się na zewnątrz z pospólstwem żydowskiem i odbywającą wszelkie praktyki jego religii, Benjumen uchodził za żyda. Dom jego omijali chrześcianie w nocy żegnając się, a nawet żydzi, bo pociemku często widywano, jak djabeł w kształcie różnokolorowych ogni wylatywał z jego komina. Jedno co go łączyło z ogółem innych mieszkańców, była to biegłość w sztuce lekarskiej, a porady skutecznej prawie zawsze, a nieodzownie połączonej z czarami, nikomu nie odmawiał, wszakże odbywał ją w okienku otwierającem się do jednej sieni: tam głowę siwą wystawiwszy, z pacyentami w pewnych godzinach konferował.

Wzywany do bogatszych wyjeżdżał, mając z nimi zawsze bliższe stosunki przez handel precyozami, które zawsze miewał w znacznym zapasie i w doskonałych gatunkach. Czasami odwiedzali go znakomitsi panowie lub jacyś zagraniczni ludzie w dziwnych strojach, kilka razy do roku. Lub znów niekiedy Benjumen znikał i nie było o nim słychać przez kilka miesięcy i znów się pojawiał. Dokąd jeździł i poco?—nikt nie umiał powiedzieć. Owóż raz wyjechawszy z wnukiem w dalszą podróż więcej nie wrócił, powiadano jakoby z nim razem był spalony na stosie w Hiszpanii, za czary. A jego wnuczka owdowiawszy przerobiła ów przybytek tajemnic na austeryę, a wcieliwszy się całkiem do gminy izraelskiej, wychowała dzieci i ich potomstwo na prostych żydków chodorkowskich.

Tyle niesie tradycya o tym dziwnym człowieku *)

Benjumena lubił bardzo Podkomorzy i on go często nawiedzał, a szczególniej Magdę, którą w arkana swojej nauki lekarskiej, wtajemniczał, a wogóle pochwalał jej ludzkość i miłosierdzie, a na wezwanie zawsze się stawił. I teraz rychło przybył, a był to wysoki, kościsty starzec, ciemnej wschodniej cery oblicza, z podługowatą siwą bródką, z kilku zaledwie włosków złożoną; strój miał na sobie zbliżony do żydowskiego, z tą różnicą, że szerszy i bez pasa, a na głowie krymkę ze złotej lamy miasto czarnej, którą uchylił przed Magdą, mówiąc gładką polszczyzną z pewnym romańskim akcentem, który do wszystkich języków mieszał:

— Czołem Imćpannie Podkomorzance, już znów jesteście w swoim żywiole, dał Bóg chorego.

— Żartujcie zdrów mości Benjuminie, ale tu jest niebezpieczeństwo, któremu moja słaba głowa nie zaradzi.

— No, no, obaczymy to niebezpieczeństwo—mówił lekarz zbliżając się do łoża chorego—a w istocie dorodne to niebezpieczeństwo, gdyby nie było tak niemiłosiernie pokawałkowane.

Podkomorzanka mimowoli zarumieniła się, lekarz zaś szczegóły opatrzenia oglądając, mówił dalej jakby do siebie:

— A to już nie chybi że go ten rzeźnik Kopycki posiekał; co to ja po nim już nakleiłem, ale przyznaję mu że co on przetnie to najtrudniejsze do zalepienia... Ale, ale, wszystko przewybornie mościa Podkomorzanko, wistocie zaszczyt mi przynosicie, *discipula supra magistrum*, i poco by-

---

*) Słyszałem najwięcej o tem od pra-prawnuka Benjuminowego także Benjumina, który przed kilkudziesięciu laty i już starzec podeszły, utrzymywał zajazd prosty w Chodorkowie.

ło mnie starego turbować, kiedy sami lepiej odemnie sprawiliście, nawet białogłowska ręka do podobnych rzeczy zdolniejsza bo lżejsza; trzeba tu tylko ducha, bo bez tego nic (i chuchał na rany, wymawiając jakieś niezrozumiałe tajemnicze wyrazy). Silna zaprawdę natura waszego pacyenta, czyńcie jak dotąd a zaręczam że za parę tygodni może go znów ten zawadyak Kopycki posiekać, i znów mu nic nie będzie. Ale czemu to prawej ręki nie rozgięliście, łatwiejsze byłoby opatrywanie gęstych ran na niej.

I wskazał na rękę z sygnetem odwróconym, którą chory konwulsyjnie zaciskał.

— Bo w tem jest jego tajemnica—odrzekła Podkomorzanka.

— Tajemnica!... to jak pieniądz, jak skarb, kto ją wydrze drugiemu, jest złoczyńcą winnym sądu boskiego i ludzkiego—rzekł sentencyonalnie z zapałem.

* * *

Fi, quel mauvais genre! oburzy się tegoczesna czytelniczka gdy jej powiem, że Podkomorzanka nie odstępowała prawie łoża boleści swojego chorego. Dziś w naszym postępowym wieku posądzonoby ją o dwie lezye przeciw wielkoświatowym prawidłom: naprzód, *o kompromitacyę*, lecz wprawdzie ten wyraz ani w ówczesnym czynie, a nawet w dykcyonarzu nie istniał, bo białogłowy tego wieku po bożemu chowane, nie znając upadku nie strzegły się błahych pozorów, będąc do głębi duszy czystemi jako anieli i umiejąc zasłaniać się tarczą cnoty od poziomych namiętnostek. Z dawnej białogłowy miałeś dobrą żonę i matkę, a kochanka jeżeli się na chwilę zrodziła w zapale młodości, to wnet zamarła na to święte i wielkie zawołanie. Dzisiejsza taktyka światowa przy takim chorym kazałaby posadzić

siostrę miłosierdzia lub najemną dozorczynię (garde malade), lecz pierwsze w lat kilkadziesiąt dopiero do kraju się zjawiły, a drugiemi były same polskie niewiasty za sowitą opłatę miłości bliźniego i spełnienia wielkiego obowiązku litości; jeżeli zaś niekiedy i bicie serca do tego się wmieszało, to takowe nie wyszło na jaw poza granice godności niewieściej.

Chory odrazu pozyskał kompassyę całego domu—już dla tego samego iż był ofiarą niewczesnej i niezasłużonej zaczepki; lecz skoro po pierwszem odzyskaniu zmysłów, zażądał najprzód pomocy kapłańskiej i pojednania się z Bogiem, wszystkie serca sobie zjednał.

A kiedy proboszcz miejscowy O. Felicyan wracał spłakany od chorego penitenta, Podkomorzy spytał go z niepokojem:

— Powiedzcie księże proboszczu, czy nasz chory jest tak niebezpieczny iż go zawczasu opłakujecie?

— Nie to jest, bowiem wszystko w ręku Najwyższego; wszelako nie boleję jako kapłan, ale jako człowiek, bo zaiste o ile to jest czysta dusza, a sprawiedliwa i bogobojna, o tyle ciężkim frasunkiem przygnieciona. A zaprawdę powiadam wam, iż jego agresorowie niewarci mu rzemyka u obuwia zawiązać.

Nie trzeba było więcej dla Podkomorzego, aby chory jego sympatyę uzyskał, bowiem zacny jego proboszcz był dlań wyrocznią.

— A i szlachcic dobry jest—dodał proboszcz—a lubo dla ważnych i słusznych powodów godność swoją tai, jednak gdybyście ją znać mogli, na równiby z waszemi stanęła, a od niejakich i wyżej.

Skoro się o tem dowiedział Podkomorzy że szlachcic dobry jest, bo klejnot nigdy u szlachty nie wadził, jeszcze ku nieznajomemu affekt podwoił.

Silna natura i młodość przemogły chorobę. a do tego zapewne niemało przyczyniły się starania całego domu. których chory stał się przedmiotem. Kiedy już nieco pozdrowiał, Podkomorzy nie wiedząc co robić z napastnikami, których kilku główniejszych z Kopyckim, in fundo u niego pokutowało, zdał to na decyzyę nieznajomego, który po statecznym namyśle, rzekł:

— Jeżeli tedy w łasce waszej na mój sąd to zdajecie, puśćcie ich wolno, bo czyliż zemsta jest rzeczą chrześciańską?—a zechcą li dalej mścić się nademną niewinnym, Bóg mię ochroni, jeżeli w tem będzie Jego święta wola.

— Niech się dzieje według woli twojej, ale pamiętaj abyś tego postanowienia nie żałował.

— Bóg tam jeden wie, co człowiekowi lepiej, atoli zawsze nad bliźnim znęcać się nie godzi.

Oddalił się Podkomorzy dla wydania stosownych rozkazów wedle woli swojego gościa, a wyszło zaledwie kilkanaście minut, kiedy Kopycki z towarzyszami leżał u nóg nieznajomego, submitując się i błagając exkuzy. Dowiedziawszy się o tej woli wspaniałomyślnej pokrzywdzonego, inni towarzysze tej napaści zwlekli się dla wyjednania pardonu, a na pożegnanie Kopycki, w gruncie człek dobry choć szaławiła, rzekł mu:

— Słuchajcie, mości poruczniku, każdy się tam zowie jakoś na świecie, bo i szczenię nawet przy urodzeniu miano dostaje, ale kto jak waćpan przy niezaprzeczonem męztwie, może się nazwać „człekiem dobrym i na słabości bliźniego wyrozumiałym“, ten posiada lepszą godność nad wszelkie przednie na świecie, wyższy klejnot, i jeśli cię kiedy spotkamy w życiu, czy zataisz swe miano, któreg odnem być musi, bo je godnie nosisz, lub je wyjawisz, zawsze Kopycki ze swoimi górą za tobą stanie i w razie czego piersi własnej za ciebie nie pożałuje.

Takie to były owe animozye szlacheckie, zapalające się jak proch, a gasnące jak dopalona świeca, skoro raz w dobrych się sercach przetrawiły.

* * *

Przez parę tygodni chory podźwignął się na siłach, a nawet próbował konnej przejażdżki, która jak na rekonwalescensa, nieźle mu się powiodła.

Im bardziej zbliżała się godzina rozstania z nieznajomym, zwiększał się smutek w domu, Podkomorzy chodził zachmurzony, o łowach nie pomyślał, a Madga choć ta sama napozór, czynna i oddana obowiązkom, jednak na rozweselenie frasunków ojca owego szczerego uśmiechu, zabytku z lat dziecinnych, nie znajdowała. Nawet sąsiedzi przybywający odwiedzać chorego, a którzy go bardzo pokochali, nie mogli pogodzić się z smutną myślą rozstania. Słowem, że dom uszczęśliwiony niejako chorobą porucznika, smucił się powrotem jego do zdrowia, zwiastującym termin rozstania, może nazawsze.

Benjumen także odwiedzał chorego, jakby uczuł do niego szczególną sympatyę; zawsze wprawdzie nic nie miał do zarzucenia leczeniu Podkomorzanki, owszem dziwował się powtarzając swoje *discipula supra magistrum*, obwiniał o brak ducha i za całą kuracyę chuchał tylko na rany przy wymawianiu formuł kabalistycznych.

Magdę, oprócz przyszłego a już niedalekiego rozstania z nieznajomym, z którym wiązały ją opieka i starania lekarki, najbardziej może dręczyła myśl niepewności przyszłych jego losów, sam bowiem wyrzekł iż jest *bezdomnym*, ukrywał swoje nazwisko które tylko pod tajemnicą spowiedzi O. Felicyanowi wyznał, nic o rodzinie nie mówił, a ze wszystkiego przebijała się w nim pewna godność, więc

zbrodniem nie był, o żebractwo lub łatwe nabycie cudzej własności posądzić go w żadnym razie nie można było, bo od pierwszego słowa Podkomorzy za wybawienie z niebezpieczeństwa gotów mu był dać połowę olbrzymiej fortuny. Dał dowody niezaprzeczonej odwagi potykając się sam jeden z liczną zgrają, więc brak odwagi nie mógł go zmusić do ukrycia swojej godności. Cierpliwy w chorobie, złożył dowody hartu męzkiego ducha, w okropnych boleściach najmniejszego jęku nie wydając. Szlachetnym był i nie mściwym, gdy prosił Podkomorzego o wolne puszczenie swych napastników, na swobodę jego i życie nastających — więc przy tylu widocznych zaletach—za cóż się tułał, czemu był nieszczęśliwym? Te pytania tysiąkroć nadzień zadawała sobie Magda, napróżno łamiąc piękną główkę nad ich rozwiązaniem; to modliła się przed obrazem Matki Boskiej, jedynej opiekunki, aby jej dopomogła do zbadania tej tajemnicy.

* * *

Pewien mędrzec arabski wyrzekł: iż białogłowa jednocześnie głodna i ciekawa, wprzód zaspokoi ciekawość nie bacząc na to, że głód o śmierć ją przyprawić może.

Przy pewnych wieczornych odwiedzinach Benjumena, Podkomorżanka swoim zwyczajem przeprowadzając go do zwodzonego mostu, aby obronić od psów nieprzyjaznych alchemikowi, zdobyła się na śmiałość zapytania:

— Mistrzu Benjumenie, wy zdaje się także polubiliście nieznajomego, naszego pacyenta?...

— Z miłością ludzką jest jak z fortuną, że na jednego sypie się wielkiemi miarami, a na innego i źdźbłem nie rzuci—sentencyonalnie swoim zwyczajem odparł mistrz.

— Cóż o nim powiecie?—spytała Magda korzystając

z ciemności nocy, iż niewidzialnym był rumieniec, który twarz jej oblał.

— Cóż o nim powiedzieć?—dotąd ma miłość ludzką, ale nie ma szczęścia; lecz zczasem i to przyjdzie, bo na ziemi jedno drugiem często się przyciąga.

— A nie rozmawialiście o nim z jego pachołkiem, wy umiecie po żmujdzku.

— Według mojego rozumienia, złodziej cudzych tajemnic winien wisieć na jednej gałęzi ze złodziejem cudzych pieniędzy—znów z sentencyą odparł mistrz.

I przerwała się rozmowa; wszakże wolno postępowali i Benjumen, jakby oczekując jej rozwiązania, ociągał się z umysłu.

— Mistrzu, wam zda się przyszłość nietajna?—pytała coraz nieśmielej dziewczyna, ledwie dosłyszalnym głosem.

— Moje dziecko, sam Bóg mogący przyszłość przeniknąć, nie czyni tego, bo raz stworzywszy świat, ochrania go od złego, a nikomu nie przeznacza zguby lub nieszczęścia, które sam sobie każdy sprowadza.

— Ale wszakże...

— Człek mizerny—przerwał Benjumen—może kombinówać rozumem, dobre sprowadzić, złe oddalić, wszystko za wolą Bożą.

— Mistrzu, wy pono czytacie w gwiazdach?

— Jak małe dziecię na księdze niewyraźnie pisanej jedno odczyta, drugie przepuści, atoli zawsze coś się tam z tego złoży... A wy ciekawi waszej gwiazdzy, oto ona tu... ale nie obawiacie się księdza proboszcza, on tę naukę gusłami i czarami nazywa, a religia wasza wiary w nią surowo zabrania.

— Ja nie dla siebie, ale tylko dla...— i słowa jej na ustach wstyd uwięził.

— ... dla niego —kończył Benjumen głosem w którym

pewna ironia się przebijała—dla nieznajomego; a cóż ma się z nim stać innego niźli ze zwykłych śmiertelnych rzeszą, wkrótce mieć będzie bogdankę, a potem żonę, a ....

— A ta jego bogdanka, gdzie jest, daleko?—spytała spiesznie Podkomorzanka, już zapomniawszy dawnej nieśmiałości.

— Owóż tak jakby przy nim, widzicie tę gwiazdkę na lewo?

— Przecie mówiliście że to moja jest gwiazdka?...

— Kto wie... a zresztą już powiadałem, że owe gwiazdy, to księga niewyraźnie pisana dla oka śmiertelnego, a co ma być przyszłość wam reszty doczyta...

A właśnie doszli już do mostu zwodzonego, Benjumen przerywając mowę, zdjął krymkę:

— Dobranoc mościa panno, a pamiętajcie że białogłowskie oczy za młodu lepiej czytają w sercach ludzkich niż stare na firmamencie niebieskim.

I spiesznie się oddalił.

* * *

— Że ten Benjumen zawsze mistyczny i czegoś nie dopowie—myślała zapatrzona w gwiaździste niebo dziewczyna—coby tam przy jego gwiaździe moja robiła?... Nieznanego pochodzenia... ojciec by nie zezwolił... nareszcie on sam nie myśli o tem, pewna jestem... ale jednak powiadają starzy ludzie że Benjumen czytając w gwiazdach nigdy się nie myli... a więc otóż jego tajemnica, on spieszy do swej bogdanki i ma jakieś powody zachowywania sekretu... tem lepiej, będę miała jeszcze jedną wdzięczną istotę na świecie, jego bogdankę, żem pielęgnowała jej przyszłego.

— W imię Ojca i Syna...—zawołała nagle jakby ze snu zbudzona dziewczyna, kładąc na się znak krzyża św.—

cóż to ja grzeszna robię zapędzając się w gusła i czary. musze się z tego wyspowiadać.

— A co to asindzka liczysz gwiazdy jakby nasz stary Benjumen—ozwał się obok niej głos ojca, na który pierwszy raz w życiu zadrżała, jakby czego złego się dopuściła i odpowiedziała wbrew zwyczajowi nieśmiało:

— Odprawadzałam Benjumena, który odwiedzał naszego chorego.

— I jakże go znalazł?

— Wcale dobrze, powiada że za dni kilka śmiało może się puścić w drogę.

— Tak prędko!—podchwycił z westchnieniem stary, a potem jakby się opamiętał: — Ale cóż to ja prawię, grzeszny człek smucę się cudzem szczęściem, że nasz miły gość zdrowie odzyskał, ale powiem ci prawdę, że ciężko mi będzie rozstać się z tym chłopcem.

Poczem ojciec z córką posmutnieli i oboje dalej postępowali w głębokiem milczeniu, stary wzdychał ciężko, niekiedy i dziewczyna możeby sobie westchnęła, ale jakoś to jej nie przystało.

— Smutno i o tem pomyśleć — prawił nakoniec stary — że młodzieniec ów puszcza się w świat jakby tułacz jaki, lub występny, kiedy dośćby spojrzeć na jego szlachetne oblicze, ów zapał rycerski w jasnem oku, ażeby przysiądz iż nic podejrzanego w nim nie ma. Oto gdyby między nami chciał osiąść, a spokojny żywot rozpocząć, jak na statecznego człeka przystało, możnaby mu w tem dopomódz... kiedy to istnie jakaś harda dusza w ubogiem ciele... a żal mi się z nim rozłączać — setny żal!

I znów nastąpiło milczenie przerywane westchnieniami ojca, stary się coś głęboko namyślał, aż w końcu z decyzyą przemówił:

— Słuchajno dziewko, ja już z nim nie potrafię, bo

skoro rzecz dotyczy jakiegoś majątkowego projektu, to on zwykle łagodny jak baranek, gdy spojrzy hardo, to aż mowa w ustach zastygnie, ale ty jako białogłowa, której więcej się względów należy, a do tego jego lekarka, będziesz śmielszą do niego. Nie ma co mu wprawdzie mówić o jakiejbądź darowiznie, ale mógłbym mu parę wiosek, które sobie wybierze, wypuścić dzierżawą lub w zastaw płatny z dołu, niech się dorabia. Bo wiesz doniu, jakoś on mi tak mojego Janka w sercu odżywił, że na myśl jego odjazdu trwoga mnie zdejmuje, jakbym syna miał na nowo utracić.

Zakończył smutno starzec i z głębokiem westchnieniem głowę na piersi zwiesił. Magdzie łzy się w oczach zakręciły, zapewne z kompassyi dla ojca.

— Będę posłuszną — rzekła — lubo nie wiem jak się wziąść do tego, bo w tej mierze trudna z nim sprawa, i pewna jestem że w to nie potrafię.

— Ba, kto nie waży ten nie ma. A jak się wziąść do tego hm?—namyślał się stary, a potem uderzając się w czoło, jakby wynalazł, prędko mówił:

— Powiadaliśmy mu nieraz o naszej zbrojowni, której on jest ciekawy, więc go tam aśćka zaprowadzisz, najprzód postarasz się o to aby coś z tego wybrał sobie na pamiątkę, tylkoż uważaj ażeby to nie było coś lichego, a tylko z precyozami, dobrze byłoby którą z kulbak tureckich sadzonych, albo jaki z dywdyków perskich, bo ja go znam że gotów skończyć na jakim lichym berdyszu lub coś podobnego.... A potem tak per sequens allegorycznie, a z subtelną polityką, jak to wy podwiki umiecie, przełożysz mu aśćka kwintessencyę, jak to się wyżej powiedziało. Ja zaś podczas kiedy dyskurować o tem będziecie, zasiądę sobie niepostrzeżenie w przyległej izdebce, za ukrytemi drzwiami, aby w razie potrzeby z sukursem ci pospieszyć, a tak go mospanie

osaczymy jak niedźwiedzia w matni, że będzie musiał z nami pozostać... A co, sama powiedz aśćka, że i stara głowa do inwencyi się jeszcze przyda? Masz tu asindźka klucz od zbrojowni i zaraz jutro rano go tam zaprowadzisz, ufam twojej polityce a niech ci Bóg sekunduje.

Podał dziewczynie duży wiszący u pasa klucz, który go nie opuszczał, bo do zbrojowni bez niego lub Magdy nikt nie wchodził. A widocznie rad stary z inwencyi, jął imitować głosy trąby wojennej, potem rogu myśliwskiego, co było u niego oznaką wesołej dyspozycyi, która od ostatnich wypadków już stawała się coraz rzadszem zjawiskiem.

— A co moja Magdeczko, stary ale jary, a głowa nie do pozłoty, żaden głęboki statysta nie począł sobie tak politycznie, a powiadam ci że osaczymy tego dzika... Ale czekaj, spróbuję sobie szczęścia po tej prawdzie.

A dostrzegłszy przechodzącego Dubynę zawołał nań:

— Słuchajno Dubyna, obrzucić mi jaką małą knieję na jutro, zapolujemy sobie na szaraka, a może zdarzy się sarna lub i dzik, to nic nie szkodzi, a i wilczka nie pominiemy, tylko dodnissime, żeby wrócić przed południem.

— *Dobre bad'ku!*

Odpowiedział uradowany kozak i popędził ku psiarniom z dobrą nowiną, że pan polować zamyśla, bo już myśliwi i pieski pospuszczali uszy widząc ten czarny humor pański i zatęsknili do łowów. Cały dom zawrzał radością, nawet pieski chórem raźno zaskowyczały, a stary w takt im trąbił swoje pobudki wojenne i myśliwskie pojezdne.

Córka starała się rozegnać smutne myśli, aby wtórować humorowi ojca, który od ostatnich wypadków stradać zaczął.

Jakoż wszystko najlepiej się złożyło, nazajutrz dobrze

przed południem myśliwi wrócili z dwoma ładownemi wozami zwierzyny, między którą i kilka wilków i odyniec się zamieszał. Podkomorzy coraz głośniej trąbił.

Około południa, jak to było z ojcem umówione, Magda zaproponowała gościowi obejrzenie zbrojowni, na co on chętnie przystał.

ROZDZIAŁ V.

Zbrojownia w owych czasach była przybytkiem, powiem rodzajem świątyni, bez której żadne siedlisko szlacheckie, czy to dom magnata, dwór dostatni, czy dworek ubożuchny obejść się nie mógł; nawet szlachcic ubogi, zamieszkujący prostą chałupę, jeszcze wynalazł komóreczkę lub kącik na owo sanctuarium, którego strzegł zaraz po kościele z największem poszanowaniem.

Prócz czci religijnej, jaką każdy naród bitny chowa dla swojego oręża, mieściła się w tych przybytkach, iż tak się wyrażę, dotykalna historya kraju i genealogia każdego rodu, a z pokolenia w pokolenie przechodziło w tradycyi; oto łuk, z którym przodek N. chodził na Pomorzany z Bolesławem Chrobrym, miecz pradziadka z pod Obertyna, siodło zdobyte przez dziadka pod Chocimem na baszy tureckim i t. d.“

Każdy tam dołożył swoje trofea dla chwały przodków, lub bolesną pamiątkę poniesionej klęski dla nauki potomności i szła sobie ta żywa choć niepisana kronika od ojca do syna, aż... się przerwała.

Każda zbrojownia była jeszcze domową *infimą* dla poczynających w rycerskiem rzemiośle, nim pacholę władać bronią się nauczyło, wprzód napatrzyło na nią, nauczyło ob-

chodzić się z nią, czyścić i szanować, i szła tak długo ta nauka z pokolenia w pokolenie, aż... zginęła!

Zbrojownia Podkomorzego była naówczas jak każda magnacka, bogata liczebnie i pamiątkowo; zajmowała trzecią część zamku, a mieściła się w pięciu najobszerniejszych komnatach, przez całą jego szerokość; z przyczółka domu wiódł do niej duży, osobny, ciosowy ganek w kształcie frontonu świątyni odrobiony, a na nim rzeźby wyobrażające broń rozmaitą i rycerski rynsztunek, na szczycie była tarcza z *Lisem*, Piaseczyńskich klejnotem, a nad nią na samym wierzchołku krzyż z dwoma połączonemi mieczami, nazewnątrz drzwi mocno kute o trzech zamkach z tajemnicą, strzegły tego zaklętego skarbu, u okien były podwójne kraty żelazne, a lubo cały zamek był drewniany, ta część jego była z grubego muru sklepiona, snać tam skarb nad inne droższy się znajdował.

Skoro wstąpił do tego przybytku gość przeprowadzony przed Podkomorzankę, stanął olśniony tym przepychem dawnych czasów, które jak ze stromej pochyłości spadając, z nowemi się łączyły. A zbrojownia Piaseczyńskiego była widoczną historyą broni, poczynając od krzemiennej do żelaznej, palnej, a kończąc na nowych owego czasu ulepszeniach i wynalazkach: od toporków krzemiennych, spis z ości rybiej, przechodziłeś do łuków, kusz, berdyszów, halabard i t. p. Dalej pod ścianami stali jakby żywi rycerze okuci w żelazo, tam zaś broń palna, rusznice, flinty, szmigownice, moździerze, indziej miecze, proporce, i czego tam nie było, trudno już dziś to opisać, a trudniej może jeszcze paniczykowi nowomodnemu, polującemu bronią rozmaitych nowych wynalazków, odtylcowego systematu, przejąć się groźnym a surowym duchem, wiejącym od tej starej zbrojowni — więc dajmy temu pokój.

Podkomorzanka jako rycerska córka, a szczególniej

dla braku męzkiego potomka, wtajemniczona w sposób użytku i chronologiczne dzieje tej broni, była gościowi doskonałą przewodniczką, posiadającą nitkę Aryadny tego rycerskiego labiryntu, iż nadto lepszej najgłębszy badacz żądaćby nie mógł. Przeszedłszy z kolei do nowszych kameryzowanych a bogatych broni, rozwinęła całą chytrość niewieścią, wywołując gościa pochwały, ażeby powziąść ztąd okazyę do obdarowania go, jak to ojciec sobie życzył, lecz gość poznawszy się na tych lubo subtelnych wybiegach, nad wszystkiem podziwienia godnem, unosił się w duchu, wszakże pozór obojętny zachowywał, tak iż wszelkie podstępy jakkolwiek zręczne, rozbijały się o udaną obojętność nieznajomego.

Z porządku przeszli do trzeciej komnaty, wyłącznie poświęconej końskim rynsztunkom, tu już bogactwo było nie do opisania, złoto, srebro, drogie kamienie kapały z niektórych rzędów. Gość mimowoli zatrzymał się dłużej przy jednem tureckiem siodle, mającem łęk, strzemiona i wszelkie atrybucye szczerozłote, wysadzane kamieniami i mimowoli mu się wyrwało:

— Zdarzało mi się widywać różne rzędy, ale zaprawdę nic tak wspaniałego od kiedym żyw, nie oglądałem; w istocie to cała magnacka fortuna w tem siodle.

— Ot sobie siodełko — podchwyciła filuternie dziewczyna — są tu u nas piękniejsze, ale te zdaje mi się bardzoby się dobrze przydało do konia waszmości karej maści.

— Cha! cha! — zaśmiał się gość — waszmość panna chyba dworujesz sobie ze mnie, a pięknieby mój chmyz wyglądał pod takiem siodłem wrzeczy jak wół wprzężony do kolebki złoconej. Nareszcie już bez tego chorążyc jako podejrzanego chciał mnie dostawić do grodu, a cóż gdybym siedział na takim rzędzie. niezawodnie podałbym się w suspicyę, żem go ukradł.

— Żartuj waszmość pan zdrów, ale ja przez to powiem, że właśnie mój ojciec przeznacza ten rzęd dla jegomości i prosi uniżenie przez moje usta, abyś ten mały upominek raczył przyjąć jako pamiątkę od swojej wiernej lekarki, albo słuszniej pomocnicy mistrza Benjumena.

Zmówiła dziewczyna z takiem przymileniem, któremu oprzeć się było niepodobna. Jakoż gość walczył z sobą przez długą chwilę, a potem rzekł z głębokim sentymentem:

— Pamięć dobroci i łaski waszego domu, niezasłużonych przezemnie, wyniosę w sercu wdzięcznem, a Bóg mi świadkiem, iż donoszę do grobu, a dla odżywienia jej nie będę potrzebował żadnych dotykalnych znaków. Pamięć waszmości panny, któraś mi była najlepszą matką i siostrą w chorobie, zachowam na zawsze, jako dowód niezrównanego anielskiego jej serca. Więc czyliż nad te mogę żądać cenniejszych pamiątek? A zaprawdę, dla mnie ciemnego i nieznanego włóczęgi złoto i klejnoty nie przystoją.

Zachmurzyło się jasne oblicze dziewczyny, a rzekła z nietajonym rankorem:

— Snadź nietrzeba na to bogactw i wzniosłej pozycyi, ażeby pychą najżyczliwsze serca poniżać.

— A więc przyjmę jedno, jeżeli mnie hojnie obdarujecie — zawołał żywo młodzieniec — a to ten oszczep ze strzaskanym drzewcem, ażebym miał przed oczyma pamiątkę i wiecznie błogosławił mój szczęśliwy na ten raz los włóczęgi, który mnie przyprowadził na to, ażebym przedłużył bicie najpoczciwszego serca na świecie.

To mówiąc wskazał na oszczep porzucony w kącie. a jeszcze z posoki niedźwiedziej nieobmyty.

Dziewczyna okiem pełnem uczucia spojrzała na młodzieńca, a gdy mu podawała oszczep żądany, dwie łzy jak perły potoczyły się po gładkiem jej licu.

Następowało długie milczenie, które słodkim i błagalnym głosem, a wesoło, Podkomorzanka przerwała:

— Przyznasz waszmość pan, że lekarzowi zawsze należy się jakaś wdzięczność i nagroda... a przecie sam mnie nazwałeś swoją lekarką.

— Nie przeczę, lecz nie znam takiego potentata na ziemi, który byłby w stanie godnie spłacić tyle poświęcenia i miłości bliźniego, ile od niej doznałem.

— Przeceniasz waszmość moje zasługi — rzekła zarumieniona panna — ale gdybym żądała wynagrodzenia, czybyście mi je dali?

— Dług to zanadto święty, który spłaciłbym życiem, gdyby moje było czegoś warte. — Rozkazujcie więc! — odparł gość z pochyloną głową.

— Dajcie parol, iż wszystko czego zażądam, wykonacie.

— Wszystko, co nie przejdzie mej możności, ręczę kawalerskim parolem.

— Nad możność niczego wymagać nie będę, a owszem będę umiarkowaną.

Zawahała się przez chwilę dziewczyna, zapewne rozmyślając nad tem, jakby trafniej przemówić i upór nieznajomego przełamać, a po chwili prawiła z uczuciem:

— Widzicie waszmość, że ojciec mój pokochał was jak syna i już wasz odjazd projektowany goryczą jego stare dni napawa — zdaje się biednemu ojcu, że powtórnie traci swojego drogiego Janka, którego pamięć tak żywo odnowiliście w jego sercu — a rumieniąc się dodała:

— Dopiero i nie bez słuszności nazwaliście mnie siostrą, jakoż nie przeczę, żem affekt siostrzany dla was powzięła; otóż jest moja prośba, którą waszmość przez swoję obietnicę w rozkaz dozwoliłeś zamienić: osiądźcie między nami, z kolei zażądajcie od mojego ojca ziemi, czy jakiej braterskiej pomocy... Bóg w łasce swojej dał nam za wie-

le, abyśmy mogli mieć szczęście podzielić się po bratersku z przyjacielem. Jeżeli was obraża dar z serca pochodzący, którego nikt się równy nie sroma, obleczcie to w inne formy, na których mniej się znam jako białogłowa... zastawy, dzierżawy i t. p. Ale słowem, moja prośba pokorna a serdeczna jest, abyście nas nie opuszczali...

— Nie!... to niemożliwe... nie znacie jakem jest niefortunny i prześladowany... nie żądajcie tego!

— Tem mocniej żądam, albowiem w nieszczęściu nasza cię przyjaźń pocieszy, wspólnemi siłami zwalczymy i upokorzymy waszych prześladowców!...

— Nie, tak być nie może! Tego nie jestem godzien.

— Zatem chybiacie kawalerskiemu parolowi, gdyż moje żądanie nic trudnego do spełnienia nie zawiera, tylko duma stoi temu na przekodzie—z gniewem i obrażoną godnoscią mówiła Podkomorzanka.

— A jeżelibym z mej strony postawił zatrudne do spełnienia dla was, samych żądanie?

— Nie ograniczałam żadnych kondycyi—odpowiedziała sucho.

— Błagam was zwolnijcie mnie z parolu!

— Nie! to być nie może, słowo rycerskie raz wyrzeczone nie zwraca się.

— A więc—rozpoczął szydersko nieznajomy—postawię takie żądanie, którego wy sami nie wypełnicie...

— Słucham.

— Pozwól waszmość raz jeszcze prosić siebie o zwrot mojego parolu, bowiem stawicie mnie w takiej alternacie iż zmuszony będę popełnić zuchwalstwo nie do wybaczenia.

— W żadnym razie nie zwrócę, przysięgam to na miłość dla mojego ojca.

— Kiedy tak zmuszacie mnie do zuchwałego kroku... ale przedtem jeszcze raz błagam o zwrot parolu...

— Słucham waszmości dalej!—wyrzekła prawie rozkazującym tonem.

— Oto dla pozostania pomiędzy wami żądam... żądam... (tu się zawahał).

— Wymów waszmość nakoniec czego żądasz?—przerwała niecierpliwie.

— Ręki waszmość panny.

Podkomorzanka osłupiała, blada i drżąca stała przed nieznajomym nie dając odpowiedzi. Mimowoli przychodziły jej na myśl czary mistrza Benjumena, owe dwie gwiazdki połączone i słowa wymówić nie mogła:

— Mościa Podkomorzanko—mówił z submisyą młodzieniec—nie poczytajcie tego zuchwalstwa za urazę, wprawdzie sameście je wywołały trwając przy zatrzymaniu mojego parolu. Pozostańmy więc, jeżeli wola, bratem i siostrą, ja pamięć waszej dobroci zachowam nazawsze, To zaś zostanie niebyłem, ja dotrzymałem parolu, wy nie możecie spełnić zuchwałego żądania. A więc to sobie dziecinna igraszka, za którą raczcie nie chować ku mnie rankoru.

Dziewczyna zawsze pomięszana milczała.

Wtem otwarły się drzwi ukryte w ścianie, a w nich stanął Podkomorzy, a podchwytując ostatnie słowa, rzekł:

— Nie igra po dziecinnemu kto prosi o rękę mojej jedynaczki i kiedy ja mu ją daję, jeżeli tylko zgadza się to z jej wolą.

Poczem długo wszystko troje zachowali milczenie, podczas którego pozycya obojgu młodych trudna jest do opisania, a widocznie delektował się nią Podkomorzy, zachowując długie milczenie, aż kiedy się już nacieszył, spytał córki:

— A więc asindźka sobie nie życzysz?

— Nie powiadam tego panie ojcze... nareszcie i sama

niejako zobowiązałam się parolem spełnić żądanie Imćpana porucznika.

— I słusznie, *verbum nobile debet esse stabile,* ale czy tylko dla tej jednej racyi?...

— Na co te pytania... zgodzę się z wolą ojca i pana— odpowiedziała coraz bardziej zarumieniona dziewczyna.

— Aha! dobrze ci tak, nie trzeba wywoływać wilka z lasu, sam tam słyszałem podedrzwiami jak aśćka lazłaś w ten kosz, więc bądź-że teraz grzybem — wesoło prawił Podkomorzy.

— Mości panie Podkomorzy, nie przeczę, iż zaszczyt to jest dla mnie i pomyślność, którą niejeden życiem by opłacił; atoli zważcie sami w czyje ręce powierzylibyście skarb tak drogi jakim jest wasza jedynaczka?... przybłędzie, włóczędze, człowiekowi bez klejnotu i nazwiska. których do czasu nawet wyjawić nie mogę, bom to przez solenne votum zaprzysiągł.

— I jedno i drugie znajdzie się mój synu, wierzę iż cię przygniótł jakiś ciężki frasunek, lecz silniej jestem przekonany o twej poczciwości, wszakże bez nazwiska nie staniesz na kobiercu ślubnym... a reszta w ręku Boga. A teraz do nóg swojej bogdance, za łaskawe przyjęcie konkurów...

A biorąc go wpół silną ręką do nóg rozpromienionej szczęściem Magdy pochylił.

A po chwili gdy oboje u nóg starca leżeli, ten podnosząc córkę i składając na szerokiej piersi, rzekł żartobliwie:

— Widziałem ja na co to kroiło, to lekarskie rzemiosło, lecz pamiętasz jakom ci obiecał, że nieinaczej cię postanowię, ino za wyborem serca; za toż sypałaś dziewko rekuzy. a teraz trafiła kosa na kamień.

— O tak dobry ojcze odgadłeś twojem niezrównanem

sercem, że innego żoną nie byłabym—szepnęła do ucha starca, zawieszona na jego szyi dziewczyna.

— A posłuchaj-no Imćpanie przyszły synu, co tu o tobie powiadają...

— Ojcze, co robicie?—zawołała Magda drobną rączkę na jego ustach składając.

— No, no będę milczał, sama ty mu się prędko wygadasz... Ale oto lubię, że konkury o szlachecką dziewkę odbyły się w zbrojowni, oby to był dobry prognostyk że będą przychodzili rycerze na ten świat, który kaducznie babieć począł.

Magda rumieniła się, lecz Podkomorzy nie zważając na to, sypał jak z worka przeróżne krotofile i trąbił pobudkę coraz głośniej.

Z całej tej trójcy uszczęśliwionej na swój sposób, jeden nieznajomy choć mu twarz radością promieniała, poglądał na wszystko co się z nim działo błędnem okiem, jakby podróżny drogi, swojej niepewny. Zamyślił się głęboko, a snać było iż jakiś ciężki frasunek serce mu tłoczył. Uklęknąwszy przed Podkomorzym, prawił stłumionym głosem:

— Na kolanach chyba godnie podziękować mogę za tyle łaski, które sam Bóg za sprawą nieoszacowanych serc waszych, na mnie zsyła. Pojmuję to, iż życiem lepszem od mojego opłacić taką pomyślność zamało... Ale miłościwy panie, raczcie zważyć czyli wam się godzi skarb wasz najdroższy składać w nieznane ręce jakiegoś włóczęgi, bez dachu i mienia... Cóż powiecie przyjaciołom o zrękowinach waszej dostojnej córy, skoro was zapytają: „z kim ją postanawiasz?...“ kiedy ja nędzny wam najlepszym w świecie moim przyjaciołom i dobrodziejom, nie mogę wyjawić w tak uroczystej chwili, mojego nazwiska, na którem ciężkie fatum zawisło.

— A któż waćpana o to pyta... Ogłoszę światu całemu, że córkę moją oddaję rycerzowi nieustraszonemu bom go widział wychodzącego z odwagą z ciężkiej przeprawy, że ją oddaję zbawcy jej ojca... A zresztą wiedz waćpan, żeś uczynił deklaracyę—prawił dalej starzec wesoło—którą ja słyszałem, wprawdzie przeze drzwi ale na oba uszy, i przyjąłem takową, córce zaś pozostawiam jeszcze rekurs, aby zrekuzowała, inaczej wolności kawalerskiej nie odzyskasz...

Poczem zwrócił się do córki, mówiąc z żartobliwą powagą.

— Pójdź tu aśćka i powiedz czyli rekuzujesz affekt i deklaracyę o twoję rękę Imćpana porucznika pancernej chorągwi.

— Ależ do czego to pytanie panie ojcze?...

— *Clara pacta* mościa panno, a więc mów jasno i dobitnie, bo kawaler oczekuje sentencyi.

— Przecie powiedziałam iż się zgadzam z wolą pana ojca—odparła z przymusem, zapłoniona dziewczyna.

— A kiedy tak, klamka zapadła mości poruczniku.... A teraz obejrzyjcie sobie curiosa tej zbrojowni, bo pewnoście jeszcze wszystkiego nie widzieli, ja zaś opuszczę was bo mam pilniejsze sprawy.

I wyszedł.

Młodzi sami pozostali. Daj tu francuzkiego romansopisarza, otóżby ci rozdział ten rozwałkował zabaczywszy czci przynależnej dla rumieniących się czytelniczek, a przynajmniej ze trzy wiersze kropek postawił—ja tego nie uczynię, bom bardziej niż przekonany, a pewny, iż najmniejsza czarna kropka nie splamiła białości ówczesnej szlacheckiej dziewczyny, chowanej w bojaźni bożej i cnocie, a chociaż tych nie strzegły argusowe francuzkie *madamy*, lecz wierzono jeszcze w tę maksymę: że strzeżonego i Bóg strzeże...przez swojego stróża Anioła.

ROZDZIAŁ VI.

A cóż to za pilniejsze sprawy miał Imćpan Podkomorzy, nad los jedynej córki, którego postanowieniu rad był niezmiernie.

Ze zbrojowni udał się wprost do swojej kancellaryi dokąd powoławszy pisarzów ekonomicznego i prowentowego, głęboko obmyślał razem z nimi jakieś rozmaite pisania; zastanawiał się nad esami i floresami, komami i przeróżnemi znakami pisarskiemi; ważył na szali światowych konsyderacyj. komplimenta. sentymenta, affekta. atencyę, rewerencyę i t. p., a grubo był w w tej materyi zatopiony.

Albowiem *mutantur tempora!* Dziś jeśli nas spotka jaka pomyślność kryjemy się z nią przed bliźnim jakby z rzeczą kradzioną, z obawy aby nam jej nie wydarto; narzeczona osobliwie z pokaźnem wianem, musi być grubą osłoniona tajemnicą, aby ktoś inny sideł miłości nie zastawił i pierzatego ptaka przed samotrzaskiem nie uchwycił... Nakoniec święty płomień pochodni hymenu, wolimy rozpalić w niemieckich zajazdach, w obec szwabskich kelnerów, niźli na rodzinnem śmieciu, przy domowem ognisku.

De gustibus non est disputandum! bo dawniejsi ludzie nie poczytaliby szczęścia szczęściem—gotowiby opłakać każdą największą pomyślność, gdyby tej nie podzieli z bratniemi, kochającemi sercami. Każde uczucie radości

czy boleści, nabytek lub strata, stosownie do jej znaczenia oblała się spółczuciem radości lub łzą bliźniego; wszelkie zaś ciężary, czy to z nadmiaru szczęścia lub smutku pochodzące, łatwiej się dźwigały siłą serc wiela.

Nietrudno odgadnąć nad czem tak suszył głowę podkomorzy potrząsając dawną retoryką *alwarowego* autoramentu, rozpisywał listy do przyjaciół, znajomych dalszych a bliższych i ważył to w głębokiej rozwadze żeby żadnemu nie uchybić lub znów i nie przesadzić respektem, albo kordyalnością, tam gdzie je na wodzy trzymać należało.

Kozacy konni stali na pogotowiu i w miarę wykoncypowania listów, wyruszali w drogę, marszrutem wyznaczonym przez pana—rozumie się od dalszych poczynano, aby im dłuższy czas do drogi pozostawić. Cały dom spoczywał, a Podkomorzy jeszcze suszył głowę ze swoimi manualistami; to znów konferował ze służbą nad festynem wspaniałym jaki się wkrótce miał odbywać—wszakże do czasu ścisła była nakazana tajemnica przed oblubieńcami, którzy zresztą sobą zajęci, zdawali się świata dokoła siebie nie dostrzegać.

* * *

Serca braterskie, a nie bez tego żeby i ciekawość, przypędziły gromadnie sąsiadów i przyjaciół do domu Podkomorzego, który każdego zaprosił na zrękowiny jedynaczki, nie powiadając wszakże wyraźnie z kim się takowe odbędą. Że nikt nie mógł odgadnąć zagadki, ba nawet nie podejrzewając tego co zaszło, każdy napróżno suszył głowę nad jej ostatniem słowem i niedziw, stawało się bowiem wydarzenie niepospolite: najpiękniejsza, a co większa najposażniejsza dziewka w całym kraju, przyjęła czyjeś konkury—ale czyje? w tem był sęk dla starych prostej tylko ciekawości, ale młodym chodziło o kwestyę niemałej wagi—dalej od siebie

mieszkający, posądzali jeden drugiego, o podchwycenie podstępne podobnego losu.

Dla tego zaledwie dzień wyznaczony przez Podkomorzego zaświtał, kiedy ze wszech dróg do zamku prowadzących ciągnąć poczęły zastępy gości, kto wierzchowo,—jak najczęściej wówczas podróż odbywano, starzy zamożniejsi w kolebkach i kolasach, ubożsi zaś wózkami—ale słowem jak kto mógł pospieszał na owo mistyczne wezwanie Podkomorzego, który uradowany stojąc w ganku w odświętnych szatach kordyalnie witał łaskawych; nieprzypuszczeni bowiem do tajemnicy Magda i porucznik, wiedzieli tyle, że ceremonia ich zrękowin na ten dzień wyznaczoną była; wszakże nie przypuszczali aby się to odbyć miało przy takim napływie łaskawych. A szczególniej nieznajomy, jako unikający ludzi, a tembardziej wszelkich zgiełków, na widok tego tłumu rad byłby się ukrył pod ziemię i gdyby go nie wiązały szczególne okoliczności, gotów był uciec pokryjomu. Lecz Magda dowiedziawszy się o tajonym podstępie ojca, wcale się tem nie zasumowała, rada była bowiem przed całym światem swój sentyment ogłosić.

Podkomorzy w ganku witał a witał, a powinszowania i gratulacye odbierając serdecznym affektem za nie dziękował. Młodszym nie przystało wysuwać się z ciekawością, atoli starzy rówieśnicy pytali Podkomorzego przy powitaniu:

— A za kogóż waszmość córkę postanawiasz?

— Ano za brata szlachcica, już też żaden z koronowanych o biedną szlachciankę nie posunie—wykręcał się jak mógł Podkomorzy, aby się jak najdłużej niespodzianką delektować, a dalej zagadywał:

— A może łaska posilić się czem z podróży... — i prowadził gościa do suto zastawionych stołów.

Nakoniec skoro się już goście zgromadzili, tajemniczy

program całej uroczystości na jaw wychodził, stosownie do którego na odgłos sygnaturki, prosił gospodarz wszystkich łaskawych udać się do kościoła, gdzie już oblubieńcy klęczeli u stopni ołtarza: nieznajomy, na którym ledwie nieznaczny ślad bladości choroba ciężka pozostawiła, ubrany był w ten sam mundur żmujdzki, jak wyżej widzieliśmy, z tą różnicą iż odrzucił wyloty na biały żupan i pas na białą stronęnawinął, wszakże z furdymentu szabli krepy nie zdjął, a tylko miasto czarnej żałobnej, białą nawinął.

Oblubienica miała na sobie robron biały adamaszkowy, lekki mentlik bramowany sobolami, z wierzchem aksamitnym pąsowym, zwieszał się z jej okrągłych ramion na złotym sznurze. Szyję łabędziej białości zdobiły ciężkie kanaki i halszbandy z dyamentów; przy uszach zawiesiła takież kolce. białe zaś ręce owinęła kosztownemi manelami. Lecz nadewszystkie bogactwa natura ją w prześliczną ubrała ozdobę, a był nią warkocz jej płowy, jedwabny a bujny, który nieuwięziony żadną fryzurą, otaczał całą wspaniałą kibić, wierzch zaś pięknej główki zdobił skromny tylko rozmarynu wianek.

Aż młodym się nijako zrobiło na widok tylu przednich powabów i krasy, zdwojonych jeszcze uczuciem szczęśliwości. A pomimo świętości miejsca, powszechnie wówczas szanowanego, niejednemu różne grzeszne a zawistne myśli po głowie krążyły, inni się pocieszali tą sperandą, iż zrękowiny nie są jeszcze ślubem.

Podczas mszy oboje oblubieńcowie przystępowali do stołu Pańskiego. Po ukończonem nabożeństwie rozpoczynał się sam obrzęd zrękowin, a po odmówionych stosownych modłach, gdy kapłan zażądał pierścieni, Podkomorzanka złożyła na tacy pierścień, który co najmniej prababkę pamiętał, a wzrok raził, kiedy się w dyamentach światło kościelne odbiło. Obok tego nieznajomy złożył skromnie on

sygnet herbowny, niedawno przedmiot ciekawości szlachty.

Po odbytej ceremonii, wszyscy w należytym porządku starszeństwa na zamek pociągnęli, a skoro przybyli i puhar wiwatowy podano dla spełnienia zdrowia oblubieńców, które najstarszy urzędem i wiekiem miał pierwszy wnosić Imć pan Kasztelan Hoscki, wytężyli słuch przytomni, spodziewając się nakoniec, iż przenikną tajemnicę nieznajomego i dowiedzą się, czyli w godne ręce dostawał się ów skarb, koło którego tyle czynili zabiegów.

Stary kasztelan, potrząsnąwszy swadą oratorską, allokucyę lege artis pięknie skoncypował, a przechodząc jako się należało przeróżne retoryczne figury, natykane gęstemi „aby, oby, żeby,“ zakończył: „Niech więc żyją w najdłuższe lata przezacni oblubieńcy Imć panna Magdalena Piaseczyńska, podkomorzanka bracławska, i Imć pan...

Tu się zająknął, a zwracając się do podkomorzego, spytał cicho:

— Godność i urząd dostojnego Imć pana przyszłego zięcia waszmości?

— Porucznik pancernej chorągwi—odpowiedział zagadnięty.

— Hę? jak powiedzieliście? nie dosłyszałem—rzekł kasztelan, nadstawiając ucha, a być może iż słuch mu dla podeszłego wieku nie dopisywał, lub wiedząc o tajeniu nazwiska oblubieńca z umysłu, a przez ciekawość natrętnym się stawał.

Podkomorzy powyższą odpowiedź jeszcze dobitniej powtórzył.

Szmer stał się w komnacie, jedni wstrzymać się nie mogąc, głośno się zaśmieli, drudzy ruszali ramionami, inni urażeni chcieli się mieć do odwrotu, a wszyscy sobie szeptali lub myśleli:

— Zwaryował na starość Podkomorzy, że wydaje córkę nie wiedząc za kogo.

Kasztelan zawrzał gniewem, a stawiając puhar na stole, prawił z animozyą:

— Mości Podkomorzy, ani wiek jest mój, ani urząd po temu, ażeby ze mnie podobne sobie krotofile stroić i koncypować jakieś zrękowiny, nie wiedzieć czyje, aby mnie pierwszego na urągowisko podawać. Niepodobna jest przypuścić, abyś waszmość nie wiedział, z kim córkę postanawiasz, a z nas sobie szlachty dworujęsz. Dopóki bowiem jegomości Porucznikowi podobało się zabawiać w tajenie swej godności dla fantazyi czy nie wiem tam czego, nic przeciw temu nie miałem, ale incognito deklarować się o szlachciankę, to być nie może, to już granicę przystojnego żartu przechodzi.

— Wybacz waszmość pan — odparł Podkomorzy spokojnie — zrękowiny są mojej córki, więc wiadomo czyje...

— A cóż to jest za tajemnica z godności oblubieńca?... to despekt dla nas, poniewieranie szlachtą, my na to nie pozwolimy, i niech tu zaraz Imć pan oblubieniec wyjawi co zacz, lub go posiekamy w drobne kawałki!...

Ozwało się kilkanaście głosów, a nawet już i szabelkami pobrzękiwano, zaniosło się na wielki tartas, gdy wtem proboszcz staruszek, który każdą uroczystość domową i rodzinną dzielił, a teraz po nabożeństwie na czas zdążył, stanął w pośród zaburzonych, a biorąc puhar ze stołu, przemówił śmiało, głosem wówczas jeszcze imponującym, sługi bożego:

— Jako kapłan a powiernik sumienia oblubieńca, zaprawdę powiadam waszmościom, iż wart on jest nosić każdą waszą godność, i obyście tak swoje jawnie nosili z taką cnotą i pobożnością, jak on swoją ukrytą. Wznoszę ten

kielich za oblubieńców i na powinszowanie Imć panu Podkomorzemu przyszłego zięcia, a Imć pannie Podkomorzance statecznego i szczęśliwego postanowienia, które z całem sumieniem i miłością moją ku nim sambym mógł doradzić.

Cicho się stało po tem przemówieniu kapłana, jakby w kościele, a skonfundowany sam pan kasztelan, rzekł do proboszcza:

— Spodziewam się, że jegomość w moje ręce pijesz.

A wziąwszy po nim kielich, znów piękną oracyę powtórnie wyrecytował, poczem z sentymentem przystąpił do ucałowania ręki oblubienicy, myśląc sobie przytem, że spojrzy na klejnot sygnetu, a zawsze tam z tego coś zakonkluduje, jakoto ówcześni na klejnotach się szlacheckich znali; okazało się, że sygnet na miejscu, gdzie bywał herb, posiadał tylko koło próżne po wyjętym kamieniu. Stary nieprzygotowany do tej niespodzianki, trzymając w powietrzu rękę oblubienicy, której nawet do ust ponieść zapomniał, tak go ów zawód skonfundował, a zamiast stosownego zakończenia oracyi, zawołał nieoględnie:

— Tylko same złoto, a krwawnika z herbem nie ma!

Śmiech ogólny powitał ten występ niewczesny; szlachta zająwszy się owym puharem, zapomniała o nazwisku oblubieńca, a iż był już między nimi, przejednany chorążyc Kopycki, a miał to do siebie, że i bijał i kochał z ferworem, więc zaraz w te pędy z afektem do oblubieńca pośpieszył, a ściskając kordyalnie prawił:

— Co mi tam po waścinej godności, kiedy bijesz za dziesięciu szlachciców, a niejeden z naszych, cośmy cię po zbójecku napadli w kupie, dotąd się liże, już to że szlachcic i to dobry, bo bije z kretesem, tak mi Boże dopomóż; a że wam tam pannę i jej wiano, zdmuchnął z przed nosa, toż je-

dna nie będzie żoną wielu, a komuś jednemu dostać się musi. Wiwat, niech żyją oblubieńcy, a komu się postanowienie i afekt Imć panny Podkomorzanki niepodoba, to mu służę jak, gdzie i kiedy zechce. Dixi!

Po mowie Kopyckiego sypały się gęste wiwaty i uściski na nieznajomego, jakby pomiędzy nimi zrodził się i wyrósł.

Tak to miękkie były jak wosk one serca szlacheckie. Jedni przylgnęli serdecznie do tego człowieka, drudzy zaś myśleli sobie: „niech się zaręczają, ale od zrękowin do ślubnego kobierca daleka droga, poczeka dziewka z ruski miesiąc na tego obieżyświata, a potem zatęskni do małżeństwa i taki jednego z nas wybierze — co się przewlecze, to nie uciecze.“

* * *

Nadszedł nakoniec ostateczny termin wyjazdu, cały dom sposępniał, a zasumował się najbardziej Podkomorzy, rozstawał się bowiem z człowiekiem przypadającym mu wielce do serca, który mu pamięć ukochanego syna odżywiał, ale nadto tracił w nim dzielnego do łowów kompana. Magda umacniała się modlitwą do Matki Boskiej, swojej nieodstępnej Orędowniczki.

W parę tygodni po zrękowinach, przed kościołem stał Myszejkis, już dobrze wypasiony na gościnnym chlebie, z nieodstępną torbą skórzaną porządnie opuchniętą od zapasów i trzymał dwa konie osiodłane i objuczone na podróż.

Wewnątrz świątyni na stopniach ołtarza klęczeli jak przed czasem, obłubienica i oblubieniec, któremu O. Felicyan, po skończonej świętej ofierze, ze łzą w starem oku, udzielał błogosławieństwa na drogę. Podkomorzy leżąc

krzyżem do błogosławieństwa kapłańskiego, modły gorące zasyłał, a wszyscy domownicy z nim się połączyli. Cicho i smutno było w świątyni, a poznałbyś snadno, iż po nad temi pochylonemi przed majestatem Bożym głowami, zawisł smutek.

Kapłan przeżegnał, wodą święconą pokropił i wybiła fatalna ostateczna godzina rozstania; wyszedł przed kościół Podkomorzy ze zwieszoną głową, mając przy sobie oboje dziatek, między któremi już różnicy nie robił.

Nieznajomy padł do nóg ojcu, a ten go wzniósłszy do ciepłej a szerokiej piersi, tulił ze łzami z prawdziwem ojcowskiem uczuciem, a nakoniec po długim uścisku spytał:

— Powiedz-że najdroższy synu, kiedy cię mamy oczekiwać z powrotem?

Na twarzy nieznajomego rozlał się ciężki smutek i rzekł drżącym głosem:

— Drogi moje usłane są cierniem i przeciwnościami, walczyć będę wytrwale przy łasce Bożej, abym jak najśpieszniej wrócił do was, jako do jedynego celu mojej podróży, który za łaską waszą zdobyłem, do jedynego portu, do którego kierować będę moję burzliwą żeglugę. Lecz jeżeli ostatecznie od dziś za lat dwa nie stawię się na tem miejscu, znać iż Bogu się nie podobało zachować mię przy życiu

— A natenczas — ozwała się rzewnym, ale stanowczym głosem dziewczyna — jeżeli Bogu się niepodoba powrócić mi ciebie, poświęcę resztę żywota na Jego usługi w klasztorze, a prócz tych ślubów żadnych innych nie wykonam w życiu.

Nieznajomy padł do nóg oblubienicy.

Podkomorzy zaś podnosząc go połączył ich w uścisku i rzekł:

— Obojeście moje dzieci, pożegnajcie się jako brat z siostrą!

Jakby już po tem objęciu nic nie pozostało dla podróżnego, skoro się wyrwał z gorących uścisków oblubienicy, wskoczył na konia i pędem puścił się na swe niepewne drogi.

Długo jak skamieniała stała na miejscu zafrasowana trójka, Podkomorzy z córką i ksiądz Felicyan, poglądali na kurzawę ciągnącą się za jeźdzcem, potem w niebo, jakby tam chcieli wyczytać nadzieję powrotu.

Nakoniec ze spuszczonemi głowami, powrócili do osamotnionego zamku.

Część druga.

ROZDZIAŁ VII.

A działo się po smutnej klęsce cecorskiej — w dzień śmierci walecznego hetmana polskiego, kiedy wojsko pozbawione wodza poszło w rozsypkę.

Na szerokiem błoniu, które przed niedawnym jeszcze czasem służylo za pobojowisko, cisza śmierci rozpościerać zaczęła swoje panowanie. Już coraz rzadziej dawał się słyszeć jęk ludzki i stokroć bardziej rozdzierające stękanie koni. Od czasu do czasu w pewnych odstępach, z przygniecionej ciężarem skonu piersi dobyło się stłumione ostatniem tchnieniem wezwanie do nieba w wyrazach „Boże bądź miłościw“, lub „Ałłach“, posłane w górne sfery miłosierdzia, za któremi każda dusza spieszyła do swojego raju.

Prócz śmierci wszystko ustąpiło z tego pola zniszczenia, pobitewni nawet rabusie zakończyli swoje niecne rzemiosło; bowiem już wszystkie ciała martwe i napół żywe były nagie, a niektóre zaledwie okryte niezdatnym łachmanem, od grabieżników wzgardzonym. Wycie tylko psów na ziemi i krakanie w powietrzu stad kruczych, stanowiły hymn pogrzebowy dla zmarłych i pieśń pożegnalną z życiem dla umierających.

Szarzało na dzień, jęki coraz rzadsze, dobrodziejstwem śmierci ukojone już ustawały, chyba czasami tylko wyrwał się jeden z ostatnich, krakaniem wron przygłuszony, aby się więcej nie powtórzył — kiedy do tej krainy umarłych wkradał się oględnie jakiś żyjący. Bacząc na ostrożność, z którą postępował, oglądając się dokoła siebie, rzekłbyś iż to jest zuchwalszy z rabusiów, chciwy na resztki nieograbionej zdobyczy. Posuwał się wolno, chwiejnym krokiem, podpierając się drzewcem złamanego proporca, a niekiedy silnie przychromując na nogę: a chociaż sam uznojony, cały krwią i kurzawą okryty, jednak z wielkiem wysileniem dźwigał na sobie jakiś ciężar, którego widocznie obawiał się uronić.

Ciężarem tym był inny człowiek, a snać srodze zniemożony, zapewne ranny, bo od czasu do czasu krew jego na niosącego spływała. Szedł tak czas niejakiś dźwigający w milczeniu, przerywanem niekiedy jedynie głuchem a bolesnem stęknięciem niesionego, aż gdy oglądając się pilniej, aby o rannego lub trupa się nie potknąć, głębiej się na pobojowisko zapuścili, nagle dał się słyszeć jęk stłumiony boleścią i z piersi widocznie podziurawionej ranami, przy głębokiem westchnieniu wzleciały ku niebu święte imiona, a niezawodnie z pobożną duszą.

— „Jezus, Marya, Józef“.

A potem nagła cisza zaległa, jakby chciała przeświadczyć, że onych świętych imion po raz drugi nie powtórzą te usta pobożne.

— Wieczne odpocznienie racz dać Panie tej duszy chrześciańskiej — ozwał się przerywanym a słabnącym głosem niesiony, a potem dodał:

— Synaczku mój, złóż mnie obok tego pobożnego człeka, który tak po chrześciańsku umarł, może dusza moja grzeszna z jego czystą duszą połączona dojdzie do wiecznej szczęśliwości i chwały Najwyższego.

— Ojcze mój najdroższy — odparł mu czule niosący — Bóg łaskaw zachowa cię jeszcze dla swojej świętej chwały, na pożytek bliźnich, a na pociechę moją, syna twojego, któryby może ciosu sieroctwa nie przeżył.

— Przeżywać jest to dola śmiertelnika na ziemi, a Ten Wszechmogący i miłosierny, który dotyka ludzi boleścią, udziela razem siły do jej przeniesienia. Widziałem twoje nieustraszone męztwo na polu walki, aliści synu, nie na tem się kończy hart męzkiej duszy, a walka z życiem bronią wytrwania i cierpliwości, stokroć bywa trudniejszą. Ostatniś jest w rodzie naszym męzki potomek, nie szafuj więc żywotem nieoględnie, bądź odważnym, gdzie honor i miłość kraju nakazują, ale...

Zabrakło oddechu choremu, a mówił dalej słabszym, ledwie dosłyszalnym głosem:

— Za wzgórkiem na lewo, gdzie zrana walczyliśmy, jest trzęsawisko, zanieś mnie tam, złożysz na suchszem miejscu... a po śmierci zanurzysz w bagno, żeby cielska psy nie poszarpały... spiesz się... bo nam jeszcze pomówić trzeba.— Po tych słowach w milczeniu ukazywał ręką osłabłą stronę, w którą chciał się udać.

Niosący lubo upadał na siłach, a przez dobywające się z oczu łzy rzęsne mało co widział przed sobą, wszakże przez ostatni wysiłek dźwigał dalej drogi on ciężar we wskazanym kierunku. Gdy weszli na trzęsawisko chwiał się grzęznąc po kolana, z trudem z bagna wydobywał ranioną nogę, lecz nakoniec dopatrzywszy wzniosłego i suchszego miejsca otoczonego krzakami, szacowny swój ciężar z wszelką ostrożnością złożył... i w porę, bo sam już siły utracał.

Niesiony lubo mąż był dojrzały, lecz znać na nim było siłę potężną, która teraz uchodziła przez dwie głębokie rany w boku; krew już zaskrzepła około ran, sprawiała wielkie cierpienia, które tylko mocą silnego ducha hamował. Wszak-

że na tem dziwnem a niewybrednem posłaniu zdawał się sił nabierać, a miłośnem lubo gasnącem okiem spozierając na młodzieńca, mówił:

— Synu i tyś raniony, szczęściem nieciężko... Zaklinam cię na miłość Boga, abyś po mojej śmierci, która rychło nastąpi. o ile można opatrzył swoją ranę, ufam w Bogu że się zagoi... Pamiętaj żeś ostatni męzki w rodzie potomek, a Bóg miłosierny wlewa we mnie nadzieję, iż ród nasz na tobie nie zgaśnie... tak... tak... umierającym łaskawe niebo daje moc widzenia... jesteś jedynym opiekunem sióstr twoich... Wracaj zatem, oględnie unikaj hord niewiernych, które niepowstrzymane męztwem zatraconego dziś naszego rycerstwa i jego wodza, rozsypią się po kraju, ażebyś chowaj Boże, nie dostał się do niewoli, boś ty tam potrzebny w domu... Za powrotem udasz się wprost jak najspieszniej, a to przed widzeniem się z matką i siostrami, do mojego stryjecznego O. Krzysztofa, do Rosiejń, za okazaniem tego sygnetu — (tu zdjąwszy z palca podał synowi pierścień) odda ci on pewną skrzynkę — znajdziesz w niej pomiędzy innemi moją instrukcyę, którą pod rygorem błogosławieństwa ojcowskiego we wszelkich szczegółach wypełnić ci rozkazuję... Jak ci wiadomo, pierścień ten kazałem tak sporządzić, aby krwawnik, na którym nasz klejnot wyryty, odejmował się za pociśnięciem sprężyny... zatem w razie chowaj Boże, napadu, obsaczenia przez łotrów lub jakiej przygody, kamień sam możesz przechować w ustach, dość będzie tego znaku dla O. Krzysztofa, o czem jest świadom, ale pamiętaj, strzeż tego jak oka w głowie, bo w tem zawiera się przyszłość tak twoja jak i twoich sióstr... Gdybyś nie zastał przy życiu Ojca, który już stary jest, zwierz się jego socyuszowi, bratu zakonnemu Eustachemu...

Wysilony przydłuższą mową spoczął przez chwilę chory, a potem już mówił coraz słabnącym głosem:

— Błogosławię cię, synu mój najdroższy Mikołaju i was córki moje, Agnieszko i Katarzyno!... Niech was Bóg wspiera, pociesza, umacnia, a przez drogi prawdy i cnoty do żywota wiecznego i chwały swojej świętej doprowadzi.

Umilkł stary, a złożywszy stygnące ręce na głowie pochylonej syna, w myśli już tylko gasnącej zlewał nań wszelkie błogosławieństwa.

— A pani matce co rozkażecie powiedzieć? — spytał syn łzy tamując.

— Że jej wybaczam i modlić się tam będę o jej upamiętanie...

— „Jezus, Marya, Józef!“

Wydobyły się z piersi chrypieniem śmierci przytłoczonej ostatnie chrześciańskie wyrazy, którym głośne łkanie młodzieńca zawtórowało.

Jako syn posłuszny, z rozdartem a zakrwawionem sercem, spełniając wolę zmarłego, błogosławieństwem ojcowskiem zawarowaną, po krótkiej modlitwie ucałował ręce i nogi nieżyjącego, na czole znak krzyża św. położył — a ściągnąwszy martwe ciało ze wzgórka suchszego, słabiejącemi siłami ze czcią w bagnie tuż obok zanurzył. Poczem toporkiem wiszącym mu u pasa zrąbał krzew karłowaty, na bagnie wyrastający, rozdwoił go, uciosał jak umiał, a słabnące dozwalały siły, i w kształt krzyża go zbiwszy, postawił na miejscu onem, gdzie go sieroctwo smutne zaskoczyło. Drzewcem od proporca wymierzył odległość wilgotnego grobu ojca od krzyża, na drzewcu znaki zakarbował, jeszcze się pomodlił i już miał odejść... gdy wtem mężne go siły zawiodły i na to samo miejsce, gdzie przed chwilą ojciec ducha Bogu oddał, padł bez zmysłów.

* * *

Księżyc jasne już rzucał promienie na pobojowisko, z którego nasycone już psy się wyniosły, a zaledwie żarłoczniejsze kruki coraz leniwiej nad niem krakały, kiedy na przyległem bagnie pogrążony w bezwiednym i nieczułym śnie młodzieniec, niezupełnie jeszcze oprzytomniałe oczy otworzył.

Długo wodził dokoła błędnym wzrokiem nie będąc w stanie zbłąkanych a rozpierzchniętych myśli zebrać, gdy rzuciwszy okiem na krzyż, to arcydzieło synowskiej miłości, zdołał upamiętnić sobie całą okropność swojego położenia i swoję dolę sierocą, jeszcze raz gorzko nad nią zapłakał, pomodlił się na grobie ojca, a przytem stanęły mu na myśli jego ostatnie rozkazy, którym jako syn posłuszny powodując się, rzucił raz ostatni smutnem i łez pełnem okiem na to bagnisko ponure, ukrywające w sobie skarb jego najdroższy i jakby z obawy aby nie popełnić występku nieposłuszeństwa synowskiego, całą siłą ducha oderwał wzrok załzawiony od onych miejsc drogich i nie oglądając się poza siebie, jakby dziecię z obawy straszydeł, puścił się w dalszą drogę.

* * *

Zaledwie przekroczył mały strumyczek oddzielający one smutnej pamięci moczary od pobojowiska, jako człek w jakowąś przyszłość dążący, a mający drogę przed sobą, mimowoli on żal srogi przytłumił i znów stawał się samym sobą, człekiem z potrzebami i boleściami ludzkiemi, a te ostatnie najpierw mu naturę ludzkę przypominały—gdyż rany własne srodze mu dojmować zaczęły i głód mu się przypomniał. — O! dziwna naturo śmiertelnika, która w najdotkliwszem ducha usposobieniu, o swoje dopominasz się prawa!

Nieznajomy przemył rany idąc za radą zmarłego ojca i przezto bolu sobie umniejszył; głód o tyle ile zaspokoił resztkami zabłąkanego suchara w torbie; a następnie stając się podróżnym, przemyśliwał o własnem bezpieczeństwie i oglądając się przechodził przez pobojowisko, na którem już cisza śmierci zaległa. Gdy wtem oddaleniu jakby z pod ziemi dały się słyszeć jęki okropnej boleści, któreby zda się i głaz poruszyły.

Podróżny mimowoli wiedziony pierwszem uczuciem litości uczynił ruch w stronę zkąd jęki go dolatywały, lecz nagle rozum zwalczył w nim pierwszy poryw uczucia, dyktując z zimną rozwagą:

— Jemu nie pomożesz, bowiem i sam na siłach upadasz... Ojciec ci kazał pospieszać unikając jassyru, a cóż gdyby nadbiegli bisurmanie dla grzebania swoich trupów?...

Przepołowiony w ten sposób nadwoje litością i rozwagą, jakiś czas to postępował naprzód, to się cofał, a coraz bardziej zbliżał się do miejsca zkąd jęki wychodziły—jęki zaś one były tak żałobne iż litość nad zimną rozwagę wynosiły.

Przeto jeszcze wahał się jak sobie pocznie, gdy w tem doleciały jego słuchu rozpaczliwe słowa, a zmówione w mowie dla której pierwszy raz jego dziecinne usta się rozwarły, w mowie jego piastunki i wiejskich towarzyszy zabaw dziecinnych:

— *Antmejlis Diewa demuszkit muni!*

Wyjęknął głos przechodzący wszelkie ludzkie rospacze.

— Cóż to za nieszczęsny człek a do tego mój ziomek proszący o dobicie na miłość boską?

Mówił sobie w myśli młodzieniec pospieszając w stronę zkąd owe żałośne jęki wychodziły, nakoniec potknąwszy się o kilka trupów, broń i rynsztunki rozsypane

po ziemi, stanął przed owym jęczącym człekiem, a zaledwie się tam ukazał, kiedy stadko ptactwa uleciało z onego żywego ciała, które bodło. Wyswobodzony od tej męczarni człowiek rzekł słabym, atoli już swobodniejszym głosem, a zawsze w języku, którym wprzód miłosierdzia błagał:

— Niech cię niebo błogosławi człecze miłosierny, teraz przynajmniej będę mógł spokojnie, a bez piekielnych boleści, ducha Bogu oddać.

Na dźwięk tej mowy wojownik nagle pochylił się do twarzy umierającego, wołając w uniesieniu:

— Myszejkis, bracie mój jedyny!

— Ah, to *ponc* porucznik! O! paniczu drogi — mówił chory jakby uzdrowiony—jakże Bóg łaskaw jest że dał mi was, pana mojego, przed śmiercią oglądać, teraz umrę spokojny... A wasz ojciec panie, a nasi towarzysze?... żywi?.. cali?...

— Ciało zmarłego ojca dopiero zanurzyłem w trzęsawisku, a siedmiu naszych zginęło w głównej potrzebie przy hetmanie, gdzie ojciec i ja byliśmy ranni, on niestety, śmiertelnie... Ale ty mój bracie, co tobie jest, jakby ciebie uratować?...

— Mnie niemoc zdjęła silna, tak iż nie mogłem się opędzić ptactwu dziobiącemu moje rany w nodze... pragnienie mnie pali, język przysycha do podniebienia... Ale wy paniczu uchodźcie, bo udając martwego widziałem tu przed godziną podjazdy tatarskie, zbierali swoich rannych, a dobijali naszych, i o ile wyrozumieć mogłem z ich bisurmańskiej mowy, równo ze dniem przybędą tu dla grzebania trupów, a więc popadniecie w ich ręce, uchodźcie na miłość Boga... Tam w okopach ukryłem mojego konia, a wiecie jakie to posłuszne zwierzę, kazałem mu leżeć do dalszego rozkazu, siądźcie na niego i uchodźcie.

A przyciskając rękę swojego porucznika do ust gorączką spieczonych, błagalnie mówił:

— Uchodźcie dobry panie, niech was Bóg prowadzi... konik mój w okopach od prawej ręki poza tem drzewem... Uchodźcie! uchodźcie!... bo tuż, tuż nadjadą tatary!..

— Nie, drogi bracie, twoja zacna matka mlekiem mnie swojem wykarmiła a nieraz i rodzoną mi zastąpiła matkę, nie przeniosę więc tego abym ci dał umrzeć samotnie bez pomocy...

— Więc jeśliście jej pamięć zachowali, zaklinam oddalcie się, bo mnie nikt od śmierci nie ocali, a sami zginiecie lub jassyr ciężki was nie minie!...

Nie słuchał już prawie tej mowy porucznik a chwyciwszy jakąś konew porzuconą między wieloma rupieciami na pobojowisku, pobiegł do pobliskiego strumienia i za chwilę wracając z naczyniem pełnem zdrojowej wody, przytknął je do ust spragnionych rannego, który pił z dziwną łapczywością, a gdy już do dna wychylił, rzekł rzeźwo prawie:

— Bóg wam zapłać, lżej będzie konać... Ale uchodźcie, uchodźcie na miłość Boga!

Porucznik nie zważając na rozpaczliwą mowę swojego mlecznego brata, pochylił się przy jego nogach okaleczonych, a dobywszy jakiejś podróżnej torebki, wyjmował z niej szarpie i różne maście, a przy świetle pełniowem księżyca rany mu opatrywał, a przemywał z biegłością lekarza—pewne bowiem wiadomości medyczne, szczególniej co do opatrywania ran bronią zadawanych, każdy prawie ówczesny szlachcic, jako rycerz i wojownik, prawie z urodzenia posiadał.

Chory powtarzał swoje:

— Paniczu!... na miłość Boga, na pamięć matki mojej uchodźcie, uchodźcie!

Po niejakim czasie porucznik rzecze:

— Mój dobry, trwoga cię próżna opanowała, twoje rany chociaż rozjątrzone przez ptactwo, nie są tak niebezpieczne... A gdybyś popróbował powstać...

A popierając propozycyę czynem, podniósł chorego, wsparł na swojem silnem ramieniu—jęknął tamten parę razy, ale oparty na towarzyszu trzymał się na nogach. Porucznik dał mu swoje drzewce, którem się podpierał, o drugie nietrudno było na pobojowisku, a z nich rodzaj szczudeł dla chorego ułożył—kiedy tem był zajęty nieopodal dał się słyszeć głos słaby:

— Kolego, kimbyś nie był, zbliż się na miłość Boga!..

Głos to był tak rzewnie błagający, iż porucznik posadziwszy brata na kadłubie zabitego konia, na wezwanie pospieszył.

Ujrzał młodzieńca w sile lat, któremu zbliżająca się śmierć piękne oblicze wykrzywiła. Skoro się doń zbliżył a ucho ku spalonym ustom jego przechylił, dosłyszał tych słów:

— Jan Piaseczyński... syn podkomorzego bracławskiego z Chodorkowa... oddaj ojcu ten ryngraf z mej piersi.. A chcesz zarobić, ciało zawieź ojcu... siła zapłaci... bogaty... trzos cudem ocalały dla ciebie, uwiązałem go na mojego ciurę, pod którego łachmanami rabusie tego bogactwa nie spodziewali się.

To mówiąc wskazał na trupa tuż przy sobie licho odzianego, a widząc iż się na to nieznajomy wzdrygał, dodał:

— Ojciec bogaty, daj potrzebniejszemu....

Lecz nagle przerwał, a z piersi nad którą śmierć już panowanie rozciągała, wzleciał ostatni jęk do nieba:

„Jezus, Marya, Józef!..“

A w ślad zanim uleciała dusza wierząca do podnóżka tronu Wszechmogącego.

Łza cicha, a braterska z oczu porucznika spadła na stygnące czoło nieznajomeg.o. Podumał chwilę, zważył jego ostatnie słowa, zdjął ryngraf z piersi rycerskiej, ucałował i na sobie zawiesił. Namyśliwszy się trzos odpasał ze wskazanego trupa, a opasując nim biodra, mówił głośno i wyraźnie, jakby chciał mieć świadków słów swoich:

— Zaciągam dług u Imćpana Piaseczyńskiego podkomorzego bracławskiego, który winienem spłacić przy najpierwszej możności.... *Piaseczyński, ojciec Jana, Podkomorzy Bracławski w Chodorkowie.*

Ostatnie wyrazy pokilkakroć powtórzył, jakby się ich uczył na pamięć. A potem zadumawszy się przez chwilę, powiadał sobie:

— Nieszczęsnemu ojcu dostarczę być może sposobności odszukania ciała syna; mój zaś biedny ojciec nie będzie spoczywał samotny.

I znów jak przedtem obładował nowym ciężarem barki, a poniosłszy go na trzęsawisko, zanurzył pod krzyżem przez się wystawionym. Po krótkiej modlitwie wracał co żywo do rannego, którego zastał na kadłubie końskim tak jak go pozostawił, wielce zaniepokojonego o to co pan jego czynił z narażeniem widocznem własnego bezpieczeństwa, bowiem już na dzień szarzało. Skoro go ujrzał wracającego, złożył przed nim ręce jak do modlitwy, wołając:

— Uchodźcie, uchodźcie! nie tracąc czasu, bo tylko co nie widać bisurmanów.

Pan wszakże nie zważając na te słowa, rzekł krótko:

— Teraz idzie o to, abyś się mógł do konia dowlec...

— A na miłość Boga paniczu, co chcecie robić?... mielibyście obciążać swoją ucieczkę takim niepotrzebnym zdechlakiem jak ja... i tak, Bóg wam to zapłać, wiele dla mnie

uczyniliście, wybawiając od niechybnej śmierci z narażeniem własnego bezpieczeństwa... Teraz opuście mnie, ja sobie dostanę się w jasyr—czyto ztamtąd Bóg nie jest mocen wyprowadzić...

— Nie!...—rzekł stanowczo porucznik, jakby obejmował komendę.—Oprzyj mi się tu zaraz na mojem ramieniu, drugą ręką wspieraj się o drzewce, najważniejsze aby się do twojego konia dowlec.

A nie czekając repliki, którą zresztą ton rozkazujący niemożliwą czynił, wziął brata mlecznego pod ramię i powlókł raczej niż poprowadził po za okopy, do wskazanego miejsca gdzie się koń miał znajdować. Jakoż zaledwie weszli do rowu, zwierzę spoczywające tam spokojnie zerwało się na równe nogi i zarżeć chciało z radości, co uprzedzając Myszejkis palec na usta położył i powstrzymał ów objaw ukontentowania, aby się ten nie stał hasłem dla wrogów do odszukania uchodzących.

A miał to być piękny konik żmujdzki, cisawy, a taki zmyślny i przyjazny swojemu panu, jakimby niekażdy człek być potrafił. Dośćby było widzieć przywitanie tych przyjaciół i frasobliwą postać konika na widok opłakanego stanu swojego pana; a także jak się rozciągał i zniżał ku ziemi, kiedy litościwy porucznik, nie bez znacznego wysilenia, sadzał brata a sługę swojego na konia.

Zaledwie spuścili się na dół, zakryci okopami, ujrzeli tatarów hurmem wkraczających na pobojowisko. Myszejkis na ten widok zadrżał na całem ciele i rzekł:

— Widzicie, najlepszy paniczu, z jakiem narażeniem własnego bezpieczeństwa, ratowaliście mnie nędzarza... Niech mnie Bóg skarze na ciele i duszy, jeśli wam tego całem życiem nie odsłużę.

— Dziękujmy raczej Bogu iż miłosierny jest, a dozwolił duchowi mojego ojca czuwać nad nami! Ale widziałe‘

gdziem złożył ostatnie ciało, tam i mój ojciec spoczywa, żebyś to na każdy wypadek zapamiętał, bo kto wie co kogo czeka.

— Trudnoby było zapomnieć, bo tu walczyłem przez dzień cały i tu zginąć miałem, i bez waszego miłosierdzia pewnoby się tak stało.

Odparł Myszejkis, a dalej już jechał na koniu, a pan jego zziajany i upadający na siłach, szedł tuż przy nim pieszo—nieraz wierny sługa chciał się zsunąć z konia, oddać go swojemu panu a sam pozostać na łasce nieba. Lecz porucznik używszy swej powagi a przemocy, surowo mu tego zabronił.

Kiedy się ujrzeli poza obrębem pogoni, a stanęli na wypoczynek, porucznik opowiedział słudze całą przygodę ze zmarłym, a potem dobywszy trzosa pozyskanego na pobojowisku, w przytomności kompana odliczył zawarte w nim pieniądze, których znajdowało się 83 czerwone złote, i rzekł:

— Pamiętaj Myszejkis, że ten dług zaciągnąłem u Imćpana Piaseczyńskiego podkomorzego bracławskiego z Chodorkowa, który zwrócić mam jak najrychlej przy pierwszej sposobności, z prowizyą drugie tyle na dobry uczynek—a to dla tego, iż konieczność mnie zmusza użyć tych pieniędzy na naszą potrzebę, gdyż oprócz kilku szelągów, nie posiadam przy sobie więcej. Gdybym umarł przed tobą, pamiętaj, abyś ten dług święty uiścił z mojej pozostałości.

Przez całą drogę pan i sługa po rannej i wieczornej modlitwie powtarzali sobie nazwisko podkomorzego—wówczas bowiem notatniki nie były tak rozpowszechnione, śaprzynajmniej szlachta ich ze sobą na wojnę nie bierała.

ROZDZIAŁ VIII.

O ile z początku podróż szła im niesporo, bo obaj podróżni chorzy i wycieńczeni na siłach, częstego wczasu zażyjwaąc wolno postępowali, o tyle po kilku dniach podróży na świeżem powietrzu i swobodzie, siły im powracały. Cisawy dzielił swoje attencye i przymilenia pomiędzy swoim dawnym panem i jego wybawcą, a jakby pojmował w czem im może wygodzić, raz pasąc się na łące kiedy panowie spoczywali, dojrzał konia a nawet osiadłanego i objuczonego, który umykał z placu boju—wiedzieć potrzeba, że tak zwierzęta jako i ludzie, chronią się przed niebezpieczeństwem, któremu siłą podołać nie mogą. Rżał tedy cisawy co siła, a nawet puścił się w pogoń za zbiegiem i tyla dokazał, że sentymentem ku sobie wiedzioną przyprowadził panom uśpionym klaczkę zwinną i piękną, a taką jak on cisawą i dobrej natury.

Snem pokrzepieni gdy rozwarli oczy, zdumieli się na widok dwóch koni, a do tego tak ze sobą podobnych. Szczególniej cieszył się Myszejkis, który widząc swojego pana idącego przy sobie pieszo, od zmysłów prawie z rozpaczy odchodził. A setnie uściskał cisawego za tę przysługę, albowiem w jukach jego przyjaciołki znalazło się coś zapasów i podróżnego dobytku a bielizny, na czem im zbywało.

Nie będziemy opisywali bliższych szczegółów podróży — jedno powiemy, iż obaj przychodzący zaledwie do zdrowia, postępując żółwim krokiem dla wygód niezbędnych w ich stanie, trzymać się byli zmuszeni bardziej uczęszczanych traktów i miast.

Za parę miesięcy zaledwie dotarli do Gródka, miasta słynnego wówczas w województwie podolskiem z biegłego lekarza, aby tedy rady jego zasięgnąć i siły pokrzepić, tam się udali, lubo im to było z drogi. Już się i lepiej mieli spoczywając a oczekując sposobniejszej do powrotu mniej słotnej pory, gdy trzeba nieszczęścia, że niespodziewany napad tatarów, który miasto i część kraju w perzynę obrócił, zachwycił ich tam i czego uniknęli na pobojowisku, zaskoczyło ich to we własnym kraju.

Dopieroż kiedy ich okrutna dola jeńców bisurmańskich potkała, następowała rozpacz wyrzuty sumienia biednego Myszejkisa, który całą tę klęskę przypisywał sobie, jako ją sprowadził nie dość opierając się woli pańskiej co do zabrania go ranionego z placu boju; tak sobie wnosił, iż bez zwłoki sprawionej stanem jego chorobliwym, pan by już dawno był w domu i oczywiście w jassyr by się nie dostał.

* * *

Po cecorskiej przegranej jakoś klęska po klęsce na kraj się waliły i owa w początku 1621 roku przez tatarów zadana, kęs Podola w perzynę obróciła, a bisurmanie około 10,000 dusz w jassyr uprowadzili, a w liczbie tych siła kobiet i dzieci.

Porucznik przyjął tę nową swoją dolę ze zwykłą mocą charakteru i chrześciańskiem poddaniem, ale przytem obojętnym był na wszystko; śmierć ojca i okropna porażka ce-

corska zanadto głęboko utkwiły w jego wrażliwej duszy, aby ta mogła odczuwać osobiste smutki.

Atoli z drugiej strony Myszejkis, doświadczając wyrzutów sumienia, z powodu iż pan jego mizerne życie ratując w tę niedolę popadł, silnie się zasumował a w swym żmujdzkim, wytrwałym i statecznym duchu, postanowił z kolei pana wybawić.

Od razu tedy postarał się zjednać sobie przychylność i względy nowych panów, okazał się chętnym, pracowitym, wesołym, przybrał na siebie rolę trefnisia obozowego, czem umiał sobie ująć pierwszego ich murżę, tak iż ten gwoli własnego rozweselenia przy boku go swoim zatrzymał, a chętnie zezwolił aby ich z kompanem nie rozłączać, który znów bezwarunkową łagodnością i zgadzaniem się z opacznym losem ujął sobie starszyznę.

Obadwa tedy przy podziale jeńców wypadli na dolę, onego murży — Myszejkis jako już za pozyskane względy a porucznik iż przy nim złoto, mało co dotąd utracone w podróży, znaleziono, przez co przedstawiał sperandę bogatego okupu. Pan jeńców był to bogaty tatar, hodowca stad, miał liczne tabuny niedaleko Perekopu i do strzeżenia ich jeńców obrócił. Jak na tatara, był bardziej ludzki i litościwy od innych, zawsze jednak dla towarzyszy była to ciężka niewola, którą wszakże Myszejkis się nie zrażał.

Straszna zawsze była Polsce niewola tatarska, a straszniejsza niż kiedy po klęsce cecorskiej. Przegrana bowiem nie dostarczyła więźniów bisurmańskich dla wymiany, kraj zaś wojną wycieńczony nie przedstawiał możności wykupu— dośćby na dowód tego przytoczyć, że hetmanowa Żółkiewska dla wykupu głowy męża i syna z niewoli, zastawiła nietylko wsie ale i klejnoty.

Trynitarze, zakon szczególnie wykupowi więźniów z rąk niewiernych poświęcony, a który tyle łez chrześcian-

skim jeńcom otarł, lubo się jeszcze w Polsce stale nie osiedlił, jednak działając już społy z polskimi Dominikanami, którzy tym miłosiernym uczynkom chętnie i gorliwie się poświęcali, niemało polskich jeńców wykupili, a w swojej miłosiernej robocie tyle nabyli doświadczenia, że z niewiernymi o jeńców frymarczyć umieli, a niosąc wykupy za bogatszych, przy tej okazyi zawsze biedniejszym wyswobodzenie wytargowali.

Porucznik w szczerości właściwej sobie oświadczył swojemu murzie, iż skoro się matka dowie o jego niewoli, natychmiast za niego i jego kompana okup przyszle; jakoż niebawem zawiadomił przez polskich Dominikanów matkę o miejscu swojej niewoli a razem i o śmierci ojca... i czekał cierpliwie, pogodzony z wolą Bożą.

Mijały wszakże lata, i przez innych kapłanów, trudniących się wykupem, już się dowiedział porucznik, że matka jego zawiadomiona ma przysłać okup — lecz czekał napróżno.

Myszejkis tymczasem miał jakieś ukryte zamiary, przez które dążył do wybawienia: wkradał się coraz bardziej w łaskę swojego murży przez pracę i wierność, niemniej też wesołe usposobienie. Długoby to było opowiadać, jak przez rozmaite fortele postępując w hierarchii służebnej doszedł do tego, iż był prawą ręką swojego pana i zwierzchnikiem całego stada. Prawda, że w lat parę expedite wyuczył się po tatarsku, znał nawet koran, powierzchownie odbywał praktyki religijne mahometańskie, zachowywał ramazany, święcił bajramy i t. p. a nawet łudził nadzieją murżę, iż o jednego zwiększy prawowiernych proroka, atoli obrzęd sam jako dlań wstrętny, odkładał zręcznie do następnego roku.

Gdy zaś mu towarzysz wyrzucał tę niestałość dla swojej wiary, Myszejkis odpowiadał:

— Skoro wrócimy do naszego kraju, przebłagam Boga chrześciańskiego za to, iż bisurmańskiemu służę, ale was paniczu muszę ztąd wyswobodzić.

* * *

Perekop słynął naówczas jako miasto handlowe wschodnie, a szczególniej na konie; kupcy ze wszystkich stron świata, nawet polscy żydzi, a nierzadko i szlachta udawała się tam dla zakupna tabunów.

Dla bezpieczeństwa od napadów wydawał im chan krymski glejty czyli firmany, szanowane przez tatarów, i nigdy się oni w tym razie nie sprzeniewierzyli, dbając o kwitnienie swojego handlu.

Dobiegał już rok czwarty ciężkiego jassyru, kiedy na jeden taki jarmark prekopski wysłał murża swoje tabuny z Myszejkisem, dodawszy mu porucznika i pięciu innych tatarów, sam dla słabości nie mógł jechać. Tej tylko okazyi czekał twardy w postanowieniu swojem żmujdzin; zwinął się gracko ze sprzedażą, wziął dobre pieniądze. Lecz powracając, świadomy już zwyczajów wschodnich, zadał tatarom silną dozę opium, a korzystając ze snu ich twardego, z towarzyszem ruszył w dalszą drogę ku wolności. Z pieniędzy zebranych za sprzedane tabuny wziął tylko 83 czerw. złote, tak rzecz justyfikując:

— W tę podróż, w której nas przeklęte tatary pojmały, puszczaliśmy się z podobną kwotą, więc jako nasze odbieram, a nawet bez prowizyi, bo złodziejstwo zawsze złodziejstwem, chociażby na bisurmanie dopełnione, a to jest tylko restytucya.

Chociaż Myszejkis nie obawiał się pogoni, bo siedział na swoim cisawym żmudzinku, którego z łaski murży zachował, a pan jego na zwinnym tatarze, bowiem cisawy towa-

rzyszkę postradał — jednak dla przezorności konie śpiących tatarów przed sobą popędził, tak to sobie usprawiedliwiając, ażeby i tego grzechu nie miał na sumieniu, mówił do towarzysza podróży:

— Te szkapy tatarskie ażeby mi nie obciążyły sumienia, oddam na ofiarę do pierwszego naszego kościoła, do którego Bóg nas szczęśliwie doprowadzi, niech Mu służą na chwałę oraz na intencyę przebłagania za moje czasowe zbisurmanienie. Że zaś te łotry tatary niemało naszych świątyń złupili, zawsze tedy nie będzie to kradzież, ale tylko restytucya.

Tak się pocieszał w swojem niewinnem sumieniu poczciwy Myszejkis, prowadząc swoją czujnością a dowcipem całą tę podróż, porucznik bowiem złamany nagłą stratą ojca i jassyrem, który go od osieroconego domu oddalał, zobojętniał na wszystko.

Nie wdam się w szczegóły podróży, której głównym celem dla obudwóch kompanów były Rosiejnie, dla porucznika jako pośpiech nakazany pod błogosławieństwem przez umierającego ojca, Myszejkis zaś z tamtych okolic był rodem, więc nie podlega wątpliwości, iż ze wszechmiar pilno im było dopiąć tej mety. A skoro Myszejkis stosownie do uczynionych ślubów, stanąwszy na ziemi polskiej, pierwszemu plebanowi ofiarę z koni złożył, podróż jako mniej obciążonym raźniej im iść poczęła i spieszyli co sił, wszakże ile przezorność w oszczędzaniu koni na dłuższą drogę dozwalała.

ROZDZIAŁ IX.

Owczesne Rosiejnie, stolica księztwa Żmudzkiego, niegdyś rezydencya sławnego Mendoga, podówczas jeszcze jaśniało potęgą i chwałą. Przez oświatę chrześciaństwa przebijały się tam świeższe natenczas zabytki pogaństwa. Rosiejnie kwitły, raz jako główne miasto bogatego kraju z 28 powiatów złożonego, powtóre były miejscem sejmików, rezydencyą ziemstwa i grodu, dla których własnym sumptem ostatni z Jagiellonów wspaniałe wzniósł gmachy.

Pomimo wszakże kiłkowiekowego już ugruntowanego na Żmujdzi chrześciaństwa, jedna najdawniejsza świątynia, a dość skromna jak na gród stołeczny, wiernym starczyła— w lat dopiero dwadzieścia po opowiedzianych tu wypadkach, Stankiewicz pisarz W. Lit. wspaniały tu klasztor Dominikanów fundował—lecz dotychczas ci zakonnicy posiadali małe oratorium w domu na przedmieściu, w którem hojności fundatora wyczekując, trudnili się jako zwyczajem tego zakonu było, wykupem więźniów z rąk niewiernych.

Był podówczas w mieście jeszcze jeden aspirant ku szerzeniu chwały Bożej, ksiądz Krzysztof, zakonu Karmelitów bosych, który ciągniony wokacyą zakonną, wyparł się dóbr doczesnych, a chwale bożej oddawszy się, dotarł aż do góry Karmelu, kolebki swojego zakonu, a tam otrzymawszy

święcenie kapłańskie, za zezwoleniem Ojca św. w Rosiejnach, ziemi rodzinnej, klasztor swój miał fundować. Wszakże Karmelici rozpowszechnieni u nas dopiero za panowania Wazów, nie tak łatwi byli do zgromadzenia w konwent, jak inne zakony już rozszerzone w kraju. Krzysztof więc przywiodłszy ze sobą dwóch zakonnych ochotników cudzoziemców, musiał wprzód wyćwiczyć w mowie miejscowej, a dopiero potem rekrutować powołanych rodaków—szło mu więc niesporo, a powiedzmy na tem miejscu, że lubo wpół wieku zaledwie po śmierci swej, dzieło pobożne dobrym skutkiem uwieńczył, wszakże niezaprzeczenie jemu należy cześć jako protoplaście zakonu Karmelitów w Polsce.

Tymczasem z trzódką swą duchową, wiódł O. Krzysztof żywot ascetyczny, zakonny, w trzech małych chatkach nad brzegiem Rosieńki, mając dotąd przy sobie dwóch ojców zakonnych cudzoziemskich i dwóch braci zrekrutowanych na miejscu dla chwały Bożej, z których br. Eustachy, był prawą ręką i socyuszem przełożonego. Modlili się, uprawiali szczupły ogródek na nędzne wyżywienie. Dwie chałupki mizerne zajmowali sami, trzecia pokaźniejsza, krzyżem drewnianym ozdobiona, służyła im jako świątynia i rozsadnik z którego spodziewali się chwałę Pańską rozmnożyć.

Kiedy po długich znojach i trudach nasi podróżni dotarli już do swojej ziemi obiecanej — Rosiejń — Porucznik, jako syn posłuszny, nie szukając wczasu ni gospody, rozpytywał napotykanych o mieszkanie O. Krzysztofa; że zaś takowe było przybytkiem pociechy dla dusz strapionych i pomocy dla ciał nędzonego, o ile na to ostatnie ubóstwo mnichów starczyło, bez trudności dopytał; jednak tknęło go to boleśnie, że niejeden mu odpowiedział zasmuconym głosem:

— Jeżeli wam pilno oglądać ojca przełożonego, to pospieszajcie, bowiem Bóg go na nasz smutek wzywa do siebie.

Porucznik we wczesnej młodości zaledwie zapamiętał swojego stryja księdza, pomimo to zaniepokojony na wskazane miejsce pospieszył. Lecz gdy się zbliżał do onej mizernej zagrody, ujrzał z jednej lepianki wychodzących księży ceremonialnie w aparatach. Cześć im należną oddawszy, skoro przeszli już, wręczył swojego konia Myszejkisowi, zbliżył się do nędznej chaty, zkąd zastęp duchownych wyszedł dopiero, a spostrzegłszy na progu zakonnika, który przerzucając różaniec, łzy od czasu do czasu ocierał, zapytał go czyli może się widzieć z O. Krzysztofem?

— Pozostawcie ojca w spokoju z Bogiem, on już wszystkie sprawy ziemskie pokończył, nie trudźcie go — odrzekł mnich.

— Mam nader ważną sprawę...

— Jakież są sprawy ziemskie ważniejsze od niebieskich? — powtórzył mnich z pewnym tonem niecierpliwości.

— Powiedzcie mi łaskawie, czyli nie jesteście bratem Eustachym?

— Tak jest... ale zkądże wam nietutejszemu, jak widzę, imię moje wiadome?

— Zaraz się o tem dowiecie, ale tymczasem raczcie pospieszyć i ukażcie ten pierścień O. Krzysztofowi.

— Ah! to jegomość jestes owym oczekiwanym gościem przez naszego ojca — rzekł mnich radośnie przypatrując się sygnetowi — tak, w istocie, taż sama to jest pieczęć. Biedny ojciec miał wizyę, że jesteście w drodze, ciągle was śledził pospieszającego do niego, i tak już od kilku dni, Boże odpuść, podejrzywałem, iż chory ojciec majaczy... Lecz święty to człek, a snać ma łaskę u Boga, kiedy rzeczy przed innymi zakryte tajne jemu nie są! Chodźcie co rychlej, ojciec się wami ucieszy.

Porucznik wszedł za bratem zakonnym do lichej maleńkiej izdebki, prawie już do połowy w ziemię wklęsłej,

jedyne okno żadnego światła nie przepuszczało, a paląca się świeca z żółtego wosku, ponury blask rzucała na wynędzniałe już prawie trupie, oblicze schorzałego starca, spoczywającego na nagim tapczanie, zaledwie słomą potrząśniętym. Za wejściem, skoro brat Eustachy przełożył mu o wszystkiem co zaszło i kim jest ów przybyły, twarz starca już pozbawiona życia, zajaśniała radością i rzekł:

— O jaki Bóg łaskaw! a co nie mówiłem ci bracie, że on przyjdzie, a już depozyt ze mną miał iść do grobu, i musiałbyś go rozkopywać Eustachy za ukazaniem pierścienia... O! Pan nasz to źródło niewyczerpanego, wiecznego i doczesnego spokoju, On i duszę i kości nędzarza szerokim płaszczem miłosierdzia osłoni!... Bracie wyjmij szkatułę z pod mojej głowy... podaj święcę, zweryfikuj pieczęci... A co?

— W istocie są jak jedne i te same z onym sygnetem.

— Zbliż się mój synowcze, niech cię pobłogosławię... twój ojciec nie jest żyw, dali mi o tem relacye Ojcowie Dominikanie, którzy cię widzieli w Perekopie, matka twoja uwiadomiona miała za ciebie okup posłać, tymczasem jacyś jeńcy mieli powiadać napewno, żeś zmarł w jassyrze... jam temu nie wierzył, bo Bóg łaskaw na mnie, odkrył mi prawdę... Opowiedzże, jak tam było z bratem nieboszczykiem, daj mu Panie niebo, a potem z tobą... Bóg mi wybaczy tę ostatnią ciekawość na ziemi.

Porucznik opowiadał wszystko co dotąd wiemy... chory starzec słuchał z zajęciem, twarz to mu się zasępiała, to rozjaśniała radością, stosownie do przytoczonych przygód i wypadków, a skoro skończył młodzieniec opowiadanie, Ojciec Krzysztof zwrócił się do zakonnika:

— Bracie — rzekł — idźcie potrzymać na chwilę oba konie, a niech tu przyjdzie brat jego mleczny Myszejkis, znam tego poczciwego chłopca od dzieciństwa, pobłogosławię go.

A gdy się stało jak chory chciał i Myszejkis ukląkł przy łożu boleści, starzec kładąc mu wyschłe ręce na głowę rzekł:

— Niech cię Bóg błogosławi zacny człecze, pamiętaj, kto bliźniego wspiera, staje się wierzycielem Boga, który rzetelnym jest płatnikiem, idź w pokoju a dotrwaj w poczciwości... Zawołajcie mi brata Eustachego.

Skoro Myszejkis wyszedł spłakany i uszczęśliwiony, a brat Eustachy stawił się na wezwanie, chory się ozwał słabnącym głosem:

— Wielkie miłosierdzie Pańskie spełniło się nademną, bo Bóg w łasce swojej zesłał mi jedynego krewnego, który mi oczy zamknie... Dość już tych uciech światowych, a trzeba iść kędy wołają... Odmówcie mi razem modlitwy przy konających...

Porucznik z bratem zakonnym uklęknąwszy społem przy łożu, z wysiłkiem powstrzymując łzy i łkania odmawiali modlitwy żądane, a przy ostatniem „*Amen*“ gromnica upadła z rąk chorego i dusza pobożna poleciała do wyżyn niebieskich po wieczną nagrodę!

* * *

Zapłakawszy nad śmiercią sprawiedliwego, porucznik wynosił depozyt swojego ojca, a Myszejkis nie bez trudności dodźwigał go do gospody, którą sobie wynaleźli. Stosując się do ostatniej woli rodzica, syn przystąpił do otworzenia szkatuły, co mu bez trudności przyszło, gdyż dawni ludzie z przewidywaniem poczynali, owoż i przy onej mocno kutej szkatule w skórzanej torebce znajdowały się opieczętowane trzy klucze ze znakami i numerami zastosowanemi do zamków.

Cóż tedy szkatuła zawierała? Idźmy porządkiem rzeczy:

Na samym wierzchu papier złożony z nadpisem: „dla odczytania mojego syna nim dalej rozpatrzy“. Wziął z uszanowaniem syn posłuszny ten papier i czytał.

(Lubo posiadam jakieś strzępki tego dokumentu, z którego, z niejakim grzechem inwencyi autorskiej, możnaby złożyć jaką taką całość, atoli nie chcąc się zabawiać w apokryf, co byłoby nużącem nietylko dla piszącego ale i dla czytelnika, wolę w treści opowiedzieć). Pan Stolnik Rosieński, ojciec porucznika, zalecał mu tedy pod błogosławieństwem, ażeby po odczytaniu niniejszego, nie zwłócząc oblatował w aktach rosieńskich jego testament, a wszystko co w testamencie napisane jak najściślej spełnił, w razie potrzeby prawnie wyegzekwował. Szkatuła nadto zawierała 1,000 czerw. złot., których prócz zaspokojenia skromnych potrzeb, na nic innego użyć niewolno było synowi, chociażby nawet na jałmużny i dobre uczynki, dopóki woli ojcowskiej zadość nie uczyni, we wszystkiem zaś pośpiech pilny był surowo, z obostrzeniem błogosławieństwa, nakazany.

W każdym innym razie, jak to młodemu a szlachcicowi przystało, porucznik nimby się zjawił do grodu, pomyślałby o przyzwoitem ogarnięciu, lecz że wolę ojca za najpierwszy obowiązek poczytał, już równo ze dniem oczekiwał otwarcia izby sądowej.

Prawda, że przypatrywali się ciekawi jego figurze, ogorzałemu obliczu, strojowi tatarskiemu, lecz nikt się bardzo nie dziwował, siła bowiem wracających z jassyru pod te czasy w kraju się najdowała.

Nakoniec stanął przed regentem kancelaryi ziemiańskiej, a powiedziawszy, iż jest stolnikowiczem rosieńskim, żądał wciągnięcia do akt testamentu ojca.

Regent rosieński był to człek umiarkowany, a na sprawy jak inni juryści niełapczywy; mierzył go długo badawczym wzrokiem, jakby chciał w nim odkryć znajomego, a w końcu rzekł:

— Waszmość się chyba mylisz, iżeś jest stolnikowiczem rosieńskim?

— Jakto mam się mylić co do mojego istnienia?—odparł stolnikowicz niecierpliwie, a z dumą.

Regent tymczasem coraz mu się pilniej przypatrywał, twarz swoją zbliżał do niego, jakby sam chciał mu się dać poznać—a potem się ozwał:

— Słuchajno waść, my juryści znamy takich ptaszków, więc niebądź zbyt butny, bo jako uzurpatora cudzej osobistości, kazałbym cię wziąć pod straż, gdybym nie miał komizeracyi nad waćpanem, widząc po zmizerowanej a ogorzałej twarzy i stroju, że z jassyru powracasz i bez tego musiałeś się nacierpieć, idź więc w pokoju i za ten zamiar grzechu odpokutuj sobie—a niech cię Bóg sądzi, bo my i tak spraw mamy zawiele. A wiedz waszeć, iż rozpoczynasz gardłową sprawę. Ja zaś trzymam się słów Pisma, iż „nie chcę śmierci grzesznika, ale by się nawrócił,“ a dla tego puszczam cię wolno.

Porucznik na te słowa zdumionym wzrokiem mierzył regenta, który tymczasem, przewertowawszy fascykuły przed nim leżące, dobył jeden papier i dalej prawił:

— Rozumiem co jest, byłeś waść przy śmierci stolnikowicza, zbadałeś może circumstancye jego życia, i teraz chciałbyś się za niego udać i wziąć po nim sukcesyę...

— Niechże wiem przynajmniej kiedy umarłem, czyli raczej kiedy stolnikowicz rosieński umarł?

— Nic łatwiejszego—mówił regent, ukazując mu papier, bo oto jest relacya o jego śmierci, zaprzysiężona przez trzech szlachty osiadłych, wracających z jasyru, a przytom-

nych przy śmierci stolnikowicza, uczyniona na żądanie Imć pana komornika Nenchi, prokuratora Imć pani stolnikowej, matki zmarłego.

Rzekł regent jednym tchem, czytając jakby z papieru, a tym urzędowym głosem, który winien swoje robić, nie bacząc na to, czyli go słuchają. Na taką pewność o swej własnej śmierci, zaprzysiężenie jej przez szlachtę, na żądanie jego własnej matki, porucznik skamieniał i stojąc nieruchomy, słów na odparcie nie znalazł. Regent zaś przypuszczając, iż go nie zrozumiał, ciągnął rzecz swoją z urzędową dobitnością—akt ukazując:

— Masz tu waszmość akt śmierci, zeznany i zaprzysiężony przez trzech osiadłych ut supra się rzekło, a według prawa dostateczny, bowiem jak waści wiadomem być musi, tatarzy ksiąg metrycznych nie prowadzą, więc i sepultury od nich wymagać nie można. Testament zaś stolnika nieboszczyka do akt wniesiony i już egzekwowany, a na mocy jego pani Stolnikowa wdowa jest jedyną sukcesorką całego mienia, do tego testament uznany przez pieczętarzy, którzy go podpisali, zatem rozpoczynasz całą tę występną sprawę chyba w tym celu, aby dać gardło, bo nic z tego nie zyskasz.

— Ależ wczoraj jeszcze znajdowałem się przy śmierci stryja mojego O. Krzysztofa, który mnie poznał, i właśnie wręczył mi depozyt nieboszczyka ojca i jego testament.

Rzekł porucznik, ukazując papier trzymany w ręku.

— A to jegomość jesteś tym przybyłym krewnym w chwili śmierci naszego nieodżałowanego O. Krzysztofa, napomknął mi o tem brat Eustachy, którego wczora widziałem...

Zamyślił się przez chwilę regent, stukał palcem po

czole, i już dalej mówił do siebie, jakby myślał głośno, nie zważając na bytność porucznika:

— To dziwna, Stolnik nieboszczyk zwierzał mi się we wszystkiem, a nie wspominał nigdy o depozycie złożonym u O. Krzysztofa?... Ale waszmość, gdybyś był jego synem, poznałbyś mnie niezawodnie...

Porucznik schwyciwszy ostatnie słowa dyalogu regenta, przyjrzał mu się pilniej przez chwil kilka, a pochylając się do jego kolan, zawołał:

— Imć panie Marcinie Wideyko, czołem wam, i nie wiem prawdziwie co się stało, żem was, przyjaciela ojca nieboszczyka i domu naszego, nie poznał?... Pierwszy prawie wyraz, jaki wymówiłem w życiu, było to wasze zacne imię, które przekręcałem po dziecinnemu na „cinek,“ słysząc, że ojciec nieboszczyk zwał was „Marcinkiem.“

— Mikuś!... mój drogi! jakżeś ty zbiedzony!—zawołał Wideyko, rzucając się ze łzami w objęcia młodzieńca.

Dopieroż między starcem a młodzianem posypały się wspomnienia lat dawnych. A staruszek, cisnąc głowę młodego przyjaciela do piersi, zawołał w uniesieniu:

— A patrz no, zawsze nad lewem uchem masz bliznę od rany, którą ci zadawszy, omal ze zgryzoty życiem nie przypłaciłem, kiedy jak piskorz wymknąłeś mi się z rąk na kładce, rozbiłeś głowę, i o mały włos nie utonąłeś... a bodaj cię Bóg kochał, coś ty mię łotrze strachu nabawił, jeszcze w tej chwili dreszcz mię przejmuje, a pamiętasz, jakie to ci koniki strugałem?...

Tak sobie długo przypominali młodzieniec ze starcem dawne szczęśliwe czasy, że aż poważna i ponura kancelarya regenta akt ziemskich zamieniła się na czas w miły przybytek szczęśliwych reminiscencyj.

— Zawsze Bogu Najwyższemu bądź chwała, iż cię żywego oglądam, bom cię już gorzko opłakał, a co się namo-

dziłem za twoją duszę, ile egzekwij sprawiłem. Ale zawsze ciekaw jestem, cóż mieli w tem świadkowie oni, którzy twoją śmierć zaprzysięgli przed dwoma laty?

— A jacyż to byli ci świadkowie?

— Szlachta wielkopolska osiadła, również wracający z jassyru, gdzie razem z waszmością najdowali się.

I Wideyko poszperawszy w fascykułach, ukazując mu papier, trzy nazwiska wymienił.

— To fałsz wierutny! U mirży, którego byłem jeńcem, najdowało się jeszcze czterdziestu kilku innych, których mógłbym natychmiast wyliczyć z nazwiska, ale jako żywo takich nie było—powiedział z gniewem i oburzeniem porucznik.

Wideyko coraz bardziej się zamyślał, tarł czoło, a widocznem było iż zawikłania całego dotąd rozplątać nie umiał.

— A pokaż-że mi chłopcze ów testament ojca nieboszczyka.

A wziąwszy go do ręki odczytał uważnie, potem obracał do światła na różne strony, przecierał okulary, a nakoniec przerzuciwszy rozmaite pliki dokunentów, dobył inny akt, złożył go przy podanym przez porucznika, przepatrywał jak najpilniej, a w końcu rzekł.

— Otóż są dwa testamenta twojego ojca, powierzchownością tak podobne do siebie, że mógłby owaryować ktoby w nich szukał różnicy. Pieczęcie jedne i też same na tychże miejscach postawione, podpisy świadków jeden w drugi, nigdzie najmniejszym zakrętem się nie różnią, ja co na tem zęby zjadłem przez lat pięćdziesiąt, przysiągłbym na to. A tymczasem obie treście całkiem innego brzmienia, pierwszy testament oblatowany zaraz po twojej mniemanej śmierci, czyni matkę twoją dziedziczką całego mienia, z prawem udzielania dzieciom co jej się będzie podobało, tego wiaro-

godność stwierdzili pieczętarze stawiąc się przed sądem, a uznając tożsamość pieczęci i podpisów, zatem takowy wątpieniu nie ulega; przedstawiony zaś przez cię testament czyni cię dziedzicem imienia ojcowskiego, zastrzegając utratę przywianku przez wdowę, w razie gdyby śluby małżeńskie ponowiła.

Dalej przepatrując oba dokumenta, Wideyko podał jeden z nich porucznikowi i rzekł:

— A teraz obserwuj waść pilnie na ostatniej paginie wiersz siódmy a capite. Zaczynam czytać.

I czytał głośno:

„Wszem wobec i każdemu zosobna, komu o tem wiedzieć należy niniejszem wiadomo czynię, iż ta jest moja wola ostatnia i jedyna, a zamienić ją lub zniszczyć jedyną pozostawiam sobie moc stawiąc się osobiście przed prawem, u jakichbądź akt ziemskich, a czego gdy nie uczynię, wola ta ma być uznaną za swiętą i nienaruszoną. Gdyby zaś kto po śmierci mojej inny jaki legat mój, testament lub zapis do jakichkolwiek akt prezentował lub oblaty onych żądał, takowy według sumienia i prawa za fałszerza uznany być ma i postąpiono z nim niech będzie w moc statutu W. X. Litewskiego rozdz. I art. 16“. *)

— Czy jest słowo w słowo?—spytał rejent ukończywszy czytanie.

— Niechybnie—odparł porucznik.

— A zatem jeden z tych dokumentów widocznie sfałszowany z drugiego.

Rozpoczął Wideyko. Na te słowa porucznik poruszył się na siedzeniu, lecz rejent zatrzymując go ręką, dodał:

— Nie zapalaj się waszmość, gdyż nie mówię aby to był twój. Wszakże chciej mi opowiedzieć wszystkie szcze-

(* Przepisane z oryginału.

góły śmierci szanownego twojego rodzica i w jaki sposób ów dokument dostał się do rąk twoich?

Porucznik rozpoczął opowiadanie znanych nam szczegółów, których z uwagą i zajęciem słuchał Wideyko, a gdy skończył, ozwał się:

— Wiem już teraz kto sfałszował testament, widocznie że nie ty: raz czyn ten z oczu ci nie patrzy, powtóre gdybyś się nawet na to zrezolwował, nie miałbyś czasu ani sposobności, popadając z placu boju niezwłocznie w jassyr.

— A nadto testament był w depozycie u nieboszczyka stryja, O. Krzysztofa—wtrącił porucznik.

— To jeszcze nie racya przed prawem, nikt bowiem nie widział kiedy otwierałeś depozyt i protokularnych świadków nie miałeś; gdyby przynajmniej O. Krzysztof wiedział i przy świadkach wymienił, co miał w swoim depozycie, byłby jeszcze dowód niezgorszy. Ktoś równie posądzić cię może. czy jeszcze za bytności w domu tego nie sprawiłeś, bowiem testament uczyniony na lat dwa przed potrzebą cecorską. ergo przed śmiercią nieboszczyka stolnika.

— Cóż więc jest tamten drugi testament?—spytał porucznik.

— Fałsz najoczywistszy — mówił rejent — którego wszakże niczem nie dowiedziesz.

— Jak to być może?

— A tak jest: pieczętarze stwierdzili podpisy i pieczęcie, czemu się wszakże nie dziwuję, bo na ich miejscu, toż samobym uczynił, tak bowiem z szatańską dokładnością zachowane podobieństwo wszystkiego.

— Cóż tedy o tem myśleć.

— Zaraz waści powiem: ojciec nieboszczyk dwóch tak sprzecznych aktów spisaćby nie mógł i z wiadomych mi circumstancyj jego pożycia z żoną, a miłości dla dzieci, tego testamentu by nie uczynił; ergo fałszu mógł się dopuścić

jeden Nencha, używający pełnej ufności waszej matki pani Stolnikowej, który w jej imieniu rządzi mieniem, a raczej je trwoni, już niektóre dobra zaljenował, na innych poczynił deportata na rzecz swoją. Sam zresztą czas kiedy ów testament jakoby odszukał i z plenipotencyi matki waszej w aktach oblatował, dowodzi co miał na myśli—gdyż czynił to właśnie kiedy waść przez OO. Dominikanów rekwirowałeś dla się o okup, który Imćpani Stolnikowa dać chciała i Nencha miał sobie polecone zebrąnie żądanej summy, lecz zwlekał póty, aż owa szlachta śmierć waszą przed aktami zaprzysięgła, a wtedy ów testament się zjawił, a reszta... sapienti sat .. łatwo pojąć.

— Więc waszmość pan nie wątpisz o autentyczności przedstawionego przezemnie testamentu? — spytał porucznik.

— Wierzę weń mój synu, jak w ewangelię.

— Zatem raczcie uczynić teraz co z urzędu należy.

— Zaczekaj, jeszcze to głębiej roztrząśniemy—wtrącił rejent z przestrogą.

— Ażaliż jest czas zastanowienia, kiedy idzie o mienie sióstr moich, nie mówię o sobie, bom się zapoznał z nędzą w niewoli bisurmańskiej i niewiele mi potrzeba, lecz muszę matkę wyrwać z sideł tego niegodziwego człowieka, któremi ją oplątał—z passyą wypowiedział porucznik.

— Rozumiem chłopcze twój szlachetny sentyment, lecz posłuchaj głosu rozsądku i zważ na co się narażasz, a co sam akt wskazuje powołaniem się na artykuł 16 rozdziału I-go, a wiesz waszmość co ten opiewa?

A rozwarłszy dużą księgę leżącą przed nim, czytał:

„Kiedyby kto listy albo pieczęci nasze fałszował abo nakształt ręki naszey, takteż Kanclerza, Podkanclerzego i pisarzów naszych Dwornych, Ziemskich, Grodzkich i Podkomorskich tego Państwa, Wielkiego Xięztwa Litewskiego

Listy abo przywileia jakie zmyśliwszy podpisował. Abo ktoby też Pieczęci nasze i urzędów naszych sobie rył, u siebie ich chował i ich używał, taki z Prawa za okazaniem, jawnością pewną i dowodem słusznym, niczym inszym tylko na gardle, ogniem karan być ma. Ktemu, jeśliby też kto wypisy i pieczęci urzędowe przeprawował, *Testamenty, Zapisy* (*na tych wyrazach czytający nacisk położył*), Cerografy na długi, listy na zastawy fałszował ku pomocy a pożytku sobie, a ku szkodzie strony swej przeciwnej, a toby się na prawie znalazło i okazało, ten tę rzecz i o co za nimi prawo wiedzie traci i *gardłem przecie za to ma być karan*".

— Czy pojmujesz waść rygor tego prawa?—spytał Wideyko po odczytaniu.

— Jasnem jest, że autor tamtego testamentu alias fałszerz gardło utraci, ja na to nic nie poradzę—odparł porucznik:

— Tak zaiste, idzie tu o gardło, ale nie wiadomo o czyje?

— Przecie nie o moje, bo sami powiadacie że nie ma suspicyi, abym testament fałszował.

— Otóż powiem waszeci, że o ile sumiennie przeświadczony jestem, iż zbrodni fałszu nie dopuściłeś się, o tyle z drugiej strony mam obawę, ażebyś ty niewinny w tej sprawie czci i gardła nie utracił.

— A cóżby to było za prawo? — zawołał gwałtownie porucznik.

— *Dura lex, sed lex!* Wysłuchaj mnie cierpliwie: Nencha jest infamis, którego nie wiem jak może święta ziemia dźwigać, temu ani ja ani też nikt go znający nie zaprzeczy, sfałszował zaś testament na twoją wyłącznie i jedynie szkodę, bo wszystko co twój testament na rzecz twoją opiewa i bez niego z prawa ci spadku należy; przewidując zaś ten łotr że ty jeden mógłbyś pójść o całość, bo sio-

stry twoje, które ma zamiar zamknąć w klasztorze, w ostatnim razie wianem mógłby zaspokoić, z prewizyą poczynając, prawem się ogrodził, zaczem wezwał pieczętarzy do weryfikaty podpisów, chociaż temu testamentowi nie oponowano, jakby przewidywał iż zmartwychwstać możesz. Świadkowie zaś raz uznawszy podpisy i pieczęcie wprzód sobie okazane, które przyznali, drugi raz mogą najsumienniej negować: najprzód dla tego że między podpisami zachodzi niepraktykowane podobieństwo, a powtóre iż trudno suponować aby twój ojciec nieboszczyk legował testamentem, to coć z prawa należy, jako de jure jego spadkobiercy, a właśnie powiedzą iż fałszerstwo twojego testamentu wywołane wpierw przedstawionym, który cię wydziedzicza. Ergo po zeznaniu świadków uformują ci sprawę kryminalną i na mocy artykułu 16 rozdziału I-go...

Smutnym już tylko gestem regent zakończył, jakby obawiając się wymówić ostatnie straszne słowo, które za niego porucznik wypowiadał mówiąc:

— To jest infamia piekielnie osnuta—zawołał ściskając pięście porucznik.

— Którą tylko szatan lub jego nieodrodny synek Nencha inwentować zdolny.

— I wezmą moje gardło... Ale czyliż matka moja na to zezwoli?

— Zmuszasz mię chłopcze, abym ci powiedział, co właśnie zataić przed tobą umyśliłem, lecz jako lekarz z chorym tak i juryśta ze swoim klientem w skrystość się nie bawią: że twoją matkę ten łotr Nencha ostatecznie opanował, tak iż na wszystko patrzy przez jego bezczelne oczy— nadto uczciwszy twój dla niej respekt synowski, zastrzegam iż relata refero jako zawrzeć miała z nim potajemnie związek małżeński; nowy powód do zwalenia twojego testamentu, in vim którego utraca przywianek wdowi, przy

ponowieniu ślubów małżeńskich i widzi mi się, iż przed Imćpanią Stolnikową wystawi cię Nencha jako fałszerza, chociażby dla oczyszczenia siebie samego i przed sprawą gardłową się nie cofnie.

— Co począć?...—mówił zafrasowany porucznik.

— Obacz się wprzód z matką...

— Właśnie iż mi ojciec tego pod błogosławieństwem zakazuje i wprzód żąda abym oblatował testament, nim się z matką obaczę... Radź mi jegomość jako nieboszczyka ojca przyjaciel a na mnie łaskaw, co począć? Bo zaprawdę, ja głowę tracę; najprzód przeczytajcie instrukcyę ojca.

Powiedział prawie z rozpaczą porucznik, podając papier regentowi, który przeczytawszy go uważnie, wyrzekł ze smutkiem:

— Tu już wszelka jurysprudencya ustaje, a serce synowskie wyrokować jedynie mocne.

— A więc—rzekł z determinacyą porucznik—ze świętej woli umierającego, ponawiam do was suplikę o oblatowanie jego testamentu.

— Dixisti—odpowiedział rozrzewniony Wideyko.— W Bogu nadzieja, że jako dobrego syna, od smutnych konsekwencyi cię ochroni. Co tylko w mej mocy, niechać niczego nie będę w tej sprawie, ale zawsze utaić nie mogę, iż z przebiegłym łotrem mieć będziesz do czynienia.

— Ha!... co Bóg da, alem ojcu umierającemu przysięgał! Raczcie czynić co z prawa należy.

— Najprzód, należy mi udowodnić prawnie tożsamość waszej osoby.

— Przecie znacie mię waszmość od dziecka.

— Tak, ale ja tu występuję w osobie prawa i świadczyć sam przed sobą nie mogę.

Wtem przerwał ich rozmowę odgłos dzwonów kościelnych.

— A wiesz jegomość, to egzekwie za duszę krewnego twojego, O. Krzysztofa. Rozpocznijmy ciężką sprawę z Bogiem, chodźmy się pomodlić, może ten człek święty iście za życia, przyczyni się za tobą i twoją synowską powolnością— ozwał się regent.

I obaj skierowali się ku kościołowi a raczej oratorium Karmelitów, dokąd lud pobożny ze wszech stron już napływał. Szli tak obaj w zamyśleniu, młody przemyśliwając o dziwnem zawikłaniu swej czystej sprawy, a stary przeliczał w myśli akcesorya i impedimenta do zwalczenia, gdy wtem ktoś zawoła z boku:

— Jak mi Bóg miły, jeżeli mię wzrok nie myli, toż stolnikowicz.

— Niezawodnie tak—ozwał się głos drugi.—A cóż to, zmartwychwstałeś młodzieńcze, czy co?

Byli to dwaj Dominikanie rosieńscy, O. Cyryll i O. Telesfor, gorliwi wyswobodziciele więźniów z rąk niewiernych, którzy przed dwoma laty byli u tatarów, gdzie stolnikowicz w jassyrze się znajdował, a nawet okup u matki wyjednać mu przyrzekli.

Porucznik uradowany spotkaniem ucałował dobroczynne ręce zakonników, którzy jeden przed drugim ciekawie go dopytywali:

— Powiedz że jakim cudem wydostałeś się z tej niewoli?

— Bowiem nim pani Stolnikowa, matka wasza, zebrała się na posłanie okupu za ciebie, nadeszła wieść jakoby pewna o twej śmierci—Bogu bądź chwała iż się nie sprawdziła. A cóż ten twój poczciwy giermek Myszejkis, czyli się także wydobył?

Zacni księża zdążając na pogrzeb O. Krzysztofa, wywiadywali się o szczegółach ucieczki stolnikowicza (tak odtąd porucznika już nazywać będziemy), który musiał im

wszystko naprędce opowiedzieć. oraz dać relacyę o innych pozostałych w jasyrze; zaledwie przed drzwiami kościoła zdołał ciekawość mnichów zaspokoić, a gdy ci się oddalili, rzekł regent uradowany, ręce zacierając:

— Widocznie nieboszczyk O. Krzysztof zaprotegował waszmościną sprawę przed forum niebieskiem, kiedyś tak rychło znalazł dwóch świadków, których wiarogodności nikt kontestować nie może. Winszuję jegomości, bo przy takiej protekcyi sprawa lepiej staje.

* *

Nazajutrz OO. Cyryll i Telesfor stawiąc się przed grodem zeznali tożsamość Stolnikowicza. Nadto Myszejkis zawiadomił swoję starą matkę a niegdyś piastunkę Stolnikowicza, mieszkającą wbliskości Rosiejń, która przybywszy uściskać swojego wychowanka, a dowiedziawszy się o jego kłopocie, stanęła dobrowolnie przed sądem z innemi dziećmi swemi a rodziną mleczną Stolnikowicza, równie o jego tożsamości zeznała; dla umocnienia zaś dowodów opowiedziała o przyrodzonych znamionach jakie posiadał na ciele, przez co wszelką wątpliwość usunęła. Zjawili się też jednocześnie starzy słudzy i rówieśnicy młodości Stolnikowicza, a wszyscy go poznali tak, iż sąd wątpliwości nie mając przyznał go prawym synem i sukcesorem niebozsczyka stolnika, a jednocześnie na oną szlachtę o jego śmierci świadczącą ferowałwyrok z mocy rodz. IV art. 7-go za fałszywe świadectwo, lecz niewiele im ten zaszkodził, bo nie wiadomo było gdzie ich szukać miano.

Regent Wideyko po konfrontacyi osobistości Stolnikowicza z radości się nie posiadał, ile że cieszył się z tryumfu dobrej sprawy, a powtóre iż miał jakiś ząb dawny do komornika Nenchy. Testament tedy przedstawiony przez Stolnikowicza, skoro ten go wedle prawa zaprzysiągł—bez żadnej już trudności w aktach oblatował, a nawet sąd ziem-

ski delegował swojego burgrabiego dla dania intromissyi do wszystkich dóbr, pod władzą grodu rosieńskiego zostających, a in vim testamentu Stolnikowiczowi przypadłych.

Wiadomość o cudownem jakoby zmartwychwstaniu przeszło od roku umorzonego Stolnikowicza, a w moc nowego testamentu o objęciu majątku przez nowego dziedzica, który już Stolnikowa wdowa przez inny testament posiadała—gruchnęła po całej okolicy, a wcale niepożądaną się stała wieścią dla licznych kredytorów dotychczasowej dziedziczki, którychí z mocy jej prokuracyi Nencha siła narekrutował. Zresztą zaciekawili się ludzie nową sprawą, wychodzącą za obręb powszedniości, juryści czynili rozmaite kombinacye i wnioski—sam zaś zmartwychwstały stał się niepospolitą postacią, ile że młody był a rycerskiego animuszu, w przygodach wojennych wypróbowanego, do tego zaś dziedzic znacznej fortuny; więc w czasach kiedy nieszczęsna potrzeba cecorska kwiat młodzieży wymiotła z kraju, a nie jedna dziewka obawiała się grochowego wieńca, poważni nawet rodzice wielką estymę dla Stolnikowicza powzięli.

ROZDZIAŁ X.

Dla lepszego rzeczy wyrozumienia zmuszony jestem cofnąć łaskawego czytelnika w przeszłość, szczęściem niezbyt odległą.

Niebezzasadna fama rozniosła po świecie o pokorze i uległości dawnych niewiast polskich, jako córek i małżonek, ztąd o wzorowym porządku w rodzinach i stadłach naszych dawnego czasu. Co do pierwszego, nie bywało prawie przykładów wyłamywania się dzieci, szczególnie córek, z pod woli rodzicielskiej. Lecz co do małżeństw, gęściejsze przydarzały się z pod ogólnego prawidła wyjątki. Tak to już bowiem jest na świecie, że odkiedy męża i niewiastę instytucya małżeńska związała w jedno stadło, w dramatach matrymonialnych nierzadko występował na scenę ów wszechwładny *pantofelek*. W dawnej Polsce zaprawdę rzadziej niż indziej — ale zawsze, jak się rzekło, bywały wyjątki.

Jeden z nich stanowił nieboszczyk Stolnik, przy którego bohaterskiej śmierci i szczególnym pogrzebie asystowaliśmy z czytelnikiem na pobojowisku cecorskiem. Mąż radny i bitny, celujący mądrością i powagą w sprawach publicznych, zapobiegliwy w rządzeniu gospodarskiem, bo z małej wioski po ojcu, otrzymawszy przytem za publiczne zasługi parę królewszczyzn, milionowej fortuny się dorobił. Lecz o ile po za domem szedł własnym rozumem, w domu

nosił czepiec swojej ukochanej Basieńki, która zapomocą niejakiego Imćpana Nenchi, komornika*) Kowieńskiego, którego ze wszechmiar niemiłą dla siebie rezydencyę stolnik znosił, ile że mu chętnie do spraw prawnych dopomagał, a żonie zaś może zawiele małżonek tolerował, a to dla tego, iż przy samowolnej fantazyi fortuny nietylko nie trwoniła, lecz owszem przysparzała, a stolnik był o dobro doczesne zabiegliwy.

W czasie, kiedy mąż wychodząc na wojnę, śmierć tam jak widzieliśmy znalazł, rodzina jego składała się ze znanego nam syna i dwóch młodszych córek; pierwszego stolnik odrazu uczynić potrafił wyjątkiem z pod żoninego wszechwładztwa — posłał dla kształcenia w naukach i wojskowem rzemiośle zagranicę, skoro lat dorósł, a potem wydzieliwszy mu wioskę pod Rosieniami, od domu trzymał zdala — być może iż nie chciał mu dawać złego przykładu ze swej zbytniej uległości małżeńskiej.

Co do dwóch córek, o ile matka była sama niepodległą, o tyle wdrożyła je do posłuszeństwa i pokory, a chociaż już panny były dorosłe, tyle jednak świata widziały co krosienka i kołowrotek, a gdy ojciec z nieśmiałością dopominał się o ich postanowienie i że czas im świata coś ujrzeć, Basieńka ofukała się swoim zwyczajem:

— Czas będzie na to, wiem co czynię, młode są. Nareszcie do syna jegomości nie męszam się, sam nim kierujesz, córki do matki należą.

Tak w stadle stolnika stały rzeczy przed potrzebą cecorską, a skoro o niej zasłyszał, stawił się jako zazwyczaj na wszelkie zawołanie kraju, podwójnie szczęśliwy teraz,

*) Należy odróżnić znaczenie komornika w prawie ówczesnem, który był urzędnikiem sądów podkomorskich, służących do rozgraniczenia majątków i rozstrzygania sporów o granicę.

iż na pierwsze wojenne pole jedynaka wyprowadzi. A jak się to nieszczęsnemu powiodło, o tem już wiemy.

Pod niebytność stolnika Nencha gospodarował, a skoro wieść o jego śmierci doszła, już się i rozgospodarował na dobre. Wdowa opłakiwała męża, ile serdecznie trudno wiedzieć, ale jak kochającej żonie przystało — sute sprawiła exekwie we wszystkich kościołach, hojne wota na msze żałobne poczyniła. Odżałowawszy tedy należycie małżonka, stolnikowa wyperswadowała córkom wokacyę zakonną, a odwiózłszy je do PP. Dominikanek do Nowogródka, gdzie jej siostra była ksienią, tam je osadziła, sama zaś z nieodstępnym Nenchą w dobrach męża pod Nowogródkiem osiadła.

Tymczasem Nencha w aktach nowogrodzkich oblatował testament, odszukany jakoby przypadkiem w papierach nieboszczyka stolnika, który na mocy rozdz. VIII art. 2 statutu W. X. Litewsk. wszystkie imiona ruchome i nieruchome wszelakim sposobem nabyte zapisywał żonie swej. a wieś jedną ojczystą i macierzystą synowi, córki zaś z jej przywianku według jej woli wyposażone być miały, a w ogóle aby dzieci to po niej dziedziczyły, co im w sukcessyi prawnej w razie jej zejścia przypadnie, albo im zapisem dobrowolnym lub testamentem przeznaczy.

Skoro OO. Cyryll i Telesfor, wracający z Krymu, zawiadomili stolnikowę o niewoli jej syna, oraz o ilości żądanego zań wykupu, matka wziąwszy to do serca, natychmiast nagliła Nenchę, aby potrzebne na ten cel święty dla macierzyńskiego serca fundusze zgromadził. Lecz lubo majątek znaczny był i jeszcze niezbyt obciążony, a wdowa żadnej uciążliwej kondycyi odrzucać nie chciała, byle syna ratować, atoli Nencha widocznie spieszył się powoli, czynił jakieś zastawy i frymarki z dobrami, a tymczasem i rok przeminął, ciężkiej niewoli syna i rozpaczy matki, która nawet klejnoty

własne na ten cel poświęciła; wszakże według relacyi komornika czasy były ciężkie, pieniądze rzadkie i t p.

Tymczasem Nencha podróżując w tej ważnej sprawie, za bytności w Rosiejniach znalazł ową wielkopolską szlachtę wracającą z jassyru, która wieść o śmierci stolnikowicza przyniosła, a na żądanie Nenchi przysięgą przed sądem stwierdziła.

Nieszczęsna tedy matka, niepocieszona w swym żalu, a to tembardziej, iż śmierć syna przypisywała własnej opieszałości w gromadzeniu okupu, wpadła w nieopisaną rozpacz, a najczęściej razem z córkami przebywała w Nowogródku u pp. Dominikanek, których nawet strój tercyarski przybrała, jedynego syna opłakiwać nie przestając, Nenchę ustanowiła prokuratorem specyalnym do spraw swoich majątków i rzadko bardzo do domu zaglądała.

Tymczasem Imćpan komornik, prokuratorując w imieniu stolnikowej, żył sobie dobrze, pełno go bywało na zjazdach, sejmikach i różnych okazyach. Wszakże sprawy nie zasypiał i raz skonstatowawszy oną śmierć stolnikowicza, który że „bez potomstwa po sobie na dół pochodzącego, a także braci rodzonych i sióstr umarł“—dwie bowiem stolnikówne, jako zostające w klasztorze, od spadku prawo wyłączało — na mocy rozdziału siódmego art. 16, wieś ojczystą po stolnikowiczu objął, i kiedy biedna wdowa i matka osierocona opłakiwała swą nieszczęsną dolę w murach klasztornych, Nencha samowolnie po dobrach plądrował, a żył sobie i bawił się w najlepsze; a wsie liczne stolnika z mocy prokuracyi jego sukcesorki szły w zastawy i dotąd czyste, obciążyły się rozmaitemi obligami.

*
* *

Tak stały rzeczy, kiedy na mocy wyroku grodu rosieńskiego stolnikowicz przeprowadzony z urzędu przez burgrabię a z sentymentu przez licznych przyjaciół, których mu obfite w przygody jego zjawienie się zjednało, udawał się na zajęcie dobr swoich w pobliżu Rosiejń położonych. Znajdował się tam podówczas komornik Nencha, polując sobie z przyjaciołmi, na wieść tych najmniej spodzianych wypadków — czy głowę stracił, czy może nie czuł się czystym w sumieniu? — człek zazwyczaj burzliwy i czynny. Mógł wprawdzie siłą wyprzeć ten zajazd, który wedle jego mniemania winien być nieprawym — lecz tego się nie dopuścił — nie przez wzgląd na urzędnika, bo co prawda z urzędami szczególnie mniejszemi, różnie tam sobie poczynano w ówczesnej Polsce — może się obawiał orszaku przyjaciół towarzyszącego nowemu dziedzicowi, lecz na to mógł swoich przeciwstawić... już niewiadomo dla czego, ale Nencha umknął z placu, wprost do dóbr stolnikowej nowogrodzkich. przodem zaś wyprawił gońca do niej do klasztoru, iż dla ważnej sprawy pragnie ją zastać w domu. Jakoż tak się stało, że stolnikowa na wezwanie swojego prokuratora pospieszyła, zaniepokojona nagłem wezwaniem, bowiem Nencha nie miał dotąd we zwyczaju jej rad w czemkolwiek zasięgać—wpadł tedy zmieniony na obliczu, zafrasowany i zadyszany i na powitanie stolnikowej z szyderczą passyą wymówił:

— Cieszcie się jejmość, wasz synaczek żyje...

Nie domówił tych słów, kiedy niewiasta uniesiona szczęściem padła na kolana i wznosząc ręce ku niebu, zawołała:

— O dzięki ci Panie! tego byłam pewną, bo serce matki nigdy nie zawodzi... Gdzie jest, niech go do serca utęsknionego przycisnę?...

— Nie dziękujcie jejmość na ślepo Panu Bogu, bo ten który jest i mieni się być waszym synem, jest oszust...

— Kłamiesz! — przerwała z wyrazem tygrysicy do żywego ubodnięta matka w najtkliwszem uczuciu.

— A ja wam powiadam, że gdyby w istocie ten samozwaniec był waszym synem, jeszczebyście się go wyrzekli, albowiem został fałszerzem.

— Kłamiesz! serce mi bowiem mówi, że syn mój żyw i niebawem przycisnę go do utęsknionej piersi, a dziecko moje tak szlachetne, uczciwe, fałszerzem się nie stanie. Gdzie jest, mów prędko, bo ja serca w piersi nie wstrzymam...

— Wstrzymajcie — odparł z szyderstwem Nencha — bo synaczek wasz bawi się w tej chwili zajęciem dóbr Rosieńskich na mocy jakoby testamentu swojego ojca nieboszczyka Stolnika.

— Na co mu testament, ja mu bez tego oddam wszystko, przecie to dla niego, dla mojego zmartwychwstałego, mojego jedynaka — mówiła we łzach niewiasta z przymileniem, jakby się pieściła z pierworodnem niemowlątkiem.

— Widać że testament poczytuje za rzecz pewniejszą, kiedy go sfałszował i oblatował w aktach rosieńskich i dekret intromissyi sobie wyjednał—wtrącił komornik z ironią.

— Mów, na miłość Boga, mów prędko i jasno, bo ja zmysły postradam!

— Ha, kiedy każecie, niech i tak będzie...

Rozpoczął Nencha i na rozżalone serce matki lał niemiłosiernie kropla po kropli wieść o fałszerstwie, z okrucieństwem jak kat leje siarkę rozpaloną na rany, które z mocy wyroku zadał. A jako dowody, jakby i tego okrucieństwa było dla serca matki za mało, przedstawiał kopię aktów, wyroków itp.

Z pod tego pręgierza macierzyńskiego, na który wsta-

piła niewiastą w sile wieku, zeszła Stolnikowa zgrzybiałą staruszką, włosy jej widocznie bielały, twarz marszczkami się pokrywała w okamgnieniu, drżenie starości wszystkie członki opanowało i padła bez zmysłów; nadbiegły służebne i położyły ją do łoża.

* * *

Stolnikowicz tymczasem działający pod naciskiem ostatniej woli ojca, działał niechętnie, a zaiste pilniej mu było rzucić się do nóg matki, uściskać siostry, lecz surowa wola zmarłego skowała go w te nieznośne pęta obowiązku. Jednocześnie więc z onem przymusowem objęciem dóbr rosieńskich, nic w nich nie rozporządziwszy nawet, zażądał kopii wierzytelnej testamentu i zaraz śladem za Nenchą do nowogrodzkich dóbr pospieszał. Serce mu biło na myśl samą uściśnienia drogich nóg matki i już zapomniał nawet, jakie surowe obowiązki wola ojca zmarłego nań wkładała, idąc jedynie za popędem serca.

Nazajutrz Stolnikowa weszła do tej samej komnaty, gdzie opowiadanie okrutnego Nenchy mrozem ją starości zaziębiło. W istocie w szacie dominikańskiej wyglądała jakby martwa bryła śniegu, którą przykrywał ów żałobny welon zakonny. Spokojna śmierci pokojem, zawołała Nenchę, aby jej do reszty wbił w serce to mordercze żelazo, którem ją rozranił i słuchała z nieczułością głazu dalszego opowiadania komornika, gdy wtem rozwarły się z trzaskiem podwoje i w progu ukazał się Stolnikowicz.

Na ten widok matka z ocieplonem sercem, z rozwartemi ramiony rzuciła się ku niemu, a piersi same mimowoli z głębi wnętrzności wyrwały głos potężny, którego nad matczyną żadna pierś inna wydać nie jest zdolna:

— Mój syn...

Lecz potem jakby zastygła na nowo w głaz się zamieniając, stanęła nieruchoma, poważna, nieubłagana jak wyrok kryminalny — a całującego jej kolana młodzieńca odtrąciwszy nogą, zawołała martwym głosem jakby dobytym z pustego naczynia:

— Precz!

— Matko! — jęczał syn tarzając się w prochu u nóg niewiasty.

— Precz fałszerzu!

— Jam fałszerz?..—zawołał syn drżącym głosem, blady jak trup, podnosząc się z ziemi.

— Zkąd wziąłeś testament ojca?

— Dał mi go ojciec przy śmierci.

— Kłamiesz powiadam, bo jest inny!..

— Który ja oblatowałem w aktach i jeżeli ten prawdziwym uznano, ergo ów jegomości fałszywym jest, a dla tego radzę uczynić od niego reces przed aktami... — wtrącił Nencha.

— Tyś jest więc fałszerzem! — zawołał Stolnikowicz uderzając po rękojeści miecza i rzucając się na komornika.

Lecz Stolnikowa schwyciwszy go za rękę wyschłą dłonią jakby kleszczami, przyciągnęła do skrzyni tuż stojącej, a otwierając ją drugą drżącą ręką dobyła papier, który wręczając synowi, rzekła rozkazująco:

— Dość masz jednej zbrodni, nietrzeba ci więcej; to jest akt powtórnego mojego ślubu z Imćpanem komornikiem Nenchą, który od dziś już nie będzie tajemnicą. Ciężko mię Bóg karze za moje grzechy, lecz czemuż w sprawiedliwości swej na mnie jednej nie poprzestaje i jam to niegodna sprawiła, że ostatni męzki potomek zacnego i nieskalanego rodu nieboszczyka mojego męża zakończy pod mieczem katowskim. Niech się do reszty spełnia hańba i kara! Bóg w gniewie swym sprawiedliwym zesłał mi tę chłostę, której

unikać nie mam prawa, niech się pełnią jego wyroki. Idź, tyś już nie moim synem, musisz być oszust do tamtego podobny z postawy i oblicza, bo mój jedynak tegoby się nie dopuścił. Nie mam syna!

Poczem zwracając się do Nenchi przemówiła z zatrważającym spokojem:

— A waść udasz się natychmiast do grodu i rozpoczniesz sprawę kryminalną przeciw fałszerzowi jako mój prokurator i małżonek. Uczynisz manifest w mojem imieniu przeciw wyrodnemu synowi. Sporządzisz sobie potem, jeślić się spodoba, zapis całej mojej fortuny na rzecz swoją, już nas nie ma na tej ziemi ja z córkami w murach klasztornych, a syn?... nie mam syna, kat mi go zabierze. Niech się pełnią surowe wyroki boskie!...

* * *

Trudno opisać jakie bolesne uczucia miotały duszą synowską młodzieńca wygnanego z przed oblicza matki. Nie wracał on już do dóbr rosieńskich, które był zajął; co mu było po wszelkich bogactwach bez błogosławieństwa i ciepłego macierzyńskiego uścisku, do którego tak spieszył i tęsknił. On byłby za te drogie skarby oddał wszystkie bogactwa świata, lecz z drugiej strony wola umierającego ojca trzymała go jak w żelaznych kleszczach i zrzec się testamentu nie był mocen. Rozszarpany na dwoje sprzecznemi uczuciami, zatęsknił za ciężkim tatarskim jassyrem i radby tam był na resztę życia powrócić.

Gdy one frasobliwe myśli trapiły jego zbolałą duszę, do gospody wsunął się Nencha.

Na widok tej nikczemnej figury zadrżał na całem ciele Stolnikowicz i mimowoli spojrzał na szablę przy nim stojącą, lecz wczas się pohamował i przypomniał, że owa peł-

zająca postać nosiła na sobie poważny charakter jego ojczyma.

Jurysta gnąc się w kilkoro, rozpoczął słodziuchno:

— Przybywam do waszmość pana w celu pokombinowania spraw naszych wspólnych, bo to *clara pacta faciunt claros amicos*... Pojawienie się dwóch testamentów nieboszczyka Stolnika ojca waszmości stawia nas w dziwnej kollizyi, lubo testament za wiedzą szanownej matki pańskiej, a mojej najdroższej małżonki, w aktach nowogrodzkich oblatowany przezemnie za jej wolą i przez prokuratoryę, nosi na sobie datę jedną z testamentem przez waszmość podanym, ergo na mocy prawa oba posiadają jednaki walor i uczciwszy honor pański powiem iż zachodzą okoliczności, podające w suspicyę autentyczność oblatowanego przez waszmość pana aktu. Wszelako dbały o honor syna mojej najmilszej małżonki, a tem samem i mojego najdostojniejszego pasierba, proponuję podział z nim równy fortuny, skoro, jak to słyszeliście, zapis na rzecz moją matka waszmości uskuteczni. . Idzie więc teraz głównie o to, abyś waszmość proprio motu i dobrowolnie uczynił reces od oblatowanego przez się testamentu, uznając moc pierwszego.

Osłupiały Stolnikowicz, zdziwiony zuchwalstwem tych odwiedzin, słuchał tej mowy jakby jakiegoś brzęczenia muchy lub szmeru obojętnego, lecz gdy skończył jurysta, rzekł z gniewem:

— Tylko charakter męża mojej matki chroni cię od tego żeć nie wyrzucam, idź i nie doświadczaj więcej mojej cierpliwości, jeśli chcesz mieć kości całe, a czyń jak ci twa podła dusza doradzi.

Widząc prawniczek z miny sierdzistej gospodarza iż gościć dłużej nie było czego, wyleciał z izby jak z procy, a czując się na progu bezpieczniejszym, z passyą dobył pa-

pier z zanadrza, a potrząsając nim jakby orężem, zawołał gniewnie:

— Oto jest moja broń, przez którą miecz katowski nad butnym twoim karkiem wzniosę!

I wycofał się co rychlej z izby.

Przez drzwi też same, któremi wyszedł jurysta, woźny sądowy w kilka godzin rzucił z przezornością, jak to ówcześni woźni czynili, osobliwie w sprawach niemiłych, jakiś papier. Lecz Stolnikowicz pogrążony w zadumie i szarpany troską swojego położenia, nie zwrócił na to uwagi.

* * *

W tychże drzwiach nazajutrz zrana ukazało się poczciwe oblicze regenta Wideyki, który wyrywając gospodarza domu z ciężkiej zadumy, ozwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!.. Bóg z tobą Stolnikowiczu, siedzisz jak mnich na rekollekcyi, a tu tymczasem Ip. Nencha jako już jawny małżonek waszej matki, występuje ze sprawą kryminalną o sfałszowanie testamentu, który oblatowaliśmy.

— Wdzięczen wam jestem za chęć łaskawą, ale cóż chcecie abym począł przeciwko matce, czysty jestem w sumieniu mojem i to mi za wszystko starczy.

— Piękny to zaiste jest synowski sentyment, cześć waszmości przynosi, lecz z drugiej strony pamiętaj coś winien ojcu, którego nieposzlakowane imię nosisz i coś winien szlacheckiemu klejnotowi... bronić się więc trzeba, bo jako zapowiadałem, sprawa to gardłowa i fatalnie skończyć się może.

— Cóż mam na moją obronę, oprócz czystego sumienia? — prawił ze smutkiem młodzieniec—kiedy mię własna matka potępia i manifest przeciw mnie chce zanieść

po grodu... Gdyby żył O. Krzysztof, być może iż wiedział co zawierała szkatuła w jego depozycie będąca, bo ojciec nieboszczyk, o ile mi wiadomo, zwierzał mu się ze wszystkiego, lecz dziś jak powiadam, oprócz czystego sumienia nic nie mam na moją obronę i Bogu ją pozostawiam.

Łzą zaszło poczciwe stare oko Wideyki, spojrzał z kompassyą na młodzieńca i prawił:

— O czystości twojego sumienia równie jestem przekonany, jak o Nenchy szalbierstwie, wszelako prawo tem się nie zadowolni, a powtarzam że żartów tu nie ma.

Po pewnym namyśle dodał:

— Ażali nie było jakiego mimowolnego świadka, w czasie, jak mi waszmość opowiadałeś, kiedy nieboszczyk ojciec umierając wręczał ci ten pierścień... może kto inny jeszcze słyszał jego mowę?...

— Chyba trupy na pobojowisku, a krucy i psy szarpiące ich ciała—odpowiedział obojętnie młodzieniec.

— Źle jest — powtarzał sobie regent przemierzając w zamyśleniu, szerokim krokiem izbę.—Ale jeszcze najlepsza rada, oto zeszlemy się na świadectwo pieczętarzy *). Z sześciu wyrażonych na testamencie, jak mi wiadomo, dwóch jeszcze żyje, na nich się powołajcie, jużci podpisów i pieczęci nie zaprą, ludzie są stateczni, ich tedy pozwiemy do świadczenia, a wtedy obaczemy jak Imćpan Nencha zaśpiewa.

Zacierał ręce z radości poczciwy Wideyko, szczęśliwy z tej inwencyi i nie wątpił o wygranej i oczyszczeniu niewinnego, a może niemniej że Nenchę zgnębi.

---

[2]) *Pieczętarzami* w statucie litewskim nazywali się świadkowie na wszelkich aktach i zapisach, z tej racyi że każdy z nich prócz podpisu winien był pieczęć swą przyłożyć, która sama jedna wystarczała dla nieumiejących pisać, byle ją ręką własną przy urzędniku sądowym przyłożył.

Lubo do tej dziwnej sprawy posiadamy pod ręką materyały, nużyć wszakże jej rozwlekaniem czytelnika nie będziemy. Owóż jak się ona zakończyła pomimo gorliwych starań poczciwego Wideyki: Wezwani na uznanie swoich pieczęci i podpisów pieczętarze, dwaj stara osiadła szlachta, która już podobnej czynności na testamencie wcześniej przez Nenchę oblatowanym dopełniwszy i autentyczność podpisów i pieczęci przyznała, rozpatrzywszy się teraz w powtórnych, wyrzekła po wspólnej naradzie:—że lubo podpisy i pieczęcie na tym akcie są do ich podpisów wielce podobne, ale widocznie fałszowane, tem bardziej że na tamtym testamencie jednej daty stając z innymi czterma jeszcze naówczas żyjącemi pieczętarzami, razem z nimi autentyczność przyznali, ergo te ich nie są, co przysięgą stwierdzili.

Nie trzeba było więcej dowodów dla sądu ażeby pomimo gorliwych starań Wideyki, który od zmysłów prawie odchodził, wydać wyrok, na mocy którego, z *rozdziału 1 go artykułu 16*, stolnikowicz jako fałszerz miał być ścięty, a dekret in triduo jak prawo chciało wykonany.

ROZDZIAŁ XI.

Nad rzeką Rosieńką, w starej, wilgotnej baszcie, która jeszcze świetne czasy Mendoga zapamiętała, siedział in fundo Stolnikowicz, oczekując spełnienia fatalnego wyroku, od którego już go jedna tylko noc przedzielała. OO. Telesfor i Cyryl byli jedynymi nieodstępnymi kompanami jego ostatnich momentów. Nie powiem aby go cieszyć i umacniać potrzebowali, bowiem w tej fatalnej dobie zgadzał się z losem swoim złowrogim, a towarzysząca mu siła zahartowanej duszy nie opuszczała go.

Noc tę poprzedzającą dzień jego ostatni, spędził na pobożnem rozmyślaniu z duchownymi swoimi przyjaciołmi, a ranek zastał go mocnym i zrezygnowanym na spełnienie tej gorzkiej czary przeznaczenia i woli bożej... Bo i czegóż miał żałować?... Świata, który go tylu zawodami i frasunkami powitał? Odrzucony od społeczeństwa do którego wszedł zaledwie, odtrącony przez matkę za to, iż z synowską miłością święcie spełniał wolę ojca, napiętnowany hańbą na progu drogi życia, na którym zaledwie stanął, czując się szczęśliwym ufając w przyszłosć wieczną, która być dlań miała pociechą i ochłodą piersi smutkami i zawodami spalonej,

Skrzypnęły ciężkie drzwi kowane, a w nich stróż się więzienny ukazał.

Stolnikowicz ukląkł przed Dominikanami.

— Błogosławcie mili ojcowie na drogę wieczności— rzekł.

Księża ze łzami w oczach wznieśli ręce nad pochyloną głową młodzieńca, krzyżem go pańskim żegnali.

Po chwili, jakby gwałtownie zrywając ostatnią nić wiążącą go z życiem, powstał Stolnikowicz, a zwracając pogodne oblicze do sługi więziennego, powiedział:

— Idźmy.

— Jeszcze nieteraz—odparł sługa.

— Przecież to na dziś naznaczono.

— Nic nagłego jegomości, umierać zawsze zawcześnie, jeszcze poczekacie, bo mistrz nagle zasłabł—prawił smutno sługa.—Boże daj żeby się to odmieniło!

— Nie dziś!... — szepnął do siebie Stolnikowicz ze smutkiem, jak człowiek doznający zawodu.

Dnie mijały na wieży, gdzie OO. Dominikanie stali się częstymi już gośćmi.

Każdego rana stróża przynoszącego wodę i strawę pytał więzień niecierpliwie, wybierając się do wyjścia:

— Czy już?

— A czego wam tak spieszno jegomość? Czyliż to nie żal młodego życia? Wszystek lud was żałuje, a dają do kościoła na wota do Przemienienia Pańskiego, żeby Bóg ten wasz los odmienił... Snadź i Imćpanom sędziom nie pilno, bo na miejsce mistrza, który bardzo ciężko zaniemógł, nie sprowadzają innego, jak to jest we zwyczaju, z sąsiedniej majdeburyi.

Mijał tak dzień po dniu, więzień niecierpliwił się, stróż poczciwy pocieszał, OO. Dominikanie odwiedzali.

* * *

Zdawało się więźniowi po nocach iż słyszał jakiś szelest podziemny, nie zwracał na to uwagi lub myślał że to sobie szumi Rosieńka nad którą wieża była położona.

Gdy w tydzień jakoś od wyznaczonego dnia na egzekucyę, o północy gwałtownie posypały się kamienie z podłogi jego ciemnicy, a przez otwór ukazała się poczciwa głowa Myszejkisa, którą dogasający kaganek więzienny ostatnim połyskiem oświecał.

Nim zdziwiony więzień zdołał zebrać myśli...

— *Te gulbas pogarbintas Jezus Christus.* Ano paniczu, dalej w podróż.

Rzekł przybywający niezwykłą drogą, podając szablę swojemu panu.

Na widok tej poczciwej twarzy mimowoli więzień rozjaśnił zwykle zasępione oblicze i spytał zdziwiony:

— Bóg z tobą mój chłopcze, co tu robisz i którędy się dostałeś?

— Ze wszystkiego jegomości się sprawię na wolnem powietrzu, a teraz raczcie oto przypasać swoją szablę i iść za mną.

— Dokąd... jakiem prawem?

— Wszystkiego się jegomość dowiecie poza tą przeklętą basztą, gdzie wam tak duszno było, ale teraz nie pora po temu, czas nagli.

— Cenię, mój dobry bracie, twoją poczciwość i poświęcenie dla mnie, bo może nie wiedziałeś o tem, że kto skazanemu na gardło więźniowi ucieczkę ułatwia, sam według prawa jego miejsce zajmuje i takąż karę ponosi.

— Ano, kiedy tak kogoś koniecznie zarżnąć im potrzeba, to ja tu zostanę na waszem miejscu, a wy idźcie przez dziurę którą wykopałem, przeszedłszy tu zaraz wbród rzekę znajdziecie mojego brata z końmi... a wszystkie wasze dobytki na nich umieszczone, bo niczego nie zapomniałem

i rusznice obie wziąłem z sobą. Oto są wasze pieniądze... Spieszcie paniczu, a ja tu za was... mnie wszystko jedno, bo i tak bez tego waszejbym śmierci nie przeżył.

Ozwał się prostodusznie Myszejkis, odpasując trzos z pieniędzmi i oddając więźniowi.

— Bracie mój zacny, mój jedyny! Bóg ci dał złote serce!... Ale czyli mniemasz, iż przyjąłbym ofiarę twojego życia? Tyś potrzebniejszy na świecie, masz matkę, kiedy moja mię odtrąciła.

Zawołał rozrzewniony Stolnikowicz, tuląc do piersi poczciwego sługę i brata.

— Pieniądze zaś te oddaj twojej matce, proś ażeby je przyjęła na pamięć swojego mlecznego syna, nie mam już komu bowiem spuścizny po sobie zostawić.

— Ale co też jegomość prawicie, moja matka Bogu chwała ma dość swojego i przy pracy wszyscy żyjemy.... A taki jegomość ze mną pojedziesz... Tylem się namordował i to miałoby przepaść marnie? Naprzód dałem dziesięć czerw. złotych z waszych pieniędzy mistrzowi żeby się na parę tygodni do łóżka położył jako chory, a że ten przeklęty Nencha nalegał na sąd żeby ceklarz was zabił, zapłaciłem mu dwa czerw. złote, byle sobie palce pokaleczył. Jeszcze ten Nencha chciał swoim kosztem sprowadzić kata z Nowogródka lub Wilna, ale poczciwiec Imćpan Wideyko temu się sprzeciwił, a to dla tego, że lud wszystek strasznie was żałuje, więc obawiano się aby go ten pośpiech nie zaburzył... A co ja się nakopał z dwoma braćmi przez cały tydzień żeby się tu dostać. Ale nie ma czasu do stracenia, wybierajcie się jegomość.

— Mój dobry bracie, chciej mię zrozumieć, ginę posłuszny woli ojca nieboszczyka, więc niech się do końca spełnią wyroki nieba, jakkolwiek surowe i niezasłużone.

— A coby nieboszczyk Stolnik powiedzieli, widząc że

jego syn, jedynak, ostatni z rodu, zginął z ręki kata jak jaki złoczyńca, kiedy mógłby się wyswobodzić?...

— Suponujmy tedy, iż przystaję na twoje poczciwą propozycyę... Powiedzże mi dokąd pójdę i poco?... Wyjęty zpod prawa, z pod obcowania ludzi, mamże zostać tułaczem, banitą i jak dziki zwierz przed obławą tak będę zmuszony kryć się przed sprawiedliwością? Czyliż nie lepsza nad takie życie śmierć poniesiona niewinnie, ale w uległości i poszanowaniu prawa. Sam rozważ, dokąd mię możesz zaprowadzić?

— A to ja wiem jegomość, bo woźny Maciej powiadał mi, że tam Imci sędziowie mówili pomiędzy sobą, że gdyby tu był wasz stryj Imćpan starosta, toby jegomości nie dał zabić tak kat wie za co.

— Więc cóż z tego kiedy stryja tu nie było, trzeba się zgodzić z losem.

— Nie jegomość, mój drogi paniczu, ja nie tak obmyślałem, oto pojedziemy do stryjaszka jegomości i niech on nam radzi...

— Czy to podobna?...

— Inaczej być nie może, a skoro jegomość stryj powiedzą, że trzeba wam głowę ściąć, to wrócimy tu razem, a ja poproszę mistrza żeby i mój łeb zabrał, bo co mi po życiu bez was...

— Ależ mój chłopcze, ogłoszą banicyę, poszlą listy gończe i pierwszy lepszy starosta ściąć mię każe, czyliż nie lepiej dobrowolnie z posłuszeństwem dla prawa, jak Bóg przykazał, poddać się swojemu losowi?

— Bóg jeden wie co będzie, czy to bojąc się wilka nie iść do lasu... przecież uciekliśmy przy łasce Bożej z jassyru—a jak nas teraz kto zapyta to powiemy że z jassyru; ja was tam po tatarsku w dawne suknie przebiorę, a sam po

chłopsku, nibyto wy uciekacie od niewiernych, a ja wam drogę pokazuję....

Lecz pomimo to, widząc że jego prostacze argumenta do przekonania więźnia nie trafiały, tak zakończył:

— Nie ma czasu do stracenia, bo z nocy trzeba skorzystać, więc niech jegomość przypomni sobie, jak to mię gwałtem wziął z pobojowiska pod Cecorą, żeby moje mizerne życie ratować, za co potem sam w ciężki jassyr popadł. Teraz tedy moja kolej i pomimo całego respektu jaki wam winienem, jeżeli jegomość dobrowolnie nie pójdzie z tej ciemnicy plugawej, to przyprowadzę tu mojego brata, nawet dwóch, i gwałtem jegomości pochwycę, albo takiego tu narobię hałasu żeby mi głowę zdjęli, bo ja na waszą śmierć patrzeć nie chcę i nie mogę.

. . . .

Myszejkis z więźniem przeszedłszy wbród rzekę, znaleźli dwa konie objuczone a oczekujące ich w pogotowiu. Skoro wsiedli na koń, Myszejkis rzekł:

— A teraz jegomość, iż się obawiam mojej gęby, która dużo miele, pamiętajcie że jak w świat wyruszymy, już ja nie umiem inaczej mówić, tylko po naszemu, po żmujdzku, na co sobie przysiągłem aż do waszego wybawienia; tak lepiej będzie dla ostrożności, bo jak przed niemową ludzie się czasem wygadają, ja zaś sam nic niepotrzebnego nie powiem.

I ruszyli w drogę, podczas której poznaliśmy ich w Chodorkowie u podkomorzego Piaseczyńskiego.

Takie były przygody Stolnikowicza aż do zaręczyn z Podkomorzanką i puszczenia się w dalszą drogę z Chodorkowa.

Nazajutrz, kiedy klucznik odwiedzający więzienie ujrzał dół wykopany, a więźnia nie zastał, czyniąc znak krzyża św., rzekł:

— Chwałaż ci Panie, bo prawdziwie żal było takiego dobrego i młodego w ręce katowskie oddawać... Może się tam oberwie kijem po grzbiecie od burgrabiego, ale mniejsza z tem tak lepiej.

A gdy wychodząc drzwi więzienia otworem zostawił, a lud zgromadzony zwykle przed basztą z troską o los więźnia, o ucieczce jego się dowiedział, wszystkie piersi jak jedna z ulgą westchnęły, wydając okrzyk radości.

A ztąd to poszło, iż sędziowie wertują mądre księgi praw, lud zaś w prostocie swej umie wyczytać winę i niewinność w głębi serca ludzkiego.

Należało sądowi, na mocy prawa, co rychlej wysłać listy i wywołanie ogłosić, lecz jakoś im pilno nie było pojmać zbiega. Mistrz zaś, jakby cudem uzdrowiony, nazajutrz egzekwował paru jakichś prostych złoczyńców.

ROZDZIAŁ XII.

Na głębokiej Ukrainie pod Kaniowem, przy zbiegu rzeczułek Dunajca i Kaniówki, w malowniczej miejscowości leżał piękny futorek, cały lasem i ogrodami otoczony. Zacisznie tam było i głucho, a snać tam gwaru nikt nie czynił, bo i ludzie niewiele zazierali, gdyż drogi do futoru pozarastały, i śladów tam ludzkiej nogi nie było.

Rozkoszna-ż to była miejscowość, już przez to samo, iż leśna w szerokim stepie, a zwała się nawet uroczo z rusińska *Czarnobrywa*, i miała swoją ubarwioną przez wyobraźnię legendę; bo to ten ludek ukraiński każdą piędź ziemi zwykł poetyzować—więc podanie niosło o jakiejś czarnobrewej, to jest dziewicy o czarnych brwiach, która miała posiadać moc czarodziejską, iż gdzie tylko stąpiła drobną nóżką, tam według jej woli wyrastało drzewo, zakwitał kwiat, tryskało źródło żywej wody i t. p. Ztąd i miejsce to, okrywając się wśród nagiego stepu gęstym lasem, który z pod drobnych stopek czarodziejki wystrzelił, zasłynęło jako czarodziejsko-cudowne: dziewczęta chodziły tam po kwiaty najpiękniejsze, rosnące w dzikich nieuprawianych ogrodach lub na grzyby—chłopcy w lecie kąpali się, a w zimie ślizgali po stawku, jak kryształ przejrzystym.

Ta tradycyjna adoracya trwała przez długie lata, a

przechodziła z pokolenia w pokolenie, aż do czasu, kiedy przed laty trzydziestu Czarnobrywę nabył dziad jakiś straszny z białą aż po pas brodą, a do tego bez ręki.

A dziad to był niepospolity: naprzód jak inni jego towarzysze nie żebrał, nie siadywał pod cerkwiami na prażnikach, nie śpiewał pobożnych pieśni i dum starych o hetmanach i siczy,—powtóre, stronił od ludzi, z nikim nie przestawał, nie rozmawiał, o nic nie prosił, zasiadł z babą ślepą na jedno oko (co także ukraińcy za symbol czarów poczytują) i z jakiemś pacholęciem, które chociaż tu już dojrzało, a nawet i starzeć zaczęło, jednak dotąd chrzczonym językiem nie mówiło, baby zaś głosu nikt dotąd nie słyszał, musiała zatem być niemowa.

Zdecydowano zatem, iż starzec jest *nesamowyty* (co w języku tamtejszego ludu oznacza „opętany od dyabła“); głównem jego zajęciem była pasieka, że zaś nie było przykładu, aby się jemu źle powiodło, nawet w latach, kiedy się wszędy pasieki nie udawały, ztąd powstało mniemanie, że on roje łapał na cmentarzu, a pszczoły jego żywiły się ziołami z umarłych, których żadna gospodarska pszczoła nie tknie. W skutek tego rozpowszechnionego mniemania wyrodziła się gadka ludowa, że dusza czarnobrewej pokutuje w ciele starca i baby, a ztąd i futor, dawniej ulubione miejsce schadzki i zabaw ludowych, stał się gruntem zaczarowanym, który każdy chrzczony omijał.

Dziada zaś, gdy parę razy do roku ukazał się po za obrębem swej cichej zagrody, każdy unikał obchodząc zdaleka, przy nieodzownem od czarów żegnaniu się i plwaniu na urok, a przezwano go *Did bezrukij*, i matki dzieci krnąbrne nim straszyły. Raz tylko na rok po zbiorze miodów, z trudnością przez chwastem porosłe drogi przybywali żydzi z miasteczka i powracali z wozami ładownemi.

To wprowadziło na domysł całą okolicę, że dziad ma

pieniądze, zakopuje je w ziemi, bo widzieli ludzie, jak się pieniądze one palą i kurzy się z ziemi (także jeden z tamtejszych przesądów ludowych) a więc to dało pohop mieszkańcom sąsiedniej wioski, aby dziada zrabować. Według wyobrażeń tego ludu, zabranie pieniędzy zaczarowanych nie jest grzechem i nie poczytuje się za kradzież, a nawet pieniądze takie pójdą ręką, byle tylko zachować tę przezorność, ażeby je przed użyciem omyć w rosie i okurzyć ładąnem cerkiewnym.

Wszystko tedy do napadu na *Dida Bezrukoho* było przewidziane i dokładnie obmyślane, wybrano czterech mołojców przedniejszych z wioski, którym taki stary dziad jednoręki oprzeć się w żaden sposób nie zdoła; przekupiony diaczek cerkiewny dostarczył wody święconej na omycie noży, w które się napastnicy na wszelki wypadek uzbroili, i ładanu na okurzenie spodziewanej zdobyczy.

Cała wieś oczekiwała świetnych skutków wyprawy na *Bezrukoho*, kiedy tymczasem mołojcy pokaleczeni ledwo się dowlekli z powrotem. Wszystkim za pomocą dwóch srogich brytanów stary dał rady, a nawet dwóm napastnikom obciął po uchu, czyli oszelmował na całe życie.

Tak tedy przekonała się gromada, że jedna ręka Dida za ośm lichych starczy, i odtąd już tylko pluli zdaleka i zcicha, a odczarowywali się jak umieli od uroku, ale nikt nie śmiał otrzeć się o Dida, bo przy nim była *neczysta syła* (nieczysta siła). Ale za to co się o nim nagadali, jakie niesłychane legendy, pełne dziwacznych urojeń obiegały o nim po okolicy, tego i na wołowej skórze nie spiszesz.

Zwykle się dzieje, iż kto szuka spokoju lub wytchnienia w samotności, po za obrębem powszedniego życia ogółu, zaraz go napiętnują co najmniej mianem dziwaka lub ukrywającego się zbrodniarza, a cóż dopiero lud ukraiński, który w dodatku ma na zawołanie czary, uroki i t. d.

Staremu źle z tem nie było, bowiem gawęd o sobie nie słyszał, a że mijali go zdaleka, tego właśnie pragnął.

* * *

To osamotnienie starego pasiecznika było powodem, że dwaj podróżni konni, zmierzający do niego, w całej okolicy nie mogli go dopytać; napróżno nazywali go z godności szlacheckiej, z urzędu „starosty“, lecz każdy zapytany ruszał tylko ramionami. Lecz skoro, aby dać się lepiej zrozumieć, poczęli dopytywać ze szczegółów o starca, który gdzieś niedaleko posiadał jakiś futorek, już od pierwszego słowa, każdy plwając i żegnając się odwracał od podróżnych, a gadka po okolicy się rozeszła, iż jakieś czarne djabły przybyli w odwiedziny do *Bezruczki*, na koniach, którym skry z nozdrzy parskają, a zaklinała się siła ludzi, iż te ognie na żywe oczy oglądała.

Byliby tak błądzili podróżni do sądnego dnia, bo już puszczali się na oślep na każdą mniej więcej ubitą drogę, której właśnie do futoru nie było, gdyby im los nie nadarzył jakiegoś śmielszego parobka, który zbliska chciał się przypatrzeć onym djabelskim koniom, ognie z nozdrzy ziejącym. Zajechał mu drogę starszy jeździec tak, iż chłopak umknąć nie zdołał, a rzucając mu bitego talara, rzekł:

— Dostaniesz jeszcze dwa takie pieniądze, jeżeli mi wskażesz futor starego szlachcica, który tu już oddawna osiadł.

Parobek przeżegnał się, plunął na pieniądz nim go podjął z ziemi, a widząc że (tak jak djabelski czyni) w ręku mu nie stopniał, odpowiedział wprawdzie niebardzo śmiało:

— Pewnie pytacie o *Bezrukoho*.

— Ano tak—rzekł jeździec, którym jak się domyślacie był Stolnikowicz, wiedzący że stryj jego był bez ręki.

— Widzicie gdzie są te dwa duże dęby przed lasem, jedzcie prosto tędy przez burzany, bo drogi tu nie ma, a tam zaraz Bezrukiego pasieka i chata.

Mówił jednym tchem parobek, a przeżegnawszy się co tchu uciekał, wyrzucając sobie grzech, że djabłu drogę wskazywał — wprzód jednak nie omieszkał z poprzednią ostrożnością chwycić dwa drugie talary, które mu jeździec rzucił.

Zaledwie się przebili przez gęste ukraińskie burzany, które koniom po brzuchy sięgały. Skoro przejechali dwa wskazane przez parobka dęby, oskoczyła ich para srogich brytanów, zajadłych, z rozwartemi paszczami, rzucała się na konie i samych jeźdźców, którym widoczne groziło niebezpieczeństwo, gdyby w tejże chwili głos gromki brytanów nie odwołał i nie uciszył; zaraz ukazał się starzec wzniosłej postawy, pięknego choć ponurego oblicza, czoło wysokie zmarszczkami poorane miał całkiem z włosów ogołocone, długa po pas broda śnieżnej białości, całą mu prawie szeroką pierś zakrywała. Odziany był w prostą gunię z pospolitego sukna, krojem nieco odmienną od chłopskiej, nogi miał bose. W jedynem ręku trzymał długi miecz obnażony, długą rusznicę miał zawieszoną przez plecy na szerokim rzemieniu. Podróżni zaledwie zsiedli z koni, kiedy on mierząc ich badawczym wzrokiem, spytał szorstko:

— Kto jesteście i czego chcecie? Zapewne nietutejsi, kiedy nie wiadomo wam, że tu nikt nie wchodzi.

Onieśmielony surowym tonem i badawczym wzrokiem Stolnikowicz nim się zebrał na odpowiedź, stary raz jeszcze nawskróś go oczami sokolemi przeszył i rzekł:

— Dziwne podobieństwo do brata mojego Ignacego.

— Jestem jego synem; czołem panu stryjowi—rzekł Stolnikowicz do nóg starca przypadając.

— Wstań waszeć. Witam, witam. Rad jestem z po-

znania, bośmy się dotąd nie widzieli, bo zaledwie waszmość na ten świat wstąpiłeś, jam go już sobie zbrzydził i opuściłem. A cóż to za powód żeście o mnie sobie przypomnieli, to już musi być nie bez kozery, bo ja w żadne sentymenta nie wierzę, a raczej przestałem wierzyć oddawna... ba! bywało się kiedyś głupcem łatwowiernym... A ojciec waści?...

— Już nie żyje.

— Znaczy że mię wyprzedził, lubo znacznie młodszy, czyli raczej ja się spóźniłem, ale co się przewlecze to nie uciecze, spodziewam rychło się z nim zobaczyć... Proszę, proszę rozgościć się, wejdzmy do chaty.

I poszedł przodem podróżnych za sobą prowadząc.

Dopiero piękność onego miejsca ukazała im się w całej pełni — ujrzeli lasy przerzynane zielonemi łączkami, upstrzone ogródkami różnobarwnych kwiatów, nęcącą woń wydającemi—znać było z bogactwa i swobody całej natury, że jej ręka ludzka ani żaden kunszt nie więził, a ten kto je stworzył był ich jedynym ogrodnikiem. Brzęczenie pszczół dokoła, któremu wtórował doskonale szmer strumienia bystrej i przejrzystej wody, w dziwną łączyło się sympatyę z całym uroczym widokiem.

Nim dalej zajdziemy, poznajmy krótkie curriculum vitae Bezrękiego. Znany na świecie pod tytułem starosty, był on starszym bratem Stolnika, za młodu w kraju i zagranicą oddawał się z gorliwością naukom, szczególniej jurysprudencyi, w której biegłością niepospolitą zasłynął. W dojrzałym wieku nabrał dwóch passyj, którym życie poświęcał— w czasie pokojowym zawód prawny, który traktował umiejętnie, z zamiłowaniem—parę razy bywał obierany na urzęda sądowe i nawet deputował na trybunałach a niejedną setnie zaplątaną sprawę rozwikłał bystrym poglądem i znajomością prawa niepospolitą. Lecz skoro wojenna trąbka zagrała, żadna moc utrzymać go nie mogła na

sędziowskiem krześle—zmieniał togę na pancerz, biret na przyłbicę i bił co się wlazło.

W ten sposób przesądził i przewojował część ojcowizny i jedną rękę... A że doznał od ludzi wiele strat i zawodów, umyślił się od nich usunąć i tu już od lat przeszło trzydziestu na swojem odludziu nie zatęsknił za światem.

Starosta poprzedzając swych gości prawił:

— A to sęk co my z końmi zrobimy, bo tu u mnie ani stajen ani obór. bowiem oprócz moich pszczółek, starej Hanny i parobka, nikt tu u mnie nie żyje, ani ludzie, ani zwierzęta; a prawda brytany jeszcze, ale to stróże mojego jedynego skarbu za którym jeszcze gonię—spokoju... Chyba puścimy konie na łąki, które Bóg tak hojnie zasiał, to się pożywią same.

W osobnej zagrodzie, na pięknej łączce, bardziej nad inne kwieciem polnem zasłanej, otoczonej drzewami, stała niewielka chatka, prosta wieśniacza, a dokoła niej setki ulów brzęczały.

Weszli za gospodarzem do chaty, prostej ukraińskiej, składała się ona prócz sieni, z jednej dużej świetlicy o małych dwóch oknach, dokoła ścian czysto ubielonych, stały ławy dębowe, naprzeciw drzwi stół długi białym obrusem przykryty, a na nim bochen chleba obok noża i soli na misie; nad stołem wisiały wysoko aż pod pułapem dwa obrazy razem połączone Pana Jezusa i Matki Boskiej, za obrazami zatknięta palma z kwietniej niedzieli i żółta gromnica zeschłem zielem owinięta. Z lewej strony od drzwi był duży piec z kapą, pomiędzy nim zaś a ścianą, stał tapczan z kulem słomy, kilimem przykryty. W całym porządku i sprzęcie izby nic się nie wyróżniało od chłopskiej prostoty, gdyby nie broń rozmaita zawieszona nad tapczanem a w porządku i ochędóstwie trzymana, od której wiało szlachcicem.

Skoro się rozgościli w izbie, weszła jednooka starusz-

ka i zastawiła na stole misę kaszy, jabłka, miód orzechy i dzban wody zdrojowej.

— Jeżeliś waść na melszpajzach chowany, to wybaczaj, bo czem chata bogata tem rada—ozwał się stary, zapraszając do tej skromnej uczty.

* * *

A skoro się posilili starosta rzekł:

— Teraz mości synowcze, bez ogródek i retoryki, powiedz prosto z mostu, pocoś przyjechał i czego chcesz odemnie?

Powolny rozkazowi Stolnikowicz opowiedział wszystko nam dotąd wiadome, wojski nie przerywając mu kiwał od czasu do czasu głową, tarł czoło, słowem dawał wszelkie powierzchowne oznaki pilnego słuchacza, a gdy opowiadający skończył, namyśliwszy się czas niejaki, rzekł:

— Dotąd widzę, że są dwa testamenta Stolnika, tak dobrze mógłbyś i ty sfałszować jako i Nencha...

W tem miejscu widząc że Stolnikowicz uczynił gest oburzenia, rzekł wojski:

— Niczego się nie trzeba zarzekać, bom nietakie ja rzeczy widział na świecie, a natrafiałem na zbrodniarzy w złotogłowie... Lecz tylko ciebie nie posądzam, nie z powodu iżeś mi jest krewnym, ale dla tego, iż byłoby wierutnem głupstwem z twej strony dopuszczać się fałszu bez żadnego zysku, bowiem na tem nic nie zarabiasz, siostrom według prawa czwarta część fortuny ojcowskiej jako wiano i bez tego należy, reszta twoja; a dla zyskania oprawy i przywianka, jeżeliby powtórnie za mąż poszła, jak to uczyniła, co zresztą prawo przewidziało, niewarto za fałszerstwo gardła dawać. Ergo waszeć nie byłbyś głupi fałszować taki testament; a nawet się dziwię nieboszczykowi bratu, że

podobny testament ułożył, mając cię tylko jednego syna; chyba to czynił w tej prewizyi, co być bardzo może, ażeby innego testamentu nie sfałszowano... Nencha łotr wierutny, miałem go w ręku w trybunale wileńskim, tylkom co nie powiesił, ale się wywinął... A gród rosieński albo się sprzedał, lub z kretesem ogłupiał hm! hm!...

Wszystko powyższe mówił wojski na połowę głośno, w połowie mrucząc jakby dla siebie, przemierzając szerokim krokiem izbę—nagle stanął przed młodzieńcem i rzekł z determinacyą:

— Wyjeżdżam do Rosiejń... dziś jeszcze, bo do wieczora daleko, to kęs ujadę... tylkoż pożycz mi waść swojego konia, bo ja nie mam.

— Stryju! najdłuższem życiem nie zawdzięczę tyle łaski... — zawołał Stolnikowicz rzucając się do nóg wojskiego.

— Daj wasze pokój—odparł obojętnie starzec—łaski nikomu nie daję i od nikogo nie żądam, a jadę tak sobie do Rosiejń, aby zbadać ów testament dokumentnie i spenetrować rzecz całą, gdyż to jest w istocie casus rzadki, jaki za mojej sądowej praktyki nigdy mi się nie przytrafił... a więc nie łaska to ale ciekawość, która mnie i na tem pustkowiu dognała, a kto wie, może mi się uda Nenchę obwiesić, który mi się raz wywinął... Okulbacz mi waść konia, zaraz się puszczam w drogę.

Stary odszedł i zaledwie konia osiodłano powrócił zmieniony do niepoznania: miał na sobie ferezyę granatową, od której jeszcze bielej odbijała śnieżna, gęsta broda, ony miecz duży u pasa, przez plecy lekka flinta, a na głowie kołpak wysoki rysi—aż straszno było spojrzeć na Dida, tak zamaszysto wyglądał. Na widok jego brytany zaczęły uja-

dać jak na nieznajomego, i pszczółki nawet odmiennem brzęczeniem podziw swój wyjawiły.

Jedyną ręką uchwyciwszy konia za grzywę, już był na siodle z młodzieńczą rzeźkością; na pożegnanie rzekł do Stolnikowicza, kładąc nacisk na wyrzeczeniu

— Poczekasz waść tu na mnie, ja się prędko sprawię, a za powrotem dam relacyę, który testament fałszywy i kto winien będzie, tego sam oddam w ręce sprawiedliwości. Jesteś waść tu bezpiecznym, bo nikogo nie dopuszczą moje brysie żywcem; sam zaś do mojego powrotu nie wyjedziesz, bo banicya wisi ci nad głową, a taki ptaszek jak Nencha, czuwa niezawodnie.

I ruszył z kopyta, jakby mu pół wieku z bark opadło; a wiatr igrający z długą siwą brodą czynił złudzenie, że jeździec pędzi z białą chorągwią.

Rozumie się, że już dnia tego na sąsiednich futorach zrodziła się gadka, że Bezruczka zamieniony przez dwóch młodszych djabłów, jako wezwany do piekła popędził na czarnym koniu. który dym i smołę z siarką nozdrzami wyrzucał. *Did* miał u boku miecz ognisty, na głowie czapkę z wężów żywych; pędził czas jakiś po ziemi, aż nadeszła chmura i zabrała go z sobą, pozostawiając silny odór siarki, który długo czuć się dawał na sąsiednich futorach.

ROZDZIAŁ XII.

Ucieczka skazanego więźnia niepoślednie wrażenie w Rosiejniach wywarła—a to tembardziej, że w dawnych czasach głębokiej wiary w prawo i poszanowania dla niego powszechnie mniemano, że występek odpokutowany w doczesnem życiu, ujmował ciężaru ze strasznej kary wiecznej; ztąd rzadkie bywały przykłady aby się wyłamywano z pod najsroższych jego ciosów, ztąd to i dawna maksyma: *dura lex sed lex.*

Niedziw więc że przy takiem pojmowaniu rzeczy, dawne sądy polskie bywały bardziej literą prawa i poszanowaniem dlań strzeżone, niźli siłą zbrojną i mocnemi więzieniami, milicye przy trybunałach, bywały słabe, a przy grodach prawie żadne, zaledwie z kilkunastu i to licho uzbrojonych pachołków złożone; każdego bowiem najbardziej strzegło sumienie i poczucie obywatelskiego obowiązku a że zdarzały się wyjątki, to jeszcze nie daje prawa potępiaczom naszej przeszłości rzucić na nią poza siebie kamieniem.

Nie powiemy, ażeby ucieczka Stolnikowicza obudziła zgrozę lub niemiłą sensacyę ogółu—owszem rad jej był lud powszechnie, gdyż w więzieniu przeczuwał niewinną, prześladowaną surowością prawa ofiarę; nawet w świątyniach zanosili ludzie potajemnie modły, ażeby on sympatyczny więzień powtórnie się w ręce sprawiedliwości nie dostał.

Jeden tylko Nencha nie podzielał usposobień ogółu; a skoro go doszła wieść o ucieczce z więzienia, natychmiast zjechał do grodu, na mocy prokuracyi stolnikowej zaniósł w jej imieniu wyrok od syna, a domagał się u sądu ogłoszenia banicyi i rozesłania listów gończych—czego sąd, lubo niechętnie, odmówić mu nie śmiał. Nadto własnym sumptem Nencha najął ludzi i w rozmaite strony w pogoń rozpuścił. nie wiedział tylko mądry komornik, iż do czynienia miał z przebiegłym prostaczkiem Myszejkisem, który ucieczkę najprzód poprowadził przez trakt wielki wileński, gdzie trudno było spodziewać się pogoni, a dopiero potem znanemi sobie manowcami na uboczne drogi skierował. Nadto snać niebo protegujące niewinność, wszelkie ślady bliższe ulewnym deszczem zalało.

Po daremnych poszukiwaniach, zapamiętale ścigający zbiega Nencha zadowolnił się banicyą i listami gończemi, pocieszając się tem, iż pierwszy lepszy gród lub juryzdykcya starościńska, jak prawo mieć chciało, złapie wywołańca i głowę mu zdejmie. Tymczasem dopilnował najważniejszej roboty, zapisu na rzecz swoję, który mu jego małżonka deferowała.

Tym końcem zjechał do Nowogródka. Chodziło mu już tylko o to, aby żonę wywlec z klasztoru i przed aktami stawić, ex-Stolnikowa bowiem od czasu smutnego widzenia z synem, już za próg celi klasztornej wystąpić nie chciała— trapiły tam ją jakieś ciężkie frasunki, a kto wie może i zgryzoty sumienia. Wszakże jak zaczął koło tego chodzić zręczny komornik, a nakoniec grozić, że ją prawem zmusi do wspólnego pożycia, które już dla onej nieszczęsnej niewiasty prawdopodobnie wstrętnem się przedstawiało—dokazał tyle, że małżonkę jeszcze raz na świat z poza klasztornej kraty wywlókł, która już na wszelkie zapisy zgadzając się, rzekła:

— Czynię dla waszeci raz jeszcze w życiu ostatni wszystko czego żądasz, poświęciłam ci najświętsze uczucia i obowiązki, pozostał mi majątek, ten zabierz pod kondycyą, iż już cię więcej nie ujrzę.

Poprzysiągł najsolenniej Nencha zadośćuczynienie jej woli, przez którą zyskiwał wszystko o co mu tylko chodziło, bo pozbycie się starej i frasunkami znękanej małżonki, a zapis formalny krociowego mienia. Zapis tedy oblatowano, a drzwi klasztorne za tym żyjącym kościotrupem zamknęły się na zawsze i Nencha opływając w dary fortuny, uspakajał się tą myślą:

— Ktoś tam banitę zabije, stolnikówne wkrótce wykonają śluby zakonne i nikt mi nia wydrze mienia... *Beatus qui tenet!*

Jak zazwyczaj się dzieje na tym padole płaczu, że świeże wypadki spędzają stare z widowni świata, a nowe wrażenia dawnemi się zacierają, tak sprawa, a w skutek jej ucieczka Stolnikowicza, głośna niemal na cały kraj przed trzema miesiącami, poszła w zapomnienie—niejeden przypuszczał iż banit pojmany gdzieś swoją winę odpokutował i wyrok srogi poniósł lub w najlepszym razie zbiegł na Wołoszczyznę, albo jeszcze gorzej, do niewiernych i tam się poturczył.

Nencha rozkoszował sobie na znacznej stolnika fortunie, jednając adherentów. Ex-Stolnikowej z córkami nikt nie widział jako zamkniętych za kratą klasztorną... i wszystko już szło w zapomnienie według ludzkiego obyczaju: „co z oczu to z myśli“.

* * *

Tak rzeczy stały, kiedy starosta zjawił się w Rosiejniach. Lubo od lat przeszło trzydziestu niewidziany, przeto wszakże niezapomniany jako słynny *de jure et hajda*, jak

dawniej mawiano. Niespodziane jego przybycie zwróciło powszechną uwagę, bacząc na zaszłe wypadki, samo przez się że Nencha, lubo napozór spokojny i jako tako prawem obwarowany, wszakże najbardziej się przeraził. Juryści zaś wytężyli domyślność ażeby odgadnąć przyczynę zjawienia się starosty, które nie mogło być bez kozery, niepodobna bowiem było przypuszczać, ażeby on mąż stateczny i poważny, opuścił trzydziestoletnie odosobnienie od świata dla prostej zachcianki i fantazyi.

Pierwszy regent Wideyko bił czołem staroście, dowiedziawszy się o jego przybyciu, które w każdym grodzie epokę stanowiło. A regent był nadto przyjacielem całej rodziny i swoją prawną karyerę jemu zawdzięczał. Po powitaniach z obu stron szczerych i przyjaznych, bo i starosta lubił poczciwego regenta, rzekł ten:

— Jakiemuż to szczęśliwemu trafowi mamy zawdzięczać honor oglądania czcigodnej persony Imć pana starosty?

Starosta, jak dawniej zwano stary wyjadacz, nadto był ostrożny, ażeby się z widzeniem synowca wymówić, wiedząc o tem, iż z prawa był winien oddać go najbliższej jurysdykcyi jako banitę, dla egzekwowania nad nim wyroku, lub w ostatnim razie zabić go bezkarnie, na co prawo każdego obywatela upoważniało. A chociaż Wideyki zdrady nie mógł się obawiać, jednak odpowiedział obojętnie:

— Prułem to ja przez lat trzydzieści skibę tę ukrainną, a przy łasce bożej a pracą coś się tam uciułało grosza i chciałby człek na starość swojemi się pocieszyć, już mi to puszczykowanie samotne dokuczyło.. A cóż tam Imć pan brat stolnik?...

— Wszystko w ręku Boga!—jąkał skonfudowany regent.—Źle się waszmość pan wybrałeś, gdyż nieboszczyk

stolnik poległ śmiercią walecznych w fatalnej cecorskiej potrzebie.

— Daj mu Panie niebo! A młodszym był odemnie... Chyba tem jednem słodzę sobie poniekąd tę wieść smutną, iż *dulce est pro patria mori*... Ano pozostanie mi przynajmniej pociecha w bratanku, musi być walny chłop, słyszałem iż mężnie się sprawował na wojnie, zapewne objął fortunę po ojcu... jakże, dobrze się rządzi?...

Zimny pot występował na biednego regenta, a w istocie gdyby mógł w tej chwili ferować na się dekret na gardło, byłby najszczęśliwszym z ludzi. Długą chwilę stał niemy i grube krople potu z czoła obcierał.

— Śmiertelny człek winien być na wszystko przygotowany, mów wasze śmiało—przerwał milczenie starosta.

Potniał i jęczał stary regent, aż rozumie się owijając o ile tylko można było w kazusy prawne i akcessorya, rzecz całą politycznie wypowiedział, której skoro pilnie wysłuchał starosta, rzekł:

— To mi smutniejsza nowina, bo że brat zginął jak na rycerza przystało, nażywszy się dowoli, to szlachecki koniec. Ale synowiec ostatni z rodu śmiercią haniebną, to już źle!

— Wszakże, jak miałem zaszczyt przedstawić waszmość panu, wyrok dotąd niewykonany, bo on salwował się ucieczką... Starał się pocieszać Wideyko.

— To mospanie jeszcze gorzej, albowiem jest banitem.

— Możnaby zanieść suplikę do tronu o sublewacyę banicyi, chociażby na mocy domowych zasług Imć pana starosty i jego ojca nieboszczyka stolnika... rozpoczął w poprzednim tonie regent.

— Jak na starego prawnika, zanadto jesteś innocens mój Wideyko, bo gdyby to była rebelia lub nawet laesio

majestatis, to nie mówię, ale któż kiedy za pospolitą zbrodnię, fałszerstwo, kradzież etc. sublewacyę uzyskał? A może go już gdzie pojmali i ścięli... Cóż począć, pereat mundus fiat justitia!... A cóż tedy z mieniem brata?

— Na mocy onego testamentu, który Nencha przedstawił...

— A który uznaliście za autentyczny—wtrącił starosta.

— Posiadła Imć pani stolnikowa, a następnie zapisała drugiemu swojemu małżonkowi Nensze, i ten je objął, sama zaś z córkami osiadła u pp. Dominikanek w Nowogródku.

— Z relacyi waszmości—prawił dalej starosta—konkluduję, że on mój synowiec wielki jest (a raczej był, bo zawsze kiedy banit to już civiliter mortuus) zbrodzień, gdyż jeszcze będąc z ojcem w domu ów testament sfałszował: z tego bowiem coś mi waść o nim opowiedział, wnoszę, że inaczej czasuby mu na to nie stało, gdyż zaledwie, i to racz obserwować, ranny w rękę prawą po potrzebie cecorskiej, w parę miesięcy dotarł do Gródka, pielęgnując chorego i ranionego sługę, w nowy jassyr się dostał, trudno suponować aby tam mógł rzecz taką długą kopiować tak pracowicie, kiedy właśnie oryginał tu się znajdował, i zresztą któżby mu tam pieczęcie zfałszował. Ergo ztąd można przyjść do wniosku, że dla dopięcia tego celu, bijąc się przy ojcu, śmierć jego przyspieszył...

— A na miłość Boga Imć panie starosto, co za okropne supozycye!—zawołał regent zrywając się z miejsca.

— Jako prawnik, winieneś waść wiedzieć, że w prawie nie ma supozycyi, a są tylko konkluzye, na mocy dokonanych faktów; sam to rozum dyktuje, że fałszerz dla dopięcia celu zbrodni mógł równie łatwo stać się ojcobójcą. Dziwię się więc, że sąd o to nie instygował i jako ojcobójcę nie

skazał go (na mocy rozdz. 11 artyk. 7) „aby przed straceniem po rynku wożąc kleszczami ciało targać, a potem w miech skórzany zaszyć pospołu z psem, kurem, wężem i kotką i najgłębiej do wody utopić,“ tak bowiem prawo chce mieć, zatem sąd na tego zbrodniarza wydał wyrok łaskawy, bo samego ścięcia zamało. No, patrzcież i ten poczciwiec Nencha, nagrodzony przez stolnika za tyloletnie dobrodziejstwa, mógłby być karany jako fałszerz i poślubić jego żonę nawet bez wdowiej oprawy, gdyby wypadkiem falsyfikat mojego synowca utrzymał się... A to łotr wierutny, gdybym go gdzie napotkał, własnąbym ręką zabił, wprzód nim grodowi dostarczył.

— O czemuż was nie było panie starosto, abyście nam oczy otworzyli!...—zawołał regent wielce zafrasowany,

— Co waść gadasz, przecie Temida nie jest Fortuną, aby miała przepaskę na oczach. Skoro osądzono, to dobrze osądzono. Ale w każdym razie żądam tego od twojej przyjaźni, abyś na czas niejaki zamknął te oba testamenty choć na dziesięć zamków i pilnował jak oka w głowie, kto tam wie na co się nam przydać mogą.

— Zaręczam na parol szlachecki i na respekt dla waszmość pana, iż strzedz tego będę jak własnego sumienia— rzekł Wideyko z pokłonem, poczem dodał wesoło:

— Ufam w Bogu i polegam na mądrości pańskiej, że nam ciężar onego dekretu zdejmiesz waszmość z sumienia.

— Gdzie zaś, dodam temu łotrowi synowczykowi psa, węża i kotkę, a Nenchę na pierwszym sejmiku podam na kandydata do laski trybunalskiej — odparł z ironią starosta, bo podczas i żarty go się trzymały, a jowialnym bywał.

— A powiedzże mi waszeć, co się dzieje z mojemi synowicami, które już po ostatniem widzeniu z bratem na świat przyszły?—pytał dalej starosta.

— Znajdują się przy matce w klasztorze pp. Dominikanek Nowogrodzkich, i jak słyszałem, wkrótce mają wykonać śluby zakonne.

— A niewiadomo waszeci, jakiego są wieku?

— Lat 22 i 21.

— A więc na jutro wygotujesz mi pozew do Imć pani Nenchowej o oddanie mi opieki nad niemi, która z mocy rozdz. VI art. 3 mnie przynależy po śmierci brata i synowca, który jako na gardło skazany a banit jest także nieboszczykiem. A następnie pozwiesz przeoryszę pp. Dominikanek o wydanie moich synowic, o których przyjęcie w tymczasową opiekę będę upraszał czcigodną twoję małżonkę, submitując się jej osobiście.

Dekret opieki nad synowicami, której sąd odmówić z prawa, jako starszemu krewnemu, nie mógł staroście, we dwa dni był uzyskany, a na mocy tego niezwłocznie czynił kroki o powtórną rewizyę autentyczności testamentu brata, i tym końcem zapozwał żyjących jeszcze pieczętarzy, aby stawili się razem z samemi pieczęciami, na testamencie przyłożonemi.

Zadziwili się juryści nie odgadując, co mógł w tem mieć wojski? A właśnie był to początek sławnej sprawy, którą ten niepospolity jurysta ostatnią w życiu przeprowadził z tryumfem.

Stawili się pieczętarzowie. Starosta zażądawszy od nich przysięgi, iż te a nie inne pieczęcie na testamencie przyłożyli, wycisnął obie na laku i wskazał sędziom małe, niedostrzeżone dotąd zmiany w pieczęciach obecnych i na testamencie przez Nenchę oblatowanym wyciśnionych. Następnie żądał, aby pieczętarze na osobnej karcie złożyli swoje podpisy, w tychże słowach, jakie na akcie się znajdowały, co gdy uczynili, dowiódł, że tak pieczęcie jako i podpisy były sfałszowane, wprawdzie z wielką biegłością. Zdumieli

się sędziowie nad tak prostym pomysłem, na który dla własnej konfuzyi sami w swoim czasie nie wpadli.

Przychodziła z kolei rewizya onego testamentu przedstawionego przez stolnikowicza, a przez tenże proceder przekonano się, iż podpisy i pieczęcie były rzetelne.

Rozumie się, iż on Nenchi testament był obalony, pozostawało odkryć fałszerza. Starosta, nie namyślając się długo, na własne ryzyko, *sub poena talionis*, i jak prawo mieć chciało, przedstawiając za siebie rękojemstwo (*), zarzucił fałszerstwo Nenchowi, a którego gdy wzięto na konfesatę, zeznał: jako swojego czasu, podpatrzywszy w papierach nieboszczyka stolnika ten testament, skorzystał z przydłuższej jego choroby dla zdjęcia zeń kopii, a raczej dla sfałszowania. Wskazał zarazem Abrama Hirszla, rzeźbiarza w w Szawlach, który mu stosowne pieczęcie fabrykował. Zeznał przytem, iż innych wspólników zbrodni nie miał, a dowiódł tego, do niepoznania pismo sprawiedliwego testamentu naśladując.

Starosta, iż był nieubłaganym szydercą nad grubemi błędami sądów, urągał się nad sędziami nielitościwie, mówiąc jakoby odebrał wiadomość, iż synowiec jego pojmany jako banit, w grodzie Żytomierskim gardło dał. Wideyko, chociaż jako regent wyroku nie ferował, ale będąc obrońcą skazanego, omal zmysłów nie utracił, aż się musiał ulitować starosta i rzekł mu.

— Dla uwieńczenia waszej onej wielkiej sprawiedliwości należy, abyście mnie na śmierć skazali...

— Że też pana Starosty żarty z nas biednych ludzi trzymają się, i tak dość mamy za swoje. A cóż to waszmość-pan przewiniłeś?

(*) „Rękojemstwo“ w ówczesnem prawie znaczyło to samo, co dziś: „poręka“, „kaucya.“

— Ano przechowałem waszego banita na moim ukraińskim futorku.

— Czy to być może? zawołał uradowany Wideyko.

— Miał rozum chłopiec, że do mnie umknął, bo inaczej na mojem pustkowiu nie doszłaby mnie wieść o sprawiedliwości waszych sądów.

— Ale żeby to jak można uprzedzić, bo broń Boże tego...—rozpoczął regent, a nie śmiał dokończyć ze strachu.

— Nie bój się waszeć, bo i *tego* nie będzie, zostawiłem mu tam takich stróżów, którzy nikogo żywego nie wpuszczą, to moje brytany. A zresztą jakbyś waść od *tego* jak nazywasz ochronił bez glejtu królewskiego?

— I to prawda.

— Otóż widzisz, co to są te sądy ludzkie, lada prostaczek kamień do wody ciśnie, a dziesięciu mędrców go nie wyciągnie.

— Otóż wpadam na myśl, iż wartoby co rychlej czynić o glejt królewski — ozwał się zakłopotany regent.

— Toż to jest po wazemu, że głowę człowiekowi zdjąć to jakby makówkę dojrzałą zbić kijem z łodygi, a skoro idzie o zachowanie życia i przywrócenie czci, to wam cale nie pilno—rzekł starosta z przekąsem.

W skutek tego nalegania starosty, natychmiast sąd ziemski obligował swojego sędziego, którym był naówczas cześnik wołkowyski Imć pan Kacper Jagnim, aby osobiście w tak ważnej sprawie do króla Imci się udał.

* * *

Tymczasem Imć pani Wideykowa, obligowana przez starostę, udała się do Nowogródka, ażeby z mocy dekretu sądowego obie stolnikówny, Katarzynę i Agnieszkę, z woli

opiekuna, pod swoje skrzydła zabrać. Nie trzeba było i przymusu przez pozew, ażeby zakonnice je wydały, bo sama matka złamana a srodze zafrasowana nowym obrotem rzeczy, widząc, iż przez zbytnią ufność do niegodziwego człeka, który był jej małżonkiem, omal nie stała się zabójczynią życia i czci swojego syna, wpadła w ciężką chorobę, przywdziała włosienicę, a najostrzejsze sobie zadając pokuty, już tylko zabiegała przed Bogiem o zmazanie ciężkich przewinień swoich.

Skoro ujrzała Wideykowę, a dowiedziała się o celu jej przybycia, z pokorą do niej rzekła:

— O dobrodziejko moja! Niech cię Bóg błogosławi, zabierz dzieci, oddal je co rychlej odemnie, aby przez dotknięcie i oddech mój nie zaraziły się moją zbrodnią. Ucałujcie nogi starosty, który mojego syna z rąk moich niegodnych i występnych, a prowadzących go na śmierć haniebną, wydarł. Zabierzcie wszystko moje, bom ja i tej włosienicy niegodna, która mi ciało szarpie.

Najobojętniejsi świadkowie nie mogli bez rozrzewnienia patrzeć na rozdzierającą serce rozpacz tej pokutującej białogłowy. A kiedy córki pochylając się do jej nóg, chciały ją pożegnać, odsunąwszy się od nich rzekła:

— Nie dotykajcie mię dzieci, jam zapowietrzona ciężkim grzechem. Przebłagajcie brata, aby mi przebaczył lub przynajmniej nie potępiał. Poczytajcie mię za zmarłą, chociaż śmierci nie pragnę, i nie śmiem Boga o nią prosić, boć ta jest dobrodziejstwem i nagrodą sprawiedliwych. A dla mnie nędznicy całych wieków pokuty zamało na obmycie moich przewinień.

Nieszczęsna kobieta wzbraniała się pozostać w celi zakonnej, brudną i ciemną jakąś komorę obrała sobie za mieszkanie, a chleba nawet spożywać nie chciała póki nie zeschnął i nie przegnił.

Nie było człeka tak srogiego sędziego na jej występki, któryby się nad tak surową pokutą nie rozżalił, nawet obojętny starosta, wyrzekł:

— Cięższą zaprawdę zadaje sobie pokutę nad grzech swój, bo ona nieszczęsna zawiniła tylko białogłowską próżnością.

* * *

Rosiejnie solennie i uroczyście obchodziły uniewinnienie swojego dawnego skazańca. OO. Telesfor i Cyryll, odprawili solenne nabożeństwo. Lud po ulicach wiwatami głośnemi przeprowadzał starostę, wybawiciela niewinnego, tak iż on nie wychodził z gospody.

O ile zaś wprzód z trwogą spoglądał lud na kraty więzienne i z drżeniem poglądał na drzwi, przez które niedawno niewinny więzień miał wyjść na stracenie, o tyle teraz wzrokiem nienawiści mierzył więzienie, gdzie zbrodniarz Nencha oczekiwał na sprawiedliwość ludzką, która tym razem trafnie dosięgała. Mieszczanie pomiędzy sobą ustanowili kolejno warty nocne przy baszcie, aby się im ten zbrodzień nie wymknął.

O ile niegdyś trwogą, o tyle teraz z niecierpliwością wyczekiwano upragnionego dnia tracenia winowajcy,a skoro nadszedł, całe Rosiejnie obległy więzienie, tak iż z trudnością mistrz i ceklarze, którzy już teraz nie chorowali i rąk nie kaleczyli, przedarli się przez gęste tłumy, które okrzykami szyderstwa i urągania delikwenta powitały. Lud często bywa niemiłosierny, ale nierzadko sprawiedliwy. A gdy kat palił przed ścięciem z obostrzonego wyroku, występną prawicę Nenchy, lud okropnym krzykom winowajcy wtórował radośnem wołaniem.

Tegoż dnia stary rzeźbiarz fałszowanych pieczęci jako

podlegający sądom magdeburskim, za wyrokiem magdeburyi szawelskiej był smagany i piętnowany pod pręgierzem w Szawlach.

Starosta odniosłszy ten ostatni tryumf z dawnej, a dziś zaniechanej praktyki jurystowskiej, oczekiwał już tylko na glejt królewski dla synowca, dla pozyskania którego Imć pan Jagmin sędzia ziemski osobiście udał się do Warszawy, a że właśnie trafił na czas sejmowy, niezwykłą tą sprawą zainteresował nietylko samego króla Imci, lecz wszystkie sejmujące stany tak, iż król nietylko glejtu żądanego udzielił, ale nadto Stolnikowiczowi, za zasługi własne wojenne jako i jego ojca nieboszczyka, ciwunowstwo Retowskie deferował.

Starosta dostawszy te oba dokumenta, odbierał bardzo wdzięcznie i uprzejmie powinszowania panów sędziów, wysłuchiwał nowych wiwatowań tłumów, prośb jurystów aby dla dobra sprawiedliwości pomiędzy nimi pozostał, ale koniec końców, schowawszy te dwa najważniejsze dokumenta do kieszeni, dołączywszy jeszcze wierzytelną kopię dekretów na Nenchę i żyda fałszerza—znikł jak meteor z horyzontu rosieńskiego niepostrzeżenie, a równie niespodzianie jak przed czasem na nim zajaśniał.

ROZDZIAŁ XIV.

Kiedy się to w Rosiejniach działo, a starosta cudów jurysprudencyi dokazywał, Stolnikowicz mortyfikował się tymczasem na odludnym futorze Dida; nadeszła zima ze śnieżnemi zaspami i zawieją, ta jeszcze stokroć zdwoiła osamotnienie odludnego miejsca. Pamięć zaś pięknej oblubienicy Podkomorzanki, do reszty wyczerpywała zasób cierpliwości. Ani ksiąg, ani ludzkiego obcowania, prócz wiernego Myszejkisa, nie miał młodzienioc na rozwianie tęsknoty rozdzierającej mu serce. Wzywał nieraz baszty więziennej rosieńskiej i tej śmierci haniebnej, którą już niemal przekładał nad stan obecnej niepewności.

— Stryj stary o jednej ręce, puścił się sam w tak daleką drogę, może potkała go jaka przygoda, może zginął... Czyliż mam do końca życia na tem odludziu pozostać? Z dwóch ostateczności wolę już tamtą. Mawiał niecierpliwie do wiernego sługi.

— Tacy ludzie jak Imć pan starosta, chociaż o jednej ręce, nie giną marnie, poczekajmy!—pocieszał Myszejkis.

To znów innym razem, miotając się jak lew w klatce, mówił:

— Wracam do Rosiejń, niech się dzieje wola Boża i prawa.

A na to Myszejkis:

— Ja jegomości nie opuszczę, bo samiście powiadali, że za wydobycie was z więzienia, według prawa, mnie także głowę zdejmą, albowiem wyznam wszystko przed sądem.

Nie było rady z upartym żmujdzinem.

Nadeszła wiosna, a o wojskim ani słuchu. Myszejkis jako sam bartnik zawołany, lubował się pszczółek brzęczeniem, ale Stolnikowicz chudł, nędzniał, perswazye zaś i pocieszania wiernego sługi nie na wiele się przydały, który widząc iż pan jego nikł w oczach i jednej śmierci unikając, na drugą natrafiał, zgodzić się musiał na wyznaczenie pewnego terminu, na który jeżeli się starosta nie stawi, mieli dalej w świat ruszyć. Już i termin ów dobiegał, Myszejkis myślał o sposobie nabycia drugiego konia, gdy wtem kiedy młodzieniec dla orzeźwienia po jednej z bezsennych nocy, wyszedł do pasieki, zastał starego Dida, w siermiędze, boso, jakby nigdy stroju nie zmieniał, witającego się ze swojemi pszczółkami, a skoro ujrzał synowca, dobywając z zanadrza plik papierów i podając mu je, rzekł:

— Masz waść tu glejt królewski i instrument na ciwunowstwo retowskie dla ciebie, oraz kopię dekretu na Nenchę i protokół sądowy o straceniu go na gardle, oraz o stawieniu pod pręgierzem w magdeburyi szawelskiej żyda fałszerza pieczęci. A teraz jedź z Bogiem objąć spadek po ojcu, który ten łotr odłużył... Zabawiłem wprawdzie trochę dłużej, bom oszczędzał konia, który niezmęczony, tak iż możesz waść dziś jeszcze odjechać...

A gdy Stolnikowicz dziękując upadł do nóg stryjowi, stary powiedział:

— Nie masz za co dziękować, bom czynił nie z jakiegobądź afektu, ale z prostej ciekawości, a przy tej okazyi zdjąłem głowę tej gadziny Nenchy, glejt zaś ci należał, a co do ciwunowstwa, to już łaska królewska... Teraz możesz

waszeć o mnie zapomnieć, bo nie spodziewam się, abym ci już kiedy przydał się na co, nawet w razie czego o spadek po mnie nie zabiegaj, bo niewiele tam tego będzie, a wszystko należy do Hanny i parobka... Szczęśliwej podróży, z Bogiem.

Zakończył krótko, a odwrócony zajął się ulem około którego pracował, jakby przez to dawał znać, że już gościa pożegnał.

* * *

Raźniej szła ta droga podróżnym naszym niżli owa, w której pierwszy ich raz poznaliśmy; nie szukali już bowiem manowców i odludnych traktów, a owszem swobodnie i śmiało rozglądali się sobie po bożym świecie z rozkoszą, jakby go pierwszy raz widzieli. Bez wątpienia, iż serce ciągnęło młodzieńca do bogdanki, lecz niemniej nakazywały mu ważne powody uczuć i obowiązku, powrót w rodzinne strony. Matce, pomimo iż raz odepchnięty, chciał się pokazać uniewinniony z ciężkiego zarzutu zbrodni, ujrzeć siostry, których po powrocie z jassyru jeszcze nie oglądał, nakoniec objąć majątek, przez jurystę zrujnowany, i ład w nim zaprowadzić, nakoniec wypadało pośpieszyć na objęcie nowego urzędu z łaski królewskiej otrzymanego.

Wyminął tedy z umysłu Chodorków nie bez zadania sobie gwałtu, aby go tam sprawy serca dłużej nad czas nie zatrzymały i udał się prosto do Rosiejń. A skoro w mieście wieść się rozeszła, iż ów zbieg niegdyś potępiony i skazany wrócił zaszczycony łaską królewską, cała ludność miasta ukazująca mu swoją kompassyą, witała go jako tryumfatora. Urzęda ziemskie i grodzkie in gremio, winę przed nim swoją ekskuzowali i stał się w stolicy Żmujdzi dzień radośny przejednania i rehabilitacyi. A skoro się dowie-

dziano, że zdobywcą sprawiedliwości i ochroną niewinnego od hańbiącej kary a sumienia sędziów od wiecznego wyrzutu, była wierność i poświęcenie Myszejkisa, który z własnem narażeniem swojego pana i brata mlecznego z więzienia wydobył, noszono poczciwego chłopca na rękach. Takich uroczystości Rosiejnie nigdy nie pamiętały.

Bawił tu Stolnikowicz ile konieczność wymagała jak najkrócej i pośpieszył do Nowogródka z hołdem synowskim do matki. Gdy o nią zapytał u furty klasztornej, siostra furtyanka rzekła:

— Ta pani złożona od pewnego czasu ciężką chorobą, jest niewidzialną dla nikogo za wyjątkiem syna swojego, którego się spodziewa i jego jednego widzieć pragnie.

— Jam nim jest—odparł Stolnikowicz.

Siostra furtyanka zaprowadziła go do parlatoryum.

Po krótkiem oczekiwaniu wszedł kościotrup niewiasty, zaledwie trzymający się o własnej sile, twarz miała wychudłą i wynędzniałą, czarną jak ziemia, ciało jej, a raczej kości powleczone skórą, okrywała włosienica. Po wejściu padając u nóg młodzieńca wyjęczała:

— O! niech cię Bóg błogosławi mój synu, za tę litość, którą masz nade mną występną; serce moje zranione ciężkiemi przewinieniami, mówiło mi, iż przyjdziesz mi przebaczyć.

— Matko! azaliż sąd nad rodzicami do dzieci należy! Wszakże na pociechę w waszem strapieniu powtórzę słowa ojca nieboszczyka w chwili zgonu, że „wam wybacza i modlić się tam za was będzie...“

Wymówił Stolnikowicz z poszanowaniem, usiłując podnieść niewiastę z ziemi, która we łzach wołała:

— Zostaw mię tak, rozkazuję ci, jeżeli tego potrzeba; nie ma bowiem tak nędznego prochu na ziemi, który nie byłby godniejszym nademnie grzeszną i występną... O! po-

wtórz mi, powtórz choć raz jeszcze słowa twojego ojca, one z twoich ust są uzdrawiającym balsamem na moje szarpane grzechem sumienie.... Jam ci mojemu jedynakowi gotowała śmierć hańbiącą, ale przysięgam, iżem nie wiedziała, że Nencha fałszu się dopuścił... Niech Bóg błogosławi starostę, że przez swój rozum odwrócił ode mnie spełnienie tak strasznej zbrodni i ulżył choć trochę obciążonemu sumieniu.

— Matko, przyszedłem was błagać, wyjdźcie ztąd; Bóg jest miłosierny, jeżeli macie jakie winy, on je odpuści, pójdźcie żyć z waszemi dziećmi...

— Zapóźno synu, tegom szczęścia niewarta, jęczała coraz słabnącym i urywanym głosem. Prosiłam Boga, ażeby mi dał ujrzyć ciebie i umrzeć przy twoich nogach. Godzina miłosierdzia pańskiego się zbliża, synu błogosławię... córki...

Nie domówiwszy tych słów konwulsyjnie nóg się jego chwyciła, Stolnikowicz jeszcze usiłował ją podnieść, lecz widząc ciało zimne i zesztywniałe, zimną głowę matki z poszanowaniem na ręku swoich złożył i co siła o pomoc jął wołać. Na głos jego nadbiegła siostra furtyanka, a nie mogąc sama okazać skutecznej pomocy, pośpieszyła powołać matki zakonne: nadbiegła przeorysza z lekarką, a ta po zbadaniu zimnego ciała pokutnicy ponurym głosem zaintonowała: „*De profundis*“, któremu inne zakonnice wtórowały.

. . . .

Stolnikowicz ze czcią synowską złożywszy zwłoki matki w katakumbach klasztoru pp. Dominikanek nowogrodzkich, umyślił odłożyć obrzęd solenniejszy pogrzebu aż do sprowadzenia zwłok ojca, które oczekiwały w bagnach cecorskich chrześciańskiej posługi.

* * *

Należało przedtem uczcić łaskę królewską i urząd deferowany co rychlej objąć. Nie pamiętano na całej Żmujdzi wjazdu wspanialszego, jakim był Stolnikowicza na ciwuństwo Retowskie: wszystka szlachta żmujdzka zgromadziła się dla uczczenia człowieka, który w młodym wieku złożył dowody rycerskiego animuszu, przeniósł tyle nieszczęść, przebaczył matce, która mu tyle krzywd wyrządziła i nakoniec został zaszczycony łaską królewską. Pomimo świeżych smutków, jakie dotknęły ciwuna, wjazd jego na urząd przedłużył się kilka tygodni, bo go szlachta żmujdzka uczcić chciała.

Po odprawionym wjeździe czekała ciwuna nowa powinność synowska, gotował się bowiem na wyprawę dla odszukania i sprowadzenia zwłok ojca; przyczem według danej Podkomorzemu Piaseczyńskiemu obietnicy, nie przepomniał o zwłokach jego syna.

Rozkazawszy tedy sporządzić dwie przepyszne trumny, wyruszył na tę pobożną wyprawę, a tę składali: najprzód dwie jego siostry, dorodne panny, które dziećmi niemal pozostawił wychodząc na wyprawę cecorską, a pierwszy raz od tego czasu ujrzał je przy zwłokach matki, a teraz brał ze sobą na drugą wyprawę żałobną—albowiem pomimo boleśnej straty, jaka je dotknęła, wokacyi w sobie zakonnej nie uczuły, a przy bracie i opiekunie pozostały. Następnie przy sercu jako i w sercu pańskiem, był on zacny Myszejkis, brat mleczny, który jeszcze więcej praw braterstwa, przez wierność, miłość a poświęcenie zdobył.

OO. Telesfor i Cyryl, powziąwszy niekłamany afekt i estymę dla Ciwuna, a zawdzięczając mu, iż na znacznych dobrach swoich wieczysty fundusz na każdo-roczny okup

dwóch więźniów z rąk niewiernych uczynił *)—deklarowali się dobrowolnie oddać posługę ostatnią zmarłemu Stolnikowi.

Dalej szlachta bacząc na zasługi tak ojca jako i syna do tego pobożnego pochodu tłumnie się przyłączyła, a tak viritim wyruszyli, prawie jak przed kilkoma laty na ową smutną wyprawę cecorską—już to obawiali się, ażeby czasem bisurmanie nie napadli i ich ciwun ukochany w nowy jassyr nie popadł, boć to było na granicy niewiernych, którzy ośmieleni klęską cecorską hardo teraz po kraju buszowali.

Wyruszył tedy on orszak wojenny, miasto wszakże proporców i znaków pancernych, co niegdyś wesołą lubo niestety zawiedzioną powiewały nadzieją, mając dwie trumny. Pochód to iście był ciężki i lub miłość synowska albo powinność dla kraju mogła doń pobudzić. Bo skoro się ku Dniestrowi już zbliżali, szli przez kraj jeszcze nieosiadły, a do tego klęskami wojennemi opustoszony.

*
* *

Na smętnem pobojowisku, gdzieśmy przed kilku laty żałobnych harców śmierci byli świadkami, przemysł rolniczy korzystając z użyźnienia ziemi krwią ludzką, szeroko się rozpostarł i na dawnem pustkowiu były już łany urodzajne: tak to jest bowiem w przeznaczeniu ludzkości, iż jedni drugim ustępują ze świata, a pozostali z tej ziemi ciągną pożywienie, która drugich do snu wiecznego przykrywa. A że tam kość jakąś wyorze rolnik zabiegliwy, odtrąci ją pogardliwie nogą jako zawadę, nie pomnąc, iż po niej pozostała łza w oku i że ona stanowiła szacowną relikwię dla jakiegoś serca. *Sic transit gloria mundi!*

---

*) Dokument ten oblatowany przed aktami ziemskiemi rosiejńskiemi, oglądałem. (Przyp. autora).

Na środku owego trzęsawiska, gdzie pobożna ręka syna i bliźniego dwa ciała złożyła, wznosił się krzyż wielki cały bujną zielenią pokryty—czy to soki pożywcze ziemi, czy miłość synowska tak mu szeroko rozrosnąć się dały? Wszakże lud chrześciański żegnał się przed onem samorodnie wyrosłem godłem zbawienia, sądząc go być zasadzonem ręką miłosiernego Stwórcy, jako pamiątkę nad poległymi w klęsce cecorskiej, rycerzami, którzy za wiarę świętą życie położyli.

Po tym znaku nie trudno było odkryć dwa ciała—atoli bagna zwiększone jesiennemi deszczami i wód przypływem, dostępu do siebie nie dawały. Z niemałym trudem musiano przekopywać fossy do spuszczenia wody i osuszenia trzęsawiska i po pewnym dopiero czasie wynaleziono drogie zwłoki Stolnika i Podkomorzyca, a jak tradycya niesie doskonale zachowane, co może rodzajowi bagna przypisać należy.

Przeszło tedy w pół roku po wyruszeniu powracał orszak żałobny z pogrzebową zdobyczą, na czele mając duchownych, którzy poprzedzali dwie trumny.

ROZDZIAŁ XV.

Podczas kiedy ciwun dziwne przebywał losu koleje: najpierw wychylał czarę niezasłużnnej hańby, a następnie z kolei tryumfu niewinności odbierał nagrodę i zaszczyty łaski królewskiej, nakoniec miłości synowskiej spełniał święte obowiązki, znany nam dwór Podkomorzego w Chodorkowie przyoblekł smutek i niepokoje oczekiwania.

Magda na oną nić nadziei nizała czas długi, drobiąc go na paciorki sekund, minut, godzin i dni jak wieczność długich. Dręczyła ją niemniej niepewność losów oblubieńca, będących dla niej tajemnicą. Pocieszała się wprawdzie spełnianiem obowiązków i czerpała otuchę w niezgłębionem źródle modlitwy, ale czas nieubłagany biegąc leniwie, wybierał swój haracz oczekiwania i tęsknoty, piętnując niemiłosiernie swój pochód na krasnych i świeżych jagodach dziewczyny.

Krzepił się wszakże stary Podkomorzy, zabijając tęsknicę łowami dla siebie, córce dodając otuchy przybieranem weselem—ale gdy już rok jeden minął, a kawał drugiego zachwycił czas, nie przynosząc ani wieści, ani powrotu, i stary upadając na duchu zwierzał się jedynemu w tem powiernikowi księdzu plebanowi:

— Podrwiłem ja stary sprawę O. Felicyanie, a przed, jedynem dzieckiem, jakie mi pozostało, świat zamknąłem; a nie dość mi na tem, że Bóg mię dotknął, odbierając nadzieję odżyć w męzkich potomkach, i po kądzieli nie będę miał tej pociechy, bo znam Magdę, że ślubów uczynionych nie złamie i innego za męża nie weźmie. Nieobacznie to było jakiegoś włóczęgę, obieżświata na zięcia sobie sposobić, chyba to Bóg mię skarał taką myślą. Pewny tego jestem, że ona pomiędzy dzisiejszym oblubieńcem a klasztorem innej alternatywy nie wybierze.

O. Felicyan, któremu chociaż pod świętą tajemnicą spowiedzi, znana była przeszłość ciwuna, zwykle o dobrym skutku nie wątpiąc, pocieszał:

— Owoż są rzeczy, które spenetrować napróżno rozum ludzki usiłuje; a ja waszmości powiadam, że zacny to jest człek, godny afektu waszej córki, a ufam w miłosierdziu Bożem, że go Bóg wyprowadzi z ciężkich frasunków i wróci go nam szczęśliwie. A nakoniec grzesznem jest iść przeciwko woli Opatrzności, której jeśli się spodobało chwałę Bożą przez waszą córkę pomnożyć, stokroć zbawienniejszem to jest, niżli byście z niej wnuków doczekali. Albowiem wątpienie w miłosierdziu Bożem, ciężkim jest grzechem.

Szlachta ze swej strony mszcząc się onej upornej woli w postanowieniu córki, dokuczała Podkomorzemu, choć wprawdzie przenośnemi przycinkami, bo nikt bliżej o niego otrzeć się nie śmiał.

Nakoniec już tylko parę tygodni czasu oddzielało mieszkańców zamku chodorkowieckiego od terminu powrotu oblubieńca, oczekiwanego z początku z niecierpliwością i upragnieniem, teraz zaś z nieopisaną trwogą i niepokojem. Ojciec i córka, lubo na pozór dla omamienia jedno drugiego,

nie tracili fantazyi, jednak najczęściej przebywając osobno na dwóch końcach zamku, wypatrywali oczy na gościniec, azali wracającego nie ujrzą. Nie trzeba powiadać, że myśliwi i psy od dawna zalegali pole. Smutno było i ponuro na tym niegdyś ożywionym dworze, jak zwykle kiedy ciężki głaz oczekiwania serce ludzkie przytłoczy.

* * *

Gdy już dni kilka tylko do pożądanego terminu zostawało, rzekła podkomorzanka do ojca:

— Raczcie panie ojcze sprosić sąsiady i znajome na 7 września, który jest terminem ostatecznym *jego* powrotu.

Spojrzał boleśnie ojciec na córkę, która mu to ze spokojem powiadała i spytał smutno:

— Wszakże go nie ma jeszcze, ani wieści żadnej o nim. A jeżeli nie przyjedzie, czyliż mam wzywać świadków mojego wstydu, żem na te dziwne zrękowiny zezwolił, a co gorsza sam je ułożył i ukazywać światu dziecko moje opuszczone od pana młodego? Przetrawmy lepiej wstyd nasz w samotności i odosobnieniu, dość i tak nie mam już przez to spokoju, od wyrzutów sumienia.

— Drogi ojcze, nikt nie winien oprócz przeznaczenia, naprzeciw któremu dobrowolnie poszłam. Wstydu zaś żadnego mieć nie możemy przed ludźmi, bo jeżeli nie wróci w dzień naznaczony, ufna w jego słowa, iż mu jedna śmierć do tego przeszkodzi, zostnę jego wdową i resztę dni Bogu poświęcę, jako to ślubowałam przed niebem i moim oblubieńcem...

— Czyliż ja na to pozwolę—odparł podkomorzy surowo—ażebyś dla jakiegoś płochego włóczęgi, świat sobie zawiązywała: jam to wszystko przeważnie, ale nieobacznie, zawiązał, ja też i rozwiązać mogę... Jeszcze ża-

dna Piaseczyńska nie chodziła w grochowym wianku, i ty chodzić nie będziesz...

— Ale żadna Piaseczyńska nie przełamała ślubów dobrowolnie czynionych i ty sam ojcze tego nie zechcesz i na to nie zezwolisz. Przecie nieraz mi powiadałeś ojcze, że w rodzie Piaseczyńskich tak mężowie jako i białogłowy, odznaczali się stałością w przedsięwzięciach i wytrwałością w obietnicach. Czyliżbyś więc zezwolił, aby ostatnia z rodu odrodziła się od zalet przodków swoich?

Staremu łzą tylko zaszło oko, snać zabrakło mu już słów na odparcie tych argumentów: córka dalej ciągnęła, rękę ojca do ust przyciskając:

— Dotąd w naszym domu wszystko jawnie się działo, niech więc i dziś obaczą, że córka wasza wierna swoim ślubom lub zostanie żoną z oblubienicy lub na zawsze oblubienicą Chrystusa, służąc mu do śmierci w Jego zakonie.

— Cóż zamyślasz czynić moje dziecko?...

— Wdziać jedną z dwóch szat ślubnych, lub jego małżonki, jeśli żyw jest i zdrów powróci na dzień naznaczony, lub szatę oblubienicy Chrystusa.

— Niedobre dziecko, chciałabyś mię osierocić na starość, której już tak niewiele pozostało?

— Jako żywo ojcze drogi, jeżeli Bóg mi cię przeżyć przeznaczył, nic się w domu twoim nie zmieni i córka pozostanie wierną przy twoim boku; ten tylko zamierzam ponowić ślub, iż skoro z wyroków boskich będę zmuszona poprzestać spełnienia świętych obowiązków córki, pójdę na resztę życia w służbę Ojca Niebieskiego, a tymczasem suknię tercyarską, przy szatach wdowich wdzieję, a chcę tego dopełnić przed obliczem Boga i przy świadectwie znajomych... Ojcze!... czyli twoja córka wolną jest teraz inaczej postąpić?..

— Niech się dzieje wola twa dziecko, ale zawsze nie od-

zyskam spokoju sumienia, bom ja to jeden jest sprawcą twoich smutków.

— Nie smuć się drogi ojcze, zawsze bowiem córka twoja pozyska w ten dzień oblubieńca doczesnego lub wiecznego, jak się to Bogu podobać będzie i nie umrze osamotniona na świecie.

Podkomorzy odszedł ze zwieszoną smutnie głową, rozpisywać listy do znajomych i przyjaciół, jak niegdyś przed dwoma laty na zrękowiny córki, lecz nie czynił tego z onym animuszem jak ongi.

* * *

Zeszło nakoniec słońce na dzień mający stanowić o losie mieszkańców zamku. Że dawniejsi ludzie zwykli byli dzielić z bliźnimi dolę i niedolę, dobre lub złe losy, a bez świadków niosących spółczucie nic się nie odbywało, toż się i dom podkomorzego napełnił. Wszyscy dzielili z gospodarstwem niepokoje, trwogi i spodziewania, a już to i ciekawość niemałą grała tam rolę i każdy jeden przed drugim radby był zajął okno lub stanowisko z widokiem na bramę wjazdową; a tembardziej wyczekiwali przybycia, a raczej powiedzmy szczerze, złośliwsi *nieprzybycia* oblubieńca, zadając sobie problema do rozwiązania: co w takim razie i jak sobie pocznie podkomorzanka?.. A byli nietracący nadziei pomiędzy nimi—„Ano kto wie, może mnie wybierze, boć zawsze pomiędzy alternatami małżeństwa i grochowego wieńca—jam lepszy.“ A niejeden tam sobie i wąsa dla lepszej otuchy musnął.

O ileżby słońce dnia owego było jaśniejszem dla mieszkańców zamku, gdyby oświeciło przybycie oblubieńca; stary podkomorzy byłby raźniejszy a nie potrzebował nadrabiać

fantazyą, i gościom weselej byłoby—aliści losy chciały inaczej.

Godzina odjazdu oblubieńca niezatartemi głoskami była napisaną w sercu Magdy i o tej godzinie spełnić się miały jej śluby lub z wiecznym oblubieńcem Chrysusem lub z ziemskim onym oblubieńcem, który... czy wiarę złamał, czy życie utracił?.. gdy się nie stawił... nikt o tem nie wiedział.

O. Felicyan, któremu jako duchownemu nie godziło się grzeszyć zwątpieniem o miłosierdziu boskiem, szepnął do podkomorzego:

— Widzi mi się, że chyba Bóg zabrał waszego przyszłego zięcia do swojej chwały, skoro się nie stawi, ale czas jeszcze... kto wie... Bóg łaskaw i miłosierny, a jego wyroki niezbadane. Ja zaś sługa boży w spodziewaniu trwam do końca.

Skoro dzwon kościelny rozpoczęcie dnia z Bogiem ogłosił, wszyscy goście już przystojnie przybrani zgromadzili się w największej izbie, aby z tamtąd wspólnie do chwały bożej pospieszyć; zastali już podkomorzego, który na nich oczekiwał, mając córkę przy boku—ta była w tymże samem stroju, jak przed dwoma laty, w dzień swoich zaręczyn... świetna i piękna, a jaśniejąca jeżeli nie szczęściem, to spokojem i mocą postanowienia.

Podkomorzy był ciężko zafrasowany i wyglądał jakby przez tę jedną noc starość nim silniej zawładnęła; powitał łaskawych na ile mu smutek dozwalał, najuprzejmiej, chciał do nich przemówić, lecz wargi mu drżały, myśl wypowiedziała posłuszeństwo.

Córka w zastępstwie ojca, pokłoniwszy się łaskawym rzekła:

— Wiadomo waszmościom a mnie wielce miłościwym panom, iż dzień to jest naznaczony jako ostatni na powrót

mojego narzeczonego, który to powrót jeżeli nie nastąpi przed ukończeniem nabożeństwa, myślę że ciężkie zawady lub sama *śmierć*... (wymówiła ten straszny wyraz z drżeniem w głosie) rozdziela nas od poczynionych obietnic i dozwala mi ślubować służenie Bogu w jego zakonie... Owoż na to ponowienie danych ślubów lub uczynienie nowych powołaliśmy łaskawych panów i bracią, abyście akt ten jaki nastąpi zaszczycili swoją szanowną obecnością i błogosławieństwem na nowe drogi życia, które się dla mnie jeszcze dotąd dwoją w tej dobie, wszelako na którą z nich wprowadzi mię ręka Pańska, pójdę ufna w Bogu i Jego niewyczerpanem miłosierdziu.

Na tę mowę pełną odwagi i ducha rezygnacyi chrześciańskiej, na niejednem ogorzałem i pomarszczonem licu łza pociekła, niejeden kiwając litośnie głową, w duchu sobie mówił:

— Podrwił głową stary i świat dziecku zawiązał.

Nikt jednak nie śmiał czynić żadnej objekcyi, bo w głosie i postawie dziewki znać było wolę, determinacyę i silne a niezmienne, mocno powzięte postanowienie. Poczęła z Bogiem, gdyż przede dniem jeszcze uklękła przed trybunałem pokuty O. Felicyana i ztąd taką otuchę wyniosła.

W porządku, z ceremonią, szli do kościoła, lecz zaprawdę orszak z pozoru bardziej na żałobny zakrawał, a dwaj przedniejsi goście, prowadzący pod ręce Podkomorzankę, zaprawdę nie wiedzieli, czyli ją wiodą na pożegnanie z tym światem, lub rozpoczęcie nowego życia. Każdy mimowoli utkwił wzrok w gościniec, wypatrując, czyli tej smutnej zagadki wesołe rozwiązanie nie przybędzie. W porządku i przy ciszy grobowej wszedł orszak do kościoła.

O. Felicyan, zwykle mawiający, że:

— Bóg na nikogo nie czeka,

A przeto wielki rygorysta i obserwator w dopełnianiu nabożeństwa, teraz się jakoś ociągał, gromił tam za coś z cicha swojego dziadka i klechę, aż ledwie ku południowi, kiedy dłużej zwlekać było niepodobna, wyszedł wikaryusz ze mszą św., bo O. Felicyan miał mieć stosowne do okoliczności kazanie, i paskiem tercyarskim nazawsze świat przed Podkomorzanką zawiązać.

Usiadł zamyślony w stalach kapłańskich, łącząc modły gorące z celebransem, gdy wtem ku końcowi mszy, klecha go czegoś odwołał do zakrystyi, co zdawało się być rzeczą dość naturalną, i nikt na to uwagi nie zwracał, a po ukończonej mszy, gdy celebrujący odszedł od ołtarza, O. Felicyanowi do owej smutnej ceremonii miejsce zostawując— śpiesznie się ukazał rozpromieniony, jaśniejący radością starzec, a otwierając księgę, trzymaną w ręku, czytał czystym i wolnym głosem: zdziwili się przytomni, bo oczekiwali mądrej nauki, która zazwyczaj z tych ust płynęła, a tymczasem mówca poczynał od zapowiedzi.

„Według obrządku kościoła rzymsko-katolickiego, zabierają się do stanu małżeńskiego następujące osoby...“

Tu się zająknął, jakby coś trudnem było do odczytania, a przytomni z podziwieniem spojrzeli po sobie, nie pojmując, co się stało z kapłanem w tak stanowczej chwili—on zas czytał dalej...

„Zabierają się do stanu małżeńskiego: urodzony Mikołaj Tysza Bykowski (*) ciwun retowski...

Znów się ksiądz zatrzymał, jakby wyczytując drugie

(*) Ażebym odwrócil od siebie podejrzenie czytelnika o miłość własną, że z moich antenatów tworzę bohaterów powieści, winienem uprzedzić, że, *Tyszowie* i *Jaxowie* Bykowscy, stanowią dwa oddzielne rody szlacheckie różniące się pomiędzy sobą klejnotami.

Jaxa Bykowski.

nazwisko, a zdziwiona szlachta szeptała sobie, ruszając ramionami:

— Co się stało z naszym proboszczem, u nas takiego nie ma w parafii...

Ksiądz czytał dalej:

„Z urodzoną Magdaleną Piaseczyńską, Podkomorzanką bracławską.“

W tej chwili ze drzwi zakrystyi wyszedł znany nam porucznik pancernej chorągwi (który, czego się i czytelnik miły domyślał bez wątpienia, był jednym i tym samym co ciwun retowski), w sukniach podróżnych, okrytych jeszcze kurzawą, i padł do nóg Podkomorzemu, a potem oblubienicy, która przy nim stała.

Jakież pióro jest w stanie odmalować radość, wesele, podziwienie i tysiączne uczucia szczęśliwe, któremi wszystskie serca, jakby jedno uderzyły w tej chwili... Żeby zaś dać jakiekolwiek przybliżone o tem pojęcie, dość powiedzieć, że szlachta ówczesna, umiejąca poważać i szanować przybytek pański, nie mogła się powstrzymać, aby sobie choć półgłosem nie huknąć:

— Vivat ciwun retowski! Vivat Podkomorzanka bracławska!

Lecz wnet się umitygowali i bili pierś grzeszną.

Skoro się uciszyli, O. Felicyan nie darował swojego, a schowawszy przygotowaną mowę o służeniu Bogu w jego zakonie i o najsłodszym oblubieńcu Jezusie, wystosował inną z pamięci, gdyż dobry mówca był, o ciężkim grzechu wątpienia w miłosierdziu bozkiem, a mówiąc, z ukosa czasem spoglądał na Podkomorzego, który uszczęśliwiony pomyślnym końcem frasunków, niebardzo brał tego do serca.

* * *

Jeszcze należy słówko na usprawiedliwienie oblubieńca, który, jak widzieliśmy, rozpoczynając wiele ważnych przedsięwzięć, nie był w stanie rozliczyć, jak się te długo przeciągną: ostatnie zaś wydobycie ojca nieboszczyka i pogrzeb obojga rodziców trwały dłużej nad spodziewanie; żeby zaś całkiem go uniewinnić dodać należy, że spiesząc do stawienia się na termin, cały swój orszak weselny wyprzedził, i pięć koni w drodze zmienił, coraz nowe kupując, gdy dawne ustawały.

Właśnie kiedy się msza kończyła, przed boczną furtą zakrystyi osadził spienionego konia jeździec zdyszany i ledwie zdołał zeń zeskoczyć, koń padł bezsilny, snać, iż go w biegu jeździec nie szczędził. Wpadłszy do zakrystyi rzucił kilka sztuk złota klesze, aby natychmiast O. Felicyana poprosił, który pośpieszył doń, a nietrudno się domyśleć, jako czułem i serdecznem było ich powitanie. Resztę domyślności czytelnika pozostawiamy.

* * *

Po skończonem nabożeństwie, podziękowawszy Bogu, że im on dzień trwogi na wesele zamienił, wszyscy powracali na zamek, a na czele oblubieniec z oblubienicą. Z umysłu puszczono ich przodem, aby im dać wolę nacieszenia się sobą po długiem niewidzeniu.

Skoro przybyli na zamek, a podano puhary dla powitania pożądanego gościa i spełnienia wiwatu za oblubieńców, stary kasztelan znów jak niegdyś występując z oracyą, poniósł do ust rękę Podkomorzanki, której sygnet już połyskiwał dużym krwawnikiem, bo go oblubieniec miał czas podczas pochodu z kościoła na dawne miejsce przywrócić.

— A co—zawołał kasztelan—ja się domyślałem, że

tym klejnotem są *Chorągwie Kmitów*, tylkom nikomu tego nie powiadał.

Smiech powstał ogólny, a ktoś tam spytał:

— A jakże waszmość pan tegoś się domyślał?

— Bardzo naturalnie. przecie Tyszowie Bykowscy *Chorągwiami Kmitów* się pieczętują.

— A kiedyście nie znali godności Imć pana oblubieńca.

— Tak to jest. ale zawsze miałem co do tego jakiś presentyment.

Uśmieli się wszyscy z onego „presentymentu,“ bo w rzeczy stary kasztelan oratorstwem nie słynął.

Uroczystość to była wielka. wszyscy się społem cieszyli, a nawet i młodzi zapomnieli zawiści i rankoru do ciwuna, że im dziewkę powabną a posażną z przed nosa zmiatał. A skoro znów zasiedli, jak niegdyś do uczty, przy której dzisiejszy jawny i szczęśliwy oblubieniec już jak niegdyś tajemnicą się nie osłaniał, zewsząd zasypano go pytaniami:

— A powiedz-że nam waszmość, dla czego przed dwoma laty ukrywałeś swoją godność, klejnot i osobę. jak jaki banit lub zbrodniarz na gardło skazany.

— Albowiem był jednym i drugim, naówczas—wtrącił O. Felicyan. dzielący ze wszystkiemi ucztę i radość.

— Ej, dworujecie z nas sobie Imć księżę proboszczu!.. zewsząd zawołano.

— Niestety tak to jest—odparł ciwun — a może zechcecie waszmościowie posłuchać, to opowiem rzecz całą.

I rozpoczął opowiadanie przygód znanych nam, rozumie się z tą zmianą. iż wszelkie relacye o postępowaniu matki, łagodził. Ustał brzęk pucharów. szlachta zapomniała o smacznej stypie, każdy w słuch się zamienił, a niejedno oko łza zrosiła i niejeden oddech zatamował się niepokojem,

a gdy z kolei opowiadania stryj starosta na scenę wystąpił, a niewinnego oczyścił i zdrajcę komornika (bo przez delikatność, jego nazwiska nie wymienił mówiący) na rusztowanie poprowadził, wzniosły się do góry kielichy i szlachta huknęła:

— Wiwat starosta!—a inny się ozwał:

— Pojadę umyślnie do jego futoru, ażeby poznać tego dzielnego człeka.

A z kolei gdy przyszło do tego, że król udzielając glejtu, deferował przytem ciwunowstwo retowskie, znów wołano:

— Niech żyje król jegomość!

Nikt nie przerywał opowiadania, oprócz tych paru ferworów, które mimowoli na wierzch z afektu braterskiego się wyrwały—aż Kopycki, zbliżając się do oblubieńca, rzecze mu z wyrzutem:

— A dla czego waść utaiłeś niektóre okoliczności?

— Jako żywo—odparł ciwun—z niczegom nie czynił tajemnicy, co tylko głównych przygód całej sprawy dotyczy.

— A on że mój napad zbójecki na waszmość pana, a gdybyś się był dzielnie nie obronił, a Podkomorzy wczas na odsiecz nie przybył, w zapamiętaniu nieobacznem, byłbym cię o śmierć przyprawił, a sam jako Judasz, chybabym się obwiesił z rozpaczy... Ej! ucałowałbym z synowską pokorą rękę, któraby mi dziś odliczyła sto bizunów za ten wyskok niewczesny.

— Za który, miły panie bracie, pozostanę ci wdzięcznym aż do śmierci, a może Bóg da i moje przyszłe pokolenie, bo bez ciebie nie miałbym tego szczęścia, które dziś posiadam—przemówił serdecznie, wskazując na oblubienicę i przyciskając Kopyckiego do serca.

— Wiwat ciwun!

— Wiwat chorążyc!

Hurmem szlachta wołała.

Z kolei następowało opowiadanie o wydobyciu zwłok ojca, tu narator zwracając się do Podkomorzego, rzekł:

— Rozumie się panie ojcze, iż przytem wydobyłem zwłoki waszego drogiego syna, a dla mnie nieodżałowanego brata, lubom go tylko w chwilę śmierci miał szczęście oglądać!..

— O! niech cię Bóg błogosławi za tę wielką usługę, oddaną zbolałemu sercu ojca.

Zawołał ze łzami Podkomorzy, obejmując młodzieńca...

— Mów gdzie one są, natychmiast po nie pojadę!..

— Zdążają tu, przeprowadzane przez dwóch księży, razem z moim orszakiem, który wyprzedzić musiałem, aby się stawić na słowie; o ile przypuszczam, pojutrze ku wieczorowi stanąćby tu powinni.

— A więc pozwoli jegomość—ozwał się O. Felicyan do Podkomorzego—że opuszczę szanowną kompanię, abym zarządził należyte przygotowanie do wyruszenia jutro rano na spotkanie naszych drogich zwłok...

— I my, i my z wami!—zewsząd wołano i ani jednego głosu w tym chórze serdecznym nie zabrakło.

Podkomorzy milcząc, rękę na sercu złożył, snać nie znajdując słów na zawdzięczenie tego gorliwego braterskiego afektu.

* * *

Trudno pojąć, jak to się dziwnie splatało to dawne obcowanie szlacheckie, jakie tam były niepochwycone spadki, jakby w tonach muzycznych z pod mistrzowskiej ręki dobywanych, z wesela do smutku, z zawiści do kordyalności, z wybitki do uścisku. Niejeden, który drugiego radby w łyżce wody

utopił, przez krótki moment zalewał go serdecznemi łzami. To nagłe przerzucanie się sprzecznych przejawów posiadało w rzeczy tę zaletę, że dobry zawsze na wierzch się wydobył i trzymał się dłużej. A jedno co było godnego podziwu i naśladowania w tych ludziach, że nietylko każda radość gromadziła ich do kupy, ale smutki bardziej jeszcze zbliżały i jednoczyły.

Tak też nazajutrz równo ze dniem nie poznałbyś gronka wesołego, obchodzącego oczekiwany powrót oblubieńca; wszyscy stawili się ze smutkiem w sercu, który i w zewnętrznych oznakach przebijał się, bowiem pozapinali wyloty i wszystkie pasy wywinęli na żałobną stronę (1). A od razu tak się ona struna wesołości i rubaszności przecięła, a naciągnęła nowa do rodzicielskiego frasunku nastrojona, iż nie poznając wczorajszych ucztujących, rzekłbyś, iż to nowi ludzie przybyli.

O. Felicyan przed podróżą mszę żałobną odprawił, a po niej bractwo miejscowe z chorągwiami i pochodniami, chcąc uczcić tę ostatnią posługę dla swojego domniemanego dziedzica, w komplecie wystąpiło. Dalej orszak gości a za nimi dworzanie i służba pańska; wszyscy szli pieszo, starsi tylko, dla wieku podeszłego, niekiedy koni dosiadali przez pachołków prowadzonych; dopiero gdy dobrze za wieś wyszli, a ksiądz zdjął ze siebie szaty kościelne, krucyfiksy pochowano i chorągwie pozwijano, zamienił się on pochód na zwyczajny. Część służby Podkomorzego przodem wysłanej z marszałkiem, gotowała po drodze przystanki i posiłek.

Na drugi dzień przed świtem spotkały się ze sobą oba

---

(1). Dawniejsze pasy polskie nawijały się na osiem, a najmniej cztery odmienne kolory, (stosownie do żupana), wszakże jedna ze stron posiadała nieodzownie c arny kolor, srebrnemi palmami haftowany; ten służył dla oznaczenia żałoby; a mniejszą żałobę oznaczały vice versa czarne palmy na tle srebrnem,

orszaki, wychodzące z noclegu, który niedaleko siebie odbywały, nie wiedząc jeden o drugim. Teraz zajrzawszy się zdaleka uszykowali w porządek, przez respekt dla siebie wzajemny. Orszak z ciałem poprzedzali dwaj OO. Dominikanie nam znani: Telesfor i Cyryl, którzy udając się z hojnością ciwuna na wykup więźniów, chcieli mu w tem jeszcze wygodzić, chociaż drogi sobie nakładali.

Nie powiemy o rozdzierającem serce spotkaniu żyjącego ojca ze zmarłym synem—rzewneż ono było, iż żadnej suchej źrenicy nie pozostawiło w całem żałobnem gronie.

Wszakże ciekawość ludzka, która jakby pyłek najsubtelniejszy przedrze się nawet przez ciasny otwór boleści, po pewnym czasie wzięła górę i każdy z admiracyą przypatrował się dworowi oblubieńca, który składał się z kilkunastu jezdnych, a wszyscy na dziarskich wierzchowcach, przystojnie przyodziani, otaczali poszóstną piękną kolebkę, w której jechały siostry ciwuna, stolnikówny, w towarzystwie poważnej ochmistrzyni.

Pomimo smutku była to miła niespodzianka i dla oblubienicy, która dwie towarzyszki stosowne do swojego wieku pozyskiwała. Młodzi zaś pomimo smutnego obrzędu, radzi byli przypatrzeć się hożym i dorodnym dziewczętom, a z otoczenia i orszaku ciwuna różne tam sobie wnioski o wianie czyniono.

Nie zapominajmy o dawnym znajomym Myszejkisie, który zrzuciwszy przybraną skorupę głupkowatego żmudzinka, teraz jako brat mleczny pański, przednie w orszaku trzymał miejsce i niktby w nim dawnego prostaczka nie poznał.

*
* *

I stało się, jak dziać się zwykło ze znikomościami te-

go świata—zwłoki podkomorzyca oblane łzami ojca, zajęły próżne miejsce obok przodków w grobie familijnym.

OO. Cyryll i Telesfor przy tej okazyi z hojności bolejącego ojca i jego gości ku większej swej uciesze, zwiększyli znacznie swoje miłosierne skarby na okup jęczących w więzach niewiernych, a wypocząwszy dni parę, niezmordowani puścili się dalej na swą pobożną wędrówkę.

Wszakże łaskawych sąsiadów, którzy w jego strapieniu tyle mu kondolencyi okazali, Podkomorzy zatrzymał do wesela, które za parę tygodni odbyć się miało: raz że oblubieńcy długo na to czekali, a więc uwzględnić to należało— a powtóre, radość i smutek zwykle chodzą różnemi drogami, a jeżeli przy zetknięciu spędzi jeden drugą z drogi, to znów pójdą dawnemi gościńcami, aby się kiedyś zetknąć a potem nanowo rozstrzelić. Tak to ów światek boży stworzony... a zaiste mądrze, bo czemże by był, gdyby człek mizerny poił się tylko samemi łzami?

Chętnie pozostali łaskawi—trzebaż było dla rozrywki Podkomorzego zapolować, bo i tak siła się namnożyło zwierza, bo myśliwi pole zależeli. Przybycie dwóch stolnikówien powabnych także dom ożywiło, a niejeden z młodych zamyślał powetować sobie stratę podkomorzanki i czekali wszyscy, aż wzniosły hymn *Veni Creator* rozległ się nad głowami oblubieńców.

A według dawnej powieściowej formy, ze ślubnem błogosławieństwem nowożeńców rozpryskało się pióro bajarza; i my tak postąpimy—gdyż i dawniejsi w prostodusznem rozumieniu pojmowali, iż małżeństwo jest ostatniem słowem życia ludzkiego, wieńcem wszelkich jego zabiegów.

A więc i nasze opowiadanie skończone, i jedno pozwolimy sobie jeszcze słów kilka dla czytelnika ciekawszego dalszych losów wprowadzonych na tę widownię osób, a ten dodatek zawrzemy w

Post scriptum.

Zaprawdę trudno wyciągnąć jakiś pierwiastek dramatyczny z ówczesnego stadła małżeńskiego, każde z nich bowiem naówczas, jak dwie krople wody, było podobne jedno do drugiego; wszystkie szły tym samym torem, nie zbaczając z gościńca cnoty i wiary, a szukając szczęścia w sobie i rodzinie, strzegli syn po ojcu rodzinnego zagonu, ażeby nieuszczuplony przeszedł do dalszego pokolenia. Wszakże mowa tu o tych, którzy pilnując własnej zagrody, nie pięli się na większą widownię świata. Tych bowiem chyba powinność dla kraju wyrugowała z własnych śmieci, lecz po wypłaceniu tego długu świętego, nie szukając zań innej nagrody, ino w zadość uczynieniu rycerskiemu zawołaniu, znów zasiadali u domowego ogniska, jak oni niegdyś pogańscy kapłani strzegący świętego Znicza.

Otóż dla tego z pożycia nowo skojarzonej pary nic powiedzieć nie możemy, coby spółczesnemu czytelnikowi, zaprawionemu na Balzakach, Dumasach, Zolach etc., sprawić mogło nadzwyczajną sensacyę lub sentymentalnej czytelnicy zmoczyć łzami batystową chusteczkę. Życie im tam szło po bożemu i ludzku, nie przekraczając za ramy pospolite, miłowali się wzajem silnie, gdyż dla połączenia dotrwali do końca i... dobrze im było.

A jeżeli kogo los stolnikówien obchodzi, to powiem, iż rychło wyszły za mąż, a co dziwniejsza, jedna z nich za Kopyckiego, który po onej wyprawie niefortunnej na porucznika, ustatkował się całkiem, zarzekł się solennie wszelkich burd, lubo utrzymywał odchodząc z kobierca ślubnego z stolnikówną Katarzyną, a mówił do ciwuna:

— Dobrze to powiadają panie bracie, iż „nie masz złego co na lepszeby nie wyszło“; gdybym cię był nie pokiereszował, nie miałbyś nadobnej lekarki a następnie wiernej

małżonki, a ja toż samo nie byłbym tyle szczęśliwy posiąść mój skarb drogi. Lecz skoro się człek dobił takiej krescytywy przez burdy, już teraz basta, będę próbował na innej drodze.

Ponieważ Podkomorzy życzył sobie, ażeby zięć przy nim osiadł i następnie jego dobra dziedziczył, z kombinacyi wypłacenia wiana wynikło, iż Kopycki oddając swoją wioskę dziedziczną, przeniósł się na dobra żmudzkie niegdy stolnika, a przez rezygnacyę Bykowskiego, ciwunostwo retowskie u króla sobie wyjednał. Druga stolnikówna także w sąsiedztwie męża znalazła i inna znów wioska przez podobną kombinacyę i tak już znaczne dobra chodorkowieckie powiększyła.

Tak się tedy zakończyła owa wokacya zakonna panien stolnikówien.

Stary Podkomorzy rozmiłowany w zięciu, uszczęśliwiony z postanowienia córki, a będąc sam jego inwentorem, tryumfował nad sąsiadami, którzy go o to niegdyś sekowali, a nie posiadając się z radości, młodniał zamiast starzeć, trąbił coraz głośniej pojezdne. a myśliwych i pieski niemiłosiernie mordował. A cóż dopiero kiedy huśtał wnuczka na kolanach, który mu jego Janka przypominał, jakoż Jankiem go nazwał. Jedno tylko co wypogodzone czoło starca zachmurzało od czasu do czasu, byłto ów parol niechodzenia samopas z oszczepem na niedźwiedzia.

— Słuchaj aść—mawiał do zięcia—naznacz mi post najsurowszy, mortyfikacyę, dyscyplinę, wszystkiego dopełnię, byleś cofnął mój parol względem tego oszczepu.

— Verbum nobile panie ojcze—odpowiadał ciwun, całując go w rękę.

— Choćby jeszcze jednego kudłacza, żebym kopy doliczył przed śmiercią, bo nie umrę spokojny.

Zięć nie mogąc się oprzeć naleganiom, kazał wytropić

młodego niedźwiadka, sam wszakże stanął ukryty w assekuracyi z kilkoma rusznicami, a że się staremu jakoś powiodło zwierza pokonać i kopy się doliczył, zawiesiwszy sześćdziesiątą skórę niedźwiedzią na kołku w sieni, cieszył się sobie starowina jeszcze długie lata i coraz głośniej wytrąbiał pojezdne.

KONIEC.